POLSKI RAP PRAWDZIWA HISTORIA

CO MIESIĄC PŁYTA CD

ŚLIZG

rap graffiti breakdance deskorolka komiks

www.slizg.com.pl

08/104 sierpień

ABRADAB

Łona

De La Soul

KRS ONE

Mentor Skate Session

BOTY

Marlon Wayans Exclusive



numer 08/104
sierpień 2004
ISSN 1425-1760
INDEX 332682
cena: 6 PLN
(w tym 7% VAT)



KALIBER 44



Północ Centrum Południe
Południe – INTOKSYNATOR



Foto: FABJAN

Kuba Perzyna i Andrzej Skrobański są jednymi z bardziej zapracowanych ludzi w świecie deskorolki. Kręcą filmy video, wspólnie wydają magazyn deskorolkowy i ciągle jeszcze znajdują czas, aby oddać się ich największemu hobby – skateboardingowi.



ANDRZEJ SKROBAŃSKI

trzy znienawidzone przedmioty szkolne:
Fiza, chemia, muza.
trzy postacie – bohaterowie:
Jan Paweł Drugi
trzy antypatie – leszcze:
Andrzej Lepper, Roman Giertych, Jan Maria Rokita.
trzy napoje:
Kawa rano, Red-Bull na desce lub Coca-Cola w pracy i zimne piwko wieczorem.
trzy potrawy:
Śniadanie, obiad, kolacja w wykonaniu mojej żony.
trzy programy tv:
Discovery, Planete, TVN 24.
trzy płyty:
DjCent „Mixtape", Moby „Play", Czesław Niemen „Czas jak rzeka".
trzy filmy:
„Sprawni Inaczej", „The Quastionable video", „Modus Operandi".
trzy książki:
„Drużyna Pierścienia" „Dwie Wieże" „Powrót Króla".
trzy kolory:
Niebieski, błękitny, granatowy.
trzy cyfry:
5-5-1975
trzy imiona:
Jędruś, Karola, Kacper.
trzy napisy na murach:
„Jesteś w Gdańsku – ściągnij buty" „HWDP – Hugo Wraca Do Polsatu" „Rap is Cap".
trzy dziewczyny:
Na szczęście są tylko dwie: Karolinka i Monika.
trzy miejsca:
Spot nad Motławą w Gdańsku, zacisze domowe, redakcja INFOmag.
trzy zainteresowania:
Deskorolka, fotografia deskorolkowa, Skate Videos.
trzy gadżety:
Scyzoryk, zegarek, telefon.
trzy ulubione słowa:
O rzesz orzeszku!!!
trzy sukcesy:
Nadal jestem kim zawsze byłem, nadal robię to, co zawsze uwielbiałem robić, założenie własnej rodziny.
trzy porażki:
Na razie tylko i wyłącznie edukacja szkolna.
trzy plany na przyszłość:
Podróżować z deską, podróżować z rodziną, przeprowadzić się.
trzy rzeczy ode mnie:
0% agresji i 100% zajawy we wszystkim co robicie!!!

na zdjęciu: frontside 180 sw. 5-0



KUBA PERZYNA

trzy znienawidzone przedmioty szkolne:
wieśniacki rosyjski, chemia (bardzo mi się przydała) i nic już chyba specjalnie.
trzy postacie – bohaterowie:
Mama, ojciec R.I.P., babcia.
trzy antypatie:
Wszyscy, którzy uważają się za lepszych od innych, wszyscy, którzy nie mają swoich zasad i nieliczną się z nikim i z niczym, wszyscy, którzy ściemniają.
trzy napoje:
Herbata, sok tropikalny, cola.
trzy potrawy:
Pizza, pierogi babci, zupki chińskie.
trzy programy tv:
Conan O'Brien, Top Gear, Bar oglądałem, ale to wina Gutka.
trzy płyty:
Mobb Deep „Free Agents", The Roots „Illadelph Halflife", Nas „Illmatic".
trzy filmy:
Deskorolkowe oczywiście: Plan B „Questionable", World Indastries „New World Order", Girl „Mouse".
trzy książki:
Nie usiedzę tyle w miejscu, by przeczytać książkę.
trzy kolory:
Szary, niebieski, granatowy.
trzy cyfry:
Wysokie, najlepiej w banknotach dolarowych, YO!
trzy imiona:
Nie wiem, z dupy to pytanie macie.
trzy napisy na murach:
Nie zwracam na nie uwagi.
trzy dziewczyny:
Ładne, takie co nie pogrywają w gierki, spokojne i tajemnicze.
trzy miejsca:
Warszawa-Mokotów-Skocznia, San Francisco, New York.
trzy zainteresowania:
Deskorolka, muzyka, film.
trzy gadżety:
Nie jestem gadżeciarzem, telefon z aparatem mam, to fajnie?
trzy słowa:
Wszystkie głupie słówka Gutka i Toffi Kotrycza a.k.a. Dzwonek a.k.a. Model +
trzy sukcesy:
Nie lubię tego słowa, sorry.
trzy porażki:
W większości wewnętrzne.
trzy plany na przyszłość:
Spożytkować to życie jakoś, bo jest tylko jedno a nie trzy.
trzy rzeczy ode mnie:
Kogo to wszystko właściwie obchodzi?

na zdjęciu: boardslide


ADIO



IMPREZĘ ROZKRĘCA simplus TEAM

MOBB DEEP

Ewenement/Molesta

ZIPERA

Mor W.A.

Endefis

DJ Dobry Chłopak

DLA PIERWSZYCH 100 UŻYTKOWNIKÓW SIMPLUS
WEJŚCIE ZA DARMO
WEŹ SWÓJ TELEFON

2 SIERPNIA 2004
KLUB STODOŁA

START: GODZ. 19.00

WARSZAWA UL. BATOREGO 10

Bilety: 37 zł przedsprzedaż, 45 zł w dniu koncertu
Bileterie EMPIK, Sklepy Chrom (Rondo Jazdy Polskiej, Metro Ratusz), Short Cut


























104

INTRO INTRO


foto Ula Tarasiewicz

W ŚRODKU

Wydawca:
Towarzystwo Wydawnicze i Literackie Sp. z o.o.
00-258 Warszawa ul. Brzozowa 35,
tel/fax +48(prefix)226359874
nr konta: Kredyt Bank IV O/Warszawa 41-1500-1777-1217700-66518-0000
Redaktor Naczelny: Łukasz Kowalski (rednaczkwl@slizg.com.pl)
Sekretarz Redakcji: Kuba Demiańczuk (hellboy@slizg.com.pl)
Fotoedytor: Wojtek Antonów (wzrr@slizg.com.pl),
Redakcja: Kuba Kaczmarczyk (toysoldier@slizg.com.pl), Cessya (cess@slizg.com.pl)
Korekta: Paweł Gadaczek
Okładka: KobasLaksa
Grafika i dtp: Sławomir Adam Barański (szatan@slizg.com.pl)
Ilustracje: Marek Oleksicki (moleksicki@wp.pl)
Zespół: Rafał Wielgus, Flintstone (ef@slizg.com.pl), Fala, Sebastian Imbierowicz, Rafał Skarżycki, Tomek Leśniak, Sebastian Rerak, Kosma Zatorski, Yarrek, Dobry Piotrek
Marketing i reklama: Kasia Spaleny (kaspal@slizg.com.pl)
Promocja: Marta Wieteska (marta.wieteska@slizg.com.pl)
Sekretariat: Aneta Haładyj (anette@slizg.com.pl)
Finanse i księgowość: Alicja Włodarczyk
Druk i przygotowanie: Drukarnia Prasowa SA w Łodzi

Adres redakcji: Ślizg
ul. Marszałkowska 3/5, 00-624 Warszawa
tel/fax +48(prefix)22 8254907, 8255069
e-mail: slizg@slizg.com.pl





01 felieton
GLOBALNE KOWALSTWO
Hip-Hop (część pewnie pierwsza)

dedykuję Kubie Wojewódzkiemu, któremu jestem wdzięczny, że podczas festiwalu Trendy czy cholera wie, jak to się nazywało, robił sobie jaja pośledniej jakości z kultury hip-hop. udowodniłeś, jak mocni jesteśmy...

ostatnio ktoś spytał mnie, czy jestem hiphopowcem? pytanie – zadane raczej w żartobliwym tonie – spotkało się z szybką odpowiedzią. tak, jestem hiphopowcem. stałem się nim pewnego dnia, coraz bardziej staję każdego kolejnego, a najlepsze w tym wszystkim jest to, że przychodzi mi to zupełnie naturalnie.

nienawidziłem młodzieżowych subkultur, bo każda śmierdziała mi fałszem. ciężko więc miałem jako dzieciak, bo każdy się z kimś bądź czymś identyfikował, a ja mogłem posłuchać zarówno Beastie Boys, Sex Pistols i Metaliki, i nawet do głowy mi nie przyszło, żeby wskakiwać z oddaniem w piórka subkulturowca jakiejkolwiek maści. po cholerę, skoro podoba mi się i to, i tamto?

w tym momencie może wypada, bym napisał, czym dla mnie jest hip-hop. hip-hop to wolność. to muzyka, która powstała w oryginalnej odsłonie z fragmentów muzyki innych, to słowo, które zostało wypowiedziane, bo łatwiej rytmicznie mówić, niż śpiewać. to elementy sztuki, które może realizować każdy w każdym miejscu. nie musisz mieć galerii, by pokazać swoją sztukę światu wokół. nie musisz stać się członkiem trupy tanecznej, pokazywanej w pełnym pluszowych foteli teatrze, by zademonstrować wszystkim obok ciebie, że czujesz rytm. możesz przecież tańczyć na ulicy. nie musisz kupować instrumentów, stroić ich i wynajmować drogich sal do prób, by tworzyć muzę, grać ją, prezentować innym. dwa adaptery i mikser pozwolą ci na wszystko. znasz ograniczonych didżejów? po prostu się nie starają, albo jeszcze zbyt mało potrafią.

hip-hop to szacunek dla innych, ale i dla siebie. to mocne słowa, przemoc w nich, ale i „Teenage Love" Slick Ricka. to apostoł biedy Peja, ale i „ociekający złotem" oraz poczuciem humoru BRX. to wnioski wyciągnięte z tego, co było, ale też pęd ku nowoczesności. drogie fury, z których ogląda się zasyfiałe ulice. blokowiska w Berlinie, w Częstochowie i Toruniu, ale też niezłe chawirki w Miami Beach. Biali, Czarni, Czerwoni. i Zieloni też. psychopatyczny flow Sage Francisa i cipowate zwrotki Nelly'ego. skórzane spodnie Grandmaster Flasha i jeansowe wory Tedego. rozpieprzający w drobny mak meble w hotelu Beasties i wykładający uliczną mądrość KRS--ONE. długo tak mam jeszcze? może lepiej spytam – czujecie to?

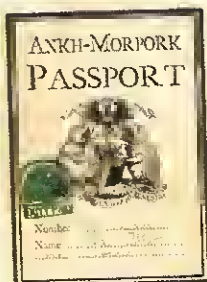
ale im jestem starszy, tym bardziej przekonuję się, że wcale nie muszę słuchać rapu, by być hiphopowcem. że to styl życia i myślenia, który związany jest z elementami kultury, ale jednocześnie od nich niezależny. że wolność może być na zamalowanej ścianie i w beacie, ale przede wszystkim zawsze będzie w głowie. że śmieszna i niepotrzebna jest uniformizacja hiphopowców, a żarty o nas wynikają z tego, że ludzie nie rozumieją, jak ten sam sygnał jednocześnie mogą odbierać dzieciaki ze slumsów, dobrych domów, studenci, recydywiści, poborowi i pan Heniu z budowy. i że niektórzy śmieją się z tego, bo wiedzą, że w tym jest moc.

tak, jestem hiphopowcem, bo czuję, że jestem dzięki temu wolny. bo to jedyna kultura, subkultura, stan umysłu, nazywajcie to jak chcecie – który nie ogranicza. bo tworzyć może każdy, a sztuka nie staje się dobrem wyselekcjonowanym dla garstki bohemiarzy, tylko jest na wyciągnięcie ręki. bo to jest pełna, nieskrępowana, stuprocentowa wolność.

.:KOWALSKI:.

gadżety w ŚWIECIE DYSKU

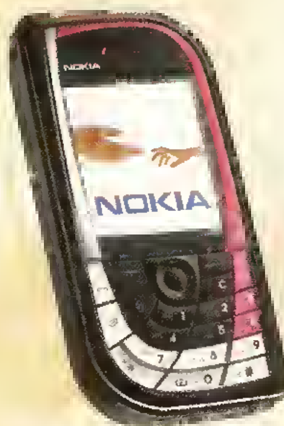




W dalszej części magazynu możecie przeczytać krótki wywiad z Terrym Pratchettem, a tu macie dwa gadżety związane z wykreowanym przez niego Światem Dysku. Koszulka, jak to koszulka, za to zamieszczony na niej wizerunek Śmierci wzbudzi respekt nie tylko wśród mieszkańców Ankh-Morpork. Tyle, żeby się tam dostać, trzeba mieć paszport obywatela tego miasta. Nic prostszego. Wystarczy wejść na stronę www.artificer.co.uk – tam należy wypełnić stosowny formularz i już można stać się obywatelem Ankh-Morpork. Uwaga, niestety ta przyjemność kosztuje 8 funtów.

bizaar bazaar
gadżety

gadżety NOKIA 7610



Stylowy, niewielki telefon Nokia 7610 łączy w sobie zaawansowane funkcje fotograficzne i filmowe z licznymi możliwościami telefonu inteligentnego. Na dodatek ten model umożliwia dziecinnie proste drukowanie – odbitki fotograficzne można uzyskać w kilka sekund, przesyłając zdjęcia za pomocą technologii Bluetooth do kompatybilnej drukarki lub korzystając ze specjalnego kiosku w punkcie handlowym oznaczonym marką Nokia lub innym laboratorium fotograficznym. Możesz też bez problemów wysyłać zdjęcia do sieci. Fajny aparacik, bajerka jest!

gadżety skarpety BLACKZONE



Niby taki drobiazg, a jednak tak istotny. Jakby ktoś nie wiedział, to skarpetki muszą być wygodne i z dobrego materiału, w przeciwnym razie można mieć kłopoty. Może nie bardzo wielkie, ale uciążliwe. Skarpety od Blackzone'a zapewnią waszym stopom odpowiedni komfort, żebyście mogli beztrosko śmigać na desce / rowerze / własnych nogach. Aha, tylko nie zapomnijcie o butach...

gadżety portfel BLACKZONE



Skoro wyżej była mowa o skarpetkach, to są tacy, którzy przechowują w nich swoją kasę. Jednak mamy dla nich lepsze rozwiązanie: gotówkę polecamy raczej trzymać w portfelu, bo to bezpieczniejsze, bardziej higieniczne no i obciachu nie ma. W portfelu poza tym zmieści się parę dokumentów, kart i innych przydatnych rzeczy, a także zdjęcie waszej ukochanej osoby.

gadżety JEŻ słomiany



Jeże, jak wiadomo, są stworzeniami miejskimi i najlepiej czują się wśród bloków i wąskich uliczek. Jeśli nie wierzycie, to sprawdźcie w komiksie o Jerzym – nie spotkacie go nigdy w lesie, co najwyżej w miejskim parku, gdzie spokojnie sączy sobie piwko. W niektórych miastach można nawet spotkać jeże ze słomy (niczym miś w filmie Barei). Tego spotkaliśmy przy warszawskim Barbakanie, gdzie zresztą można takiego jeża kupić.



02 felieton FALA

Kupię brzydką prawdę

Do tej pory nie uprawiałam prywaty na łamach pisma, które trzymacie w dłoniach, ale jako że to rubryka autorska, a i okoliczności sprzyjają – czemu nie. Mogłabym przepraszać i kajać się, jako że, obiektywnie rzecz ujmując, narozrabiałam, lecz tymczasem, jak to baba, odwrócę koła ogonem. Rzecz się tyczy kreowania wizerunku w mediach a wtajemniczonym podpowiem, że chodzi o pismo „Lampa".

Był piękny, ciepły dzień w połowie maja, gdy to legendą i szacunkiem owiana Bogna Świątkowska umówiła się ze mną i moją mniejszą nieco imienniczką na – wywołujące najbardziej pozytywne skojarzenia – „piwo". Przyszła promienna w towarzystwie niemniej pociesznego Duńka Wąsowicza i porwała nas do uroczej nadwiślańskiej spelunki, gdzie oprócz pysznego browca z sokiem podają też smażoną rybę. Rozbrajające! Klimat wakacyjny, napój orzeźwiający, rozmówczyni nieznosząca sprzeciwu, obdarzana bezgranicznym zaufaniem, poza tym – baba – tak jak i my. Zebrało się więc na ploteczki.

Czujnej na co dzień naszej uwadze, umknął leżący obok popielniczki dyktafon. Oczywiście był to wywiad – każdy to wie, ale ci, którym dane było choć raz go udzielać, znają uczucie mobilizującej wszelkie psychiczne bariery grozy, jaką ów przedmiot budzi. No więc właśnie zjawisko to nie wystąpiło. W efekcie powstał najbardziej szczery wywiad, jaki dyktafon nagrywał, szczególnie, że letnie procenty rozwiązują język.

Tu następuje skok o kilka dni, kiedy to rezolutne raperki z Paresłów wracają do ojczyzny po koncercie w Kijowie. Lotnisko, samochód, garaż, po schodkach, strych, komputer, mejle. „Cześć, tu Bogna, przesyłam wam gotowy materiał. Szkoda, że was nie było. Trochę się boję, że posłałam to do druku bez autoryzacji, więc proszę przeczytaj i powiedz, co sądzisz". Czytam. Przez nerwy i żyły przepłynęły mi wszelkie związki organiczne dostępne ludzkiej fizjologii. Emocje od przerażenia do apatii, od rozpaczy do rozpuku. Ale akcja! Kliknęłam „odpowiedz".

OTO PODSUMOWANIE

1. Mamo nie czytaj! Twoje zupy nie są takie złe, całkiem dobre nawet!
2. Babciu i dziadziusiu nie czytajcie! To nieprawda, że tak strasznie przeklinam!
3. Tede nie czytaj! Ta opowiedziana na boku szeptem anegdota o moim tacie jakimś cudem spisana jako o Tede, to oczywiste kłamstwo, choć niezamierzone. Uważam, że to straszne!
4. Sistars nie czytajcie błagam!!!! Pamiętajcie o tym, że tekst spisany bez kontekstu i didaskaliów typu „śmiech" zasadniczo zmienia znaczenie i powagę wypowiedzianych słów, a ja akurat mam dużo dystansu.

Zamarłam! Na reperkusje nie trzeba było długo czekać. Moje przyjaciółeczki poczęły dzwonić i szczebiotać „jaki super i fajny i jaki bardzo „nasz" i wyluzowany ten wywiad i Duża jak żywa, ekstra, mówię ci". Skrzynkę Paresłów zapchały mejle „Dziewczyny nie znałem was i w życiu nie słyszałem płyty, ale jesteście takie boskie w Lampie, że już pędzę do sklepu". Komórka dostarczała co kilkanaście minut sms-y „Brawo dziewczyny. Zero pozerki, tak trzymać!". A mama... na szczęście nie widziała, uff... Nie jest źle!

Kilka dni później znaleźli się poszkodowani, którzy nie przebierając w słowach wypowiedzieli się na temat wywiadu. Nie spodziewałyśmy się na pewno ogromnych pokładów poczucia humoru ze strony Tedego, ale, o dziwo, krytyczne uwagi miały nawet osoby, których byśmy nie podejrzewały. Ale, ach tak, na ich temat też padło gdzieś jakieś, nieokielznane autoryzacją i adjustacją redakcyjną, zdanie.

Wywiad w Lampie ujrzał światło dzienne w tej nietypowej formie, gdyż super dziennikarka Bogna, z uwagi na profil pisma (co jest jak najbardziej profesjonalnym podejściem), postanowiła dokonać eksperymentu i wydrukować ciurkiem słowo w słowo całą godzinną babską pogawędkę.

Nie wycięła przekleństw, zająknięć, nie wycięła „póki nie ma Dore, to ci powiem, że...", nie zmieniła pokracznych form gramatycznych, nie przełożyła języka mówionego na pisany, nie skróciła wątków, nie zamieniła kolejności padania pytań. Nie zrobiła niczego, co robi się w każdej poważanej redakcji, a co jest niepisanym obowiązkiem dziennikarza od wywiadów.

Nie podała też do autoryzacji – fakt ten wezmę akurat na swoje barki. Gdyby dała – ja sama zrobiłabym wszystko to, co wymieniłam wyżej. Z racji wyjazdu zrzekłyśmy się najświętszego dziennikarskiego prawa. Tym samym pozwoliłyśmy, zapewne pierwszy i ostatni raz w życiu, prawdzie wyjść w pełnej krasie na światło dzienne.

I co, brzydka prawda? Brzydka dla tych, którzy pudrowali ją przez lata licząc, że przyjęte normy społeczne i biznesowe uchronią ich przed zbytnią szczerością znajomych. O, jakże się mylili! Brzydka dla kłamstw ukrywanych przez lata w rodzinie, jak ta, że zupy mojej mamy ustępują zupom babci. Brzydka, gdy zależy mi na fałszem przyprószonych znajomościach. Gdy chcę oszukać ludzi, że Fala jest grzeczniejsza, mądrzejsza, bardziej politycznie poprawna i zdolniejsza niż Duża Dorota.

Przeżyłam to i powiem wam, że brzydka czy nie, prawda uwalnia od niewygodnych konwenansów i paradoksalnie jedna ludzi. Ja się już nie boję!

.:Fala:.

bizaar bazaar
warto zobaczyć



LADYKILLERS, CZYLI ZABÓJCZY KWINTET
reż. JOEL I ETHAN COENOWIE
FORUM FILM

Czy historia o profesorze filologii klasycznej, a zarazem oszuście, który zbiera ekipę powyciąganych z różnych bajek typów, by wynająć pokój w domku statecznej mieszkanki małego miasteczka i przekopać się do skarbca kasyna brzmi szczególnie świeżo i intrygująco? Nie, tym większą zagadką jest to, dlaczego Coenowie sięgają po fabułę, która – nawet gdyby nie była wcześniej ekranizowana – i tak nie dawałaby specjalnego pola do popisu. Pociesza to, co jest specjalnością braci: farsa dobrze miksująca komedię z tragedią, uszczypliwość ukazująca paradoksy Ameryki dawnej a zarazem współczesnej (drwina z rasowych stereotypów i jednocześnie przywilejów dla kolorowych jest naprawdę dobra), wreszcie zderzenie kultury wysokiej z niską. W „Bracie, gdzie jesteś?" Homer towarzyszył country, w „Ladykillers" Edgar Allan Poe zestawiony jest z hip-hopem i kojarzoną z nim mentalnością – Wayans sprawnie, choć rutynowo odwalił charakterystyczną dla czarnych komików rolę pyskującego zioma z getta. Gdyby jeszcze Tom Hanks dał radę tak jak Clooney... Niestety jest mało zabawny, jego pretensjonalne kwestie ciągną się w nieskończoność, pierdołowatość zaś tylko irytuje. Nie dorównuje Naleśnikowi (Simmons), a zwłaszcza kapitalnemu Generałowi (Tzi Ma).

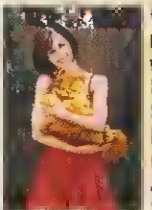
Powtórzę setki razy wygłaszaną już opinię, że średnie filmy Coenów, w rezultacie i tak są filmami dobrymi. Tym razem mamy komedię umiarkowanie błyskotliwą, za to ze świetnymi epizodami (pies w masce gazowej, dwóch czarnych atakujących chiński sklep i rozbrajająca kwestia „Wyjmij palce z nosa mojego ziomala"), rewelacyjną muzyką (z rapu jedynie Nappy Roots i Little Brother, za to jest gospel...), a nawet czymś więcej do pomyślenia (cytaty z Poego nie są przypadkowe, tak jak fakt, iż kruk, bohater jego najsłynniejszego poematu, decyduje o losie naczelnej postaci filmu). Styl reżyserskiej dwójki znanej z „Fargo", „Big Lebowskiego", „Bartona Finka" wciąż jest nie do podrobienia, choć wyrozumiałość co bardziej wymagających widzów nie będzie trwać wiecznie. **(flint)**



DOM 1000 TRUPÓW
reż. ROB ZOMBIE
MONOLITH

Jeden z najbardziej popieprzonych ludzi w muzycznym szołbiznesie postanowił nakręcić sobie film. Napisał scenariusz, zabrał się za reżyserię i stworzył coś naprawdę dziwnego, chorego, zabawnego i intrygującego jednocześnie. Fabuła – jak na horror przystało – sztampowa. Grupka młodych ludzi trafia na amerykańskie zadupie, tylko po to, by wpaść w ręce szalonej i żądnej krwi rodziny. Znane, prawda? Cała rzecz w tym, w jaki sposób Zombie nam tę zgraną do bólu historię przedstawia. Każdy, kto słuchał jego nagrań (czy solowych, czy z zespołem White Zombie) i przede wszystkim oglądał wkładki jego płyt, wie, czego się spodziewać. Film jest wybuchową mieszanką kiczu, elementów zaczerpniętych ze starych horrorów filmowych i komiksowych i klasycznych składników wszelkich opowieści grozy. Całość w zasadzie nawet nie straszy – nie takie było zamierzenie – choć przejmujących epizodów tu nie brakuje, zwróćcie uwagę na scenę egzekucji policjanta, filmowaną z daleka, a jednak mrożącą krew w żyłach (i przy tym wcale nie brutalną). Jednak przede wszystkim zamierzeniem Roba Zombie była zabawa, niczym nie skrępowana, stanowiąca jednocześnie hołd dla wszystkiego, co kocha. Więcej się rozpisywać nie ma sensu, po prostu to zobaczcie, bo w swoim gatunku „Dom 1000 trupów" ociera się o geniusz. **(jd)**

bizaar bazaar
idź do kina



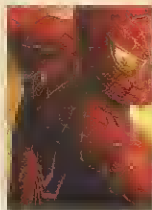
GARFIELD
reż. Peter Hewitt
wyst. Breckin Meyer, Jennifer Love Hewitt, Stephen Tobolowsky

Stało się. Najsłynniejszy komiksowy kot świata, stworzony przez obdarzonego niezwykłym poczuciem humoru Jima Davisa, trafił na duże ekrany. Sam Garfield jest animowany komputerowo, zaś reszta postaci – włącznie z Odie'em – jest „żywa". Powiem szczerze – zwiastuny nie zapowiadają nic specjalnego, choć efekt końcowy może być fajny (jednak pierwsze recenzje zza oceanu nie wróżą nic dobrego). Zobaczymy. W wersji oryginalnej głos kotu podkłada Bill Murray, w polskiej – Marek Kondrat. Wolę Murraya. W kinach od 6 sierpnia.



OSADA
reż. M. Night Shyamalan
wyst. Joaquin Phoenix, William Hurt, Adrien Brody

Akcja filmu rozgrywa się pod koniec XIX wieku, a bohaterami opowieści są mieszkańcy niewielkiej, bardzo z sobą zżytej wspólnoty. Ludzie żyją w ciągłym strachu, którego przyczyną są zamieszkujące pobliskie lasy tajemnicze stworzenia. Nie ukrywam, lubię Shyamalana, na żadnym z jego filmów się nie zawiodłem (a już „Niezniszczalny" był mega-kozakiem), a nowy zapowiada się całkiem, całkiem... W kinach od 13 sierpnia.



SPIDER-MAN 2
reż. Sam Raimi
wyst. Tobey Maguire, Kirsten Dunst, Alfred Molina

Od chwili, gdy rozpoczęła się produkcja „Spider-Mana" wiadomo było, że doczekamy się sequela. No i jest, podobno lepszy od „jedynki" – czas i widzowie zweryfikują tę opinię. Tym razem przeciwnikiem Petera Parkera jest Dr Octopus, a ten, przynajmniej w komiksach, zawsze wydawał mi się jednym z najciekawszych wrogów Spider-Mana. Ale czy doczekamy się filmu, w którym pojawi się Venom? Podobno Sam Raimi nie chce Venoma (ani Carnage'a) w swoich filmach, ale liczę na to, że zdyscyplinowani amerykańscy fani wymuszą pojawienie się tych postaci w kolejnych epizodach. A część trzecia już w produkcji, w kinach będzie w 2007. Zaś „dwójka" już niedługo, od 20 sierpnia.



PRZYJACIELE BEZ WYJŚCIA
reż. Francis Veber
wyst. Gerard Depardieu, Jean Reno

Jeśli ktoś lubi dobre francuskie komedie, no to mamy film w sam raz dla niego. Dobry reżyser, świetni aktorzy (to pierwsze spotkanie Reno i Depardieu we wspólnym filmie) – będzie ok. Fajna propozycja na koniec wakacji. W kinach od 27 sierpnia.

bizaar bazaar

poczytaj sobie



EGO TRIP
KSIĄŻKA O RAPIE
Sacha Jenkins, Elliott Wilson, Chairman Mao, Gabriel Alvarez, Brent Rollins
tłumaczenie Anna Mieścicka
KAGRA

Wydanie polskiego tłumaczenia „rapowej Biblii", jak niektórzy określają „Ego Trip's Book of Rap Lists" jest dla mnie niezwykle miłą niespodzianką. Nie zapomnę, jak dorwałem się kiedyś do tej pozycji, gdy znajomy przywiózł ją zza Wielkiej Wody. Siedziałem i chłonąłem, bo informacji i ciekawostek na temat amerykańskiego rapu jest w niej tyle, że... no, bite 350 stron. Formuła jest prosta, jak konstrukcja łyżki – podsumowania, najczęściej zebrane w postaci: punkt 1., punkt 2., punkt 3. etc. Do tego krótkie, ale treściwe historyjki. Do tego komentarze, czasami mocno idiotyczne, ale nawet w tych najgłupszych udaje się się autorom przemycić jakąś ciekawostkę, której... po prostu nie znaliście. Uwierzcie mi, słucham amerykańskiego rapu od kilkunastu lat, a pierwszy kontakt z tą książką kilka lat temu uświadomił mi, że po prostu nic nie wiem. I sądzę, że takich osób jest dużo, dużo więcej, a część z nich pewnie trudzi się tym samym procederem, co ja, tylko że w Stanach... Zaczyna się od podstaw, od pierwszych emcees, pierwszych kawałków, koncertów i wydarzeń. Potem jednak wjazd w temat jest coraz głębszy – na przykład „Hymny na temat skuna", najsłynniejsze bitwy i konflikty oraz dogłębna analiza tematu, ile razy słowo „nigga" pojawia się na płytach N.W.A. Film, sztuka, moda, a także pieniądze – kwoty, banknoty, co, kto, komu i za ile. Oraz 10 dowodów na to, że 2Pac żyje.
Na pierwszy rzut oka może się wydawać, że autorzy zwariowali. Książka stworzona jest z humorem, ze sporym dystansem do kultury hip-hop, ale jednocześnie przybliża jej korzenie i rozwój w sposób niezrównany. Formuła się sprawdza, bo gdyby to wszystko było podane na poważnie, to przez te setki rankingów ciężko byłoby przebrnąć. A tak siedzimy, chłoniemy, czyta się samo. a do tego jeszcze zostaje w głowie.
Niezłą robotę wykonała Anna Mieścicka, tłumaczka tej pozycji. Udało jej się przenieść lekkość oryginału, może momentami coś tam za bardzo młodzieżowo-całuśnego pojawi się na horyzoncie, ale ogólnie jej pracę należy podsumować określeniem – rzetelna.
Polecam, zwłaszcza, że z wiedzą o amerykańskim hip-hopie w naszym kraju nad Wisłą jest, jak jest. A nie powinniśmy zapominać, skąd pochodzili Kool Herc i Coke La Rock, którzy zrobili to jako pierwsi. kowal



ARTURO PEREZ-REVERTE
KAPITAN ALATRISTE
MUZA

XVII-wieczny Madryt. Weteran wojenny Diego Alatriste („kapitan" to przydomek, bowiem takiej szarży nigdy w wojsku się nie dochrapał) zostaje przez tajemniczych zleceniodawców wynajęty do zabicia dwóch przybyszy z Anglii. Do wykonania zadania jednak nie dojdzie, bowiem Alatriste, tknięty sumieniem, oszczędzi angielskich szlachciców. Okazuje się, że niedoszłymi ofiarami są dumni synowie Albionu: następca tronu i jego przyjaciel, hrabia Buckingham. Dla kapitana to oznacza tylko jedno – kłopoty. I to poważne, bowiem zleceniodawcy będą chcieli jak najszybciej Alatriste'a się pozbyć...

Myślałem, że takich książek już nikt nie tworzy. Na szczęście hiszpański pisarz i dziennikarz, Arturo Perez-Reverte, postanowił wskrzesić powieść płaszcza i szpady. Na dodatek zrobił to z wielką klasą. Powieść napisana jest z ogromną werwą, język stylizowany na nieco łotrzykowską gawędę (tu przy okazji wielkie brawa dla tłumacza), akcja jest dynamiczna i wciągająca, a realia Hiszpanii sprzed lat blisko czterystu oddane pieczołowicie i barwnie. „Kapitan Alatriste" to pierwszy tom cyklu, kolejne ukażą się już wkrótce. Gorąco polecam! (jd)



03 felieton FLINTSTONE
Wielka Tajemnica Natolińska

Ktoś zakaszlał. Jego sprawa, ale zrobił to wewnątrz mojej głowy. Otworzyłem oczy. Siedział w moim pokoju na krześle.
– Kim do cholery jesteś – warknąłem.
– Przyjacielem.
– Oszalałeś?! Nie mam sześćdziesięcioletnich przyjaciół z brodami, którzy cały czas się do mnie uśmiechają. Wyglądasz jak psycholog dziecięcy. Kim więc jesteś?
– Jestem absolutem. Wiążę sznurki wszelkich bytów.
– Aha. Czyli student. Najwyraźniej wprowadzili wymianę z Laponią i nie wiedziałem. Co to mogą być za studia. Pewno Łazarski?
Ignorował mnie. Fatalnie mnie ignorował. Płynnie wrócił do swojego wątku.
– Chciałem walnąć z miejsca „Jestem bogiem", ale na forum zarzuciliby mi plagiat. Czym jest czterech jeźdźców Apokalipsy, przy tysiącu postów głupoty? Mniejsza o to. Jestem nim.
– Świetnie, ale ja w Ciebie nie wierzę.
– Ja też w Ciebie nie wierzę. Ten felieton o Pei był najgorszy. A ten chłopak tyle zrobił dla popularyzacji muzyki... I futbolu... Poza tym wiara nie ma nic do tego.
– Jak to nie ma? Ja potrzebuję dowodów!
– Ślepiec! Myślisz, że beze mnie miałby złotą płytę?
– Miałby. Słaby argument.
– To może z innej bajki. Druga płyta Łony dobrze się sprzedaje w takim kraju jak Polska. Czy to nie cud?
– To cud. Skąd wiesz?
– Łona mi mówił. Czasem dzwonię.
– Świetnie. A po co stworzyłeś taką muzę jak polski hip-hop?
– Daj spokój, no niby stworzyłem, ale nie nazywaj mnie jego ojcem. Jest ich za dużo i cały czas się mnożą. Banda tatusiów. Każdy uważa, że kreował historię.
– Myślisz, że nie kochają hip-hopu?
– Kochają głównie siebie. Hip-hop czasem lubią. Pasuje im do strzyżenia trawnika.
– Co to za muzyka, która ma samych ojców i góra dwie matki? Po prostu Sodoma i Gomora!
– Nie przesadzaj. Era matek w polskim hip-hopie skończyła się zanim się zaczęła. Kobiety są niebezpiecznie ignoranckie, włączyłem ostatnio wieczorem radio... Panna myślała, że Mos Def to batonik! Poza tym mężczyźni mają lepsze warunki fizyczne.
– Lepsze warunki fizyczne? Na miłość boską! – wrzasnąłem.
– Kondycja jest ważna. Jak ktoś mało myśli, to przynajmniej dużo biega – syknął. I nie tym tonem, bo miłości może nagle zabraknąć. Był to taki rodzaj miłosiernego syczenia, który sugerował opanowanie.
– I co, wyślesz mnie w inny wymiar?
– Nie, zbyt dobrze sprawdzasz się jako czujnik. Jeżeli jakaś płyta Ci się podoba, wiadomo, że jej sprzedaż nie może przekroczyć u was trzech tysięcy.
– To okrutne. Na szczęście nie podoba mi się wiele. Choć mc u nas zatrzęsienie, większość nie umie rymować...
– Ale przynajmniej nawijają w tekstach o mnie. A wiesz co mówią słuchacze odsłuchując większość pozostałych?
– Pewno „O Boże"...
– Tak. Albo „Matko Boska". Propaganda. – zaśmiał się Bóg. – Wierni nie powinni wyjść na legalu i by pewno nie wyszli, gdyby nie mieli ładnej nazwy...
– A „Aniele" nie wspięłoby się na listy...
– To inna sprawa. Akurat Mezo dobrze gra w nogę, i nagrał taką piosenkę z Dużym Pe, „Futbol". Promują zdrowy tryb życia.
– Wspaniale, ale wiesz... (o co mu chodzi z tą piłką nożną – ta myśl chodziła mi poglowie. Kibic?) – Nie chcę się znowu spóźnić na zebranie redakcyjne. Powiesz mi wreszcie, po co mnie nawiedziłeś?
– Aaaa nic, tak pogadać... Nie uważasz, że w Częstochowie mają za mało trawy?
– Tego mi nie wmówisz. Słyszałem płyty Ego i brzmią jakby było jej pod dostatkiem.
– Nie o to mi chodzi. Na stadionie...
– A co to ma wspólnego z rapem?
– Wiesz, w sumie uważam, że polskich raperów z piłkarzami wiele łączy.
– Wykluczone. Raperzy biegają po trawę, piłkarze po trawie. Polscy raperzy chcą być czarni, czarni chcą być polskimi piłkarzami. Same różnice.
– Przecież w Częstochowie był mecz futbolowy. Raperzy – księża... – żachnął się Bóg.
– Owszem. Do czego pijesz?
– Jak wiesz, Częstochowa jest centrum polskiego chrześcijaństwa. Ksiądz Kordecki stawił czoło Szwedom. Ludzie pielgrzymują do świętej relikwii. Nie trzeba tego tłumaczyć. Zależy mi, żeby mieć tu absolutnie oddanych ludzi. Bez korupcji, wiesz, sto procent zajawki. To trudne...
– Ładne turystki – mruknąłem porozumiewawczo.
– Tak. I duża presja otoczenia. Mało do roboty. Żeby mogli się czymś zaciekawić i dać upust nadmiarowi sił wpoiłem im miłość do piłki nożnej. Z tym, że talent nie idzie w parze z miłością. Widzisz, grają i nie wygrywają. A jak nie wygrywają, to ich wiara we mnie słabnie. Nie mogą grać też z byle kim... Nie wypada... Poza tym ktoś musi przyciągnąć widzów, widownia podnosi morale. Jest więc taka grupa osób, popularni, energiczni, dużo machają rękami, więc i pewno nogami. Zaczynają dbać o siebie – siłownia, solarium... Często gadają o piłce nożnej, często gadają o mnie. Jednocześnie nie są zgrani i dają się ograć moim kapłanom.
– Raperzy... – szepnąłem. Strzępki zaczęły się układać w niepokojącą całość. – I tylko dlatego stworzyłeś polski hip-hop?
Bóg był zakłopotany.
Oto ujawniła się Wielka Tajemnica Natolińska.

.:Flint (CS):.

PS. Nie chciałem obrazić żadnego z raperów grających w Częstochowie, żadnego konkretnego nie miałem na myśli, nie widziałem nawet meczu. Życzę wygranych.

bizaar bazaar

jeszcze jedna książka



STEPHEN KING
STUKOSTRACHY
PRÓSZYŃSKI I S-KA

Stephen King rzadko zapuszcza się w pobliże klimatów s-f, a nawet gdy to robi, to nie opisuje podróży w kosmicznych przestrzeniach, a raczej każe stanąć swoim bohaterom twarzą w twarz z nienazwanym zagrożeniem. Czasami – tak jak w przypadku „Stukostrachów" – są to Obcy. Pisarka Bobbi Anderson przypadkowo znajduje zagrzebany w ziemi od tysięcy lat statek. Nie wiadomo skąd pochodzi ani w jaki sposób trafił na naszą planetę. Ma jednak niezwykły wpływ na mieszkańców miasta Haven (i wszystkich ludzi, którzy znajdą się w strefie oddziaływania znaleziska): wszyscy odkrywają w sobie iskrę geniuszu, konstruują niezwykłe urządzenia, technika nie ma dla nich tajemnic, naprawdę, są lepsi od McGyvera i Einsteina w jednym. Ale wszystko ma swoją cenę, ludzie zaczynają przeobrażać się fizycznie, tracą wszelkie uczucia... W Haven rozpoczęła się realizacja planów podjętych przez zmarłych przed wiekami kosmitów. Nie po raz pierwszy King udowadnia, że jest mistrzem w obrazowaniu ludzkiego życia. Jego postaci są wiarygodne psychologicznie, realia amerykańskiej prowincji (rzecz, jak w wielu innych książkach Kinga, dzieje się w rodzinnym stanie autora, Maine) przedstawione drobiazgowo i nie bez ironii, jak zwykle pisarz skupia się na przedstawieniu zakamarków ludzkiej duszy, nie tracą jednocześnie werwy w prowadzeniu akcji. Solidna, długa, ale wciagająca lektura. **(jd)**



Star Wars we wrześniu!

Czyli rzecz, na którą wielu z nas czekało od dawna. Już 21 września premiera DVD oryginalnej trylogii Gwiezdnych Wojen. Na dodatek płyta z bonusami, podobno wiele materiałów nie byo wcześniej publikowanych! Han Solo, Luke Skywalker i Darth Vader powracają do naszych telewizorów. Już dawno wakacje się tak nie dłużyły...

wąski pasek

fajnych newsów

Mos Def w kinie...

Tym razem w filmie „The Sky Is Green", zagra piosenkarza o pseudonimie Carlo, który cierpi na załamanie nerwowe. Ciekawe jak sobie poradzi z tą rolą, bo dotychczas uważałem go za jednego z lepszych aktorów wśród raperów, nawet DMX ganiający ze spluwą przy nim to pikuś!



Dizze i Snoop!

Co ich łączy? Niestety nie wspólne nagrania, ale nowe kontrakty odzieżowe. Dizzee Rascal został flagową postacią odzieżowej firmy Ecko, reklamy z jego udziałem pojawią się pod koniec lata. Natomiast Snoop ma mieć swój udział w powstawaniu nowych modeli obuwia firmy Pony, pewnie jakieś stylowe buciki będą sygnowane jego chudą podobizną!

Dziwny plebiscyt

Jedna z gazet ogłosiła ranking najważniejszych postaci rocka. Wyniki są zaskakujące! Wygrała żona Ozzy'ego Osbourna przed Szatanem! Sam Ozzy nie znalazł się nawet w pierwszej dziesiątce, natomiast zmieściła się w niej Avril Lavigne, czyżby plotki prasy o moim romansie z tą uroczą gimnazjalistką tak dobrze wpłynęły na jej notowania? Nie skomentuję! Ale wy zobaczcie jak wygląda top ten według gazety „Kerrang!":

1. Sharon Osbourne 2. Satan 3. Brian Becker (z Clear Channel Entertainment) 4. Justin Hawkins 5. Rick Rubin 6. Michael Moore 7. Kurt Cobain 8. Rod Smallwood (menedżer Iron Maiden, założyciel wytwórni Sanctuary) 9. Lars Ulrich 10. Avril Lavigne – yeah!

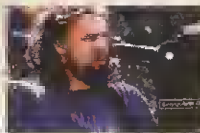
Diaz wyznaje!

Dziewczyna Justina Timberlake'a, aktorka Cameron Diaz oświadczyła, że nie uważa się za seksbombę! Cóż za skromność! Dodała jeszcze bardzo ważne zdanie, które zmartwi niejednego chłopaczynę: „Chcę, żeby dziewczyny zdały sobie sprawę, że nikt nie wygląda na zdjęciach tak, jak wygląda, bez pomocy wielu utalentowanych ludzi". Czyli te wszystkie laski w gazetach to po prostu jedna wielka ściema! Koniec świata!



Elektra na srebrnym ekranie.

Ale nie Carmen Electra, tylko laska, w której podkochuje się (i jednocześnie walczy) Daredevil. Po ekranizacji przygód niewidomego bohatera przyszła pora na Elektrę właśnie. Zagra ją ta sama aktorka co w „Daredevilu", Jennifer Garner, a premiera jest zapowiadana na 2005 rok. Ach, ten czerwony, obcisły kostium!



Rob Zombie coś kręci...

... a konkretnie sequel „Domu 1000 trupów" (recenzje znajdziecie w innej części Bazaaru). Ostatnio szalony Rob założył też studio Creep Entertainment Intl. i planuje ekranizację kilku komiksów Steve'a Nilesa (autora „30 dni nocy" i „Mrocznych dni"). Oj, będzie krwawo i strasznie...

.:Kosma (i trochę Kubaoos):.

#game overload
#recenzje



Painkiller (People Can Fly/Mindscape)

To, co za chwilę przeczytacie, wielu może uznać za kiepski żart, trudno. Nigdzie nie jest napisane, że trzeba wierzyć waszemu szanownemu recenzentowi. Do rzeczy. Painkiller jest grą polską. Jest też Painkiller chyba pierwszą polską grą, która ukazała się nie tylko na PC, ale też na cacko Billa Gatesa zwane Xbox (tak, uważam, że to dobra konsola). Na dodatek Painkiller jest... no co tu dużo mówić, jest po prostu (prawie) REWELACYJNY. Do tej pory wydawało się niemożliwe, by nasza, polska gra była pełni udana. Oczywiście zdarzały się wyjątki, jak choćby Schizm, ale nie każdy lubi tego typu przygodówki. Dużo miał namieszać Chrome... no i namieszał. Patch do niego poprawiający większość niedoróbek miał coś dwieście mega (!).

Zaś Painkiller... od dawna było o nim głośno, że będzie i pecel i Xbox, że podobno – jak na polskie warunki – ma ogromny budżet, że w końcu będzie to pierwsza nasza gra, która NAPRAWDĘ ma szansę podbić świat. Pierwsze screeny, pierwsze filmiki tylko podgrzewały atmosferę. Gra w końcu się ukazała. I kontrolnie powaliła. Grafiką, fizyką, klimatem. Painkiller jest prostą do bólu strzelaniną (to było wiadome od samego początku, że raczej klimaty klejkowe wchodzą w grę a nie halllajfowe), prostą ale nie prostacką. Bo skoro fabuła sprowadza się do eliminacji tabunów tych złych (dosłownie, trzeba załatwić ciemną stronę mocy, a gracz wciela się w cyngla tego z góry), to w zamian coś trzeba dać. No i dostaliśmy – takiej oprawy graficznej nie miała jeszcze żadna polska gra fpp (co akurat nie jest specjalnie nobilitujące), ale też niejeden współczesny, zagraniczny shooter reklamowany jako graficzne cacko. Jak wspomniałem, fizyka gry jest naprawdę efektowna (ale to trzeba zobaczyć). Klimat, hm... niektórzy widzą tu powrót do korzeni: Doom, Quake, niektórzy porównują do Serious Sama (to chyba trochę jednak naciągane). Ja rozwalając zombiaki i inne stwory z piekła rodem przypomniałem sobie np. takiego Blooda, czy Requiem, inne shootery, nieco zapomniane już. Lokacje, na których przychodzi nam eksterminować przeciwników robią naprawdę duże wrażenie, zestaw giwer także, szczególnie, jak wyczaimy przeróżne combosy.

Fakt, że do grafy, klimaciku nie można się doczepić, natomiast jeśli chodzi o samą fabułkę... Pomimo tego, że wiadomo było, iż jej prawie nie będzie, to jednak jest pewien niedosyt. Co bardziej wymagających graczy (nawet fanów fpp) Painkiller może trochę znużyć. Ale to właściwie jedyny zarzut, dlatego też napisałem, że gra jest prawie rewelacyjna.

Rewelacyjna jest także cena polskiego wydania. Jeśli więc mimo tego sięgniecie po piracką wersję, to sorry, ale w tym wypadku nie ma usprawiedliwienia.

.:gad:.



Syberia 2 (Microids/Ubisoft)

Dawno, dawno temu, bo jakieś dwa lata temu (nie ukrywajmy, w świecie gier to prawie lata świetlne) pojawiła się gierka o prostej nazwie Syberia. Nie była żadną strzelaniną, żadnym strategicznym rts-em, a po prostu... grą przygodową. Grą należącą do gatunku, który zdawał się powoli odchodzić w zapomnienie. Któż bowiem w czasach wielogigowych procesorów, kart graficznych zliczających miliony wielokątów na sekundę chce oglądać i grać w gry o prerenderowanej grafice, bez fajerwerków wykorzystujących najnowsze technologie zaimplementowane w DirectX? Ano, okazało się, że bardzo wielu. Może właśnie dlatego, że oprawa graficzna Syberii była przepiękna, fabuła interesująca, zagadki wciągające. No i oczywiście główna bohaterka Kate Walker, pełna wdzięku pani prawnik z USA, przy której Lara Croft sprawia wrażenie niezgrabnego babsztyla pozbawionego zupełnie sexapealu.

Przypomnijmy w jednym zdaniu fabułę Syberii: oto nasza prawniczka dociera na Syberię w poszukiwaniu syna byłego właściciela dość dziwnej fabryki zabawek (miało być jedno zdanie :). Tak było w jedynce. Troszkę trzeba było poczekać i mamy dwójeczkę. No i cóż w niej jest? Nie będę ukrywał, że gry przygodowe omijam raczej z daleka (w nich – niestety – nie da się załatwić problemów za pomocą takiego np. rocketlaunchera), ale czasem trzeba zobaczyć, w co inni grają. Ponownie wracamy na Syberię, ponownie wcielamy się w postać Kate i ponownie rozwiązujemy zagadki – jakie? Sami musicie sprawdzić, powiem tyle, że są sensowne (a to niestety często w przygodówkach szwankuje). Kolejna dobra rzecz – nigdzie nie trzeba się spieszyć, żadnych limitów czasowych, żadnych bezsensownych zadań, które musisz wykonać jak szybko, jak możesz, bo inaczej koniec gry.

Jeśli zaś chodzi o grafę, to chyba nikt nie powinien być zdziwiony, jeśli powiem, że jest po prostu super, a co za tym idzie, i klimat gry jest niepowtarzalny.

Rzadko zdarza mi się zachwycać produkcjami, w których nie ma celownika pośrodku ekranu, tym razem jednak z czystym sumieniem mogę napisać, że Syberia 2 to godna kontynuacja jedynki. I powinni jej spróbować nie tylko zwolennicy przygodówek.

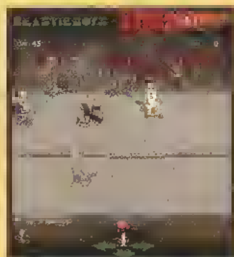
.:gad:.

#game overload
#newsy



Garrett powraca

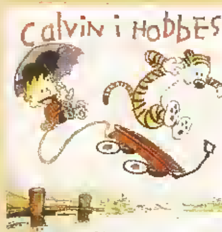
Być może czytając te słowa, będziecie mogli już dostać w sklepach najnowszą odsłonę jednej z najlepszych skradanek fpp ever made, Thief: Deadly Shadows (ok, jest jeszcze Splinter Cell, ale to jakby trochę inna bajka, a raczej rzeczywistość). Jeśli nie znacie jednak poprzednich części, to szybciutko tłumaczę, w czym rzecz. Bohater serii, niejaki Garrett, jest po prostu złodziejem. Akcja dzieje się w świecie fantasy, więc nie należy oczekiwać laserów ani innych futurystycznych broni (choć magia i technika istnieją w świecie gry obok siebie). Garrett, jak przystało na fachowca, nie lubi się rzucać w oczy, więc co bardziej nerwowi gracze (tj. przyzwyczajeni do szybkiej rozwałki) mogą się nieźle natrudzić, nim ukończą grę. Gra jak dotychczas zbiera pochlebne recenzje (nie dziwne, w końcu chodzi na engine'ie Unreala – jeśli mnie pamięć nie myli – czyli wypas). Gra ma się ukazać w oryginalnej, angielskiej wersji językowej.



Beastie Boys kontra George Bush

Beastie Boys znani są ze swych poglądów politycznych (i nie tylko). Nie pierwszy raz angażują się w akcję przeciwko politykom, którzy im nie pasują. Tym razem dostaje się prezydentowi USA i jego doradcom. Ale o co chodzi? Otóż Boys „wystąpili" w grze komputerowej „Triple Trouble", przypominającej nieco klasycznego „Froggera". My, gracze, możemy zagrać Mike'iem D jeżdżącym na rowerze, MCA – na deskorolce i Ad Rockiem – na skuterze. Musimy dotrzeć na meeting polityczny, za wszelką cenę zaś chcą nam to utrudnić George Bush, wiceprezydent Dick Cheney, sekretarz obrony USA Donald Rumsfeld i doradca ds. bezpieczeństwa Condoleeza Rice. W podkładzie muzycznym możemy usłyszeć kawałki z najnowszej płyty Beasties „To The 5 Boroughs". (Sprawdziliśmy, pograliśmy... Prosta flashowa animacja, ale zajawka fajna. Po kilku planszach role się odwracają, a gracz wciela się w Busha, Rice lub Cheneya. Aż się wtedy chce wpaść pod skuter Ad Rocka.)

#nowe komiksy
recenzje

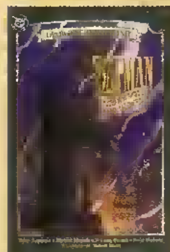


KOMIKS MIESIĄCA

CALVIN I HOBBES
Bill Watterson
EGMONT

„Calvin i Hobbes" to jeden z najsłynniejszych i najciekawszych pasków komiksowych, ukazujący się w latach 1985 – 1995. Przygody dwójki sympatycznych bohaterów – niesfornego sześciolatka i jego pluszowego (ale „ożywającego", gdy w pobliżu nie ma dorosłych) tygrysa, pojawiły się już wcześniej w Polsce. Najpierw było pisemko „Kelvin i Celsjusz" – z niewiadomych względów zmieniono imiona postaci, choć historyczny Calvin był twórcą jednej z odmian protestantyzmu (nazwanej później kalwinizmem), a nie skali temperatur (tę dla odmiany stworzył Lord Kelvin). Hobbes zaś to XVII-wieczny angielski filozof. Autor komiksu, Bill Watterson, przyznawał, że nadanie bohaterom takich, a nie innych imion ma swoje znaczenie, jednak najwyraźniej dotychczasowi tłumacze tego nie zauważyli (w jednej z gazet pasek został zatytułowany „Calvin i Hops"). Twierdził, że postać Hobbesa to przedstawienie subiektywnego spojrzenia na naturę, a nie po prostu maskotka, która ożywa w wyobraźni małego chłopca.

Watterson chciał zmienić oblicze prasowych stripów, nadać im głębszego znaczenia, jednocześnie nie popadając w filozoficzną przesadę, co czasami zdarzało się choćby twórcy „Peanuts", Charlesowi Schultzowi. Komiksy o Calvinie i Hobbesie są bardzo zabawne, pełne świeżego spojrzenia na konflikty między dzieckiem a dorosłymi, mnóstwo w nich też odwołań do kultury popularnej. Jednocześnie autor dążył za wszelką cenę do zachowania artystycznej niezależności, był przeciwny komercyjnemu wykorzystaniu postaci bohaterów, zablokował też realizację kreskówki o Calvinie i Hobbesie. W końcu Watterson uznał, że formuła cyklu się wyczerpała. Po dziesięciu latach narysował ostatni odcinek (ukazał się 31 grudnia 1995 roku). Czy udało mu się dochować wierności własnym ideałom? Wydaje mi się, że tak. Teraz i wy możecie się o tym przekonać. (jd)



BATMAN. GOTHAM W ŚWIETLE LAMP GAZOWYCH
Augustyn – Mignola
EGMONT

Wyjściowy pomysł jest naprawdę kozacki: przedstawić Gotham u schyłku XIX stulecia i umieścić tam bohaterów znanych ze „współczesnych" komiksów (oprócz Batmana pojawiają się m.in. komisarz Gordon, Harvey Dent i jeszcze kilka innych postaci). Na dodatek w rodzinnym mieście Bruce'a Wayne'a pojawia się sam Kuba Rozpruwacz, który ucieka przed sprawiedliwością z Londynu. Od początku wiadomo, że los zetknie obu bohaterów i to bardzo szybko. No właśnie, zbyt szybko. Komiks jest krótki, rozwiązania oczywiste, a sama historia aż prosi się o bogatsze tło, o jak najdokładniejsze przedstawienie Gotham sprzed stu lat. Tym bardziej, że Mike Mignola, tym razem występujący tylko w roli ilustratora, stanął na wysokości zadania. Mistrzowski klimat zyskał godną oprawę, szkoda tylko, że autorzy nie wykorzystali całego potencjału, jaki tkwi w fabule tej opowieści. (jd)



CORTO MALTESE. BALLADA O SŁONYM MORZU
Hugo Pratt
POST

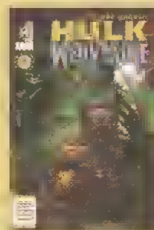
Kilka miesięcy temu ukazał się u nas komiks „Corto Maltese na Syberii", teraz zaś pojawił się pierwszy chronologicznie tom serii, dzięki której Hugo Pratt jest uważany, całkowicie słusznie zresztą, za jednego z klasyków komiksu (i klasyków włoskiej kultury XX wieku w ogóle). Rzecz rozpoczyna się w 1913 roku, płynący przez ocean statek dowodzony przez kapitana Rasputina (!) wyławia trójkę rozbitków: najpierw dwoje młodych ludzi, później – najwyraźniej pozostawionego na tratwie na śmierć – Corto Maltese. Rasputin i Corto znają się dobrze, może zbyt dobrze, zwłaszcza, że zajmują się niecnym procederem szmuglu i piractwa...

W pierwszym tomie niewiele jeszcze dowiadujemy się o Corto. Jego postać odsłania się wraz z kolejnymi kartami opowieści (i kolejnymi jej tomami również). Na początku nie wiadomo w ogóle, czy mu kibicować, czy go nienawidzić, choć Pratt prowadzi swojego bohatera w taki sposób, że nawet podświadomie czujemy do niego sympatię. Sam komiks zaś to sprawnie opowiedziana, inteligentna i pełna podtekstów historia przygodowa, jeden z coraz liczniejszych na naszym rynku albumów, łączących w bardzo zgrabny sposób kulturę wysoką i niską. Dodatkowym plusem jest wstęp napisany przez Umberto Eco: tak właśnie komiks traktuje się na zachodzie, i to powinno być przykładem dla naszych „intelektualistów", którzy w tym gatunku sztuki widzą jedynie rozrywkę dla dzieci. (jd)



BORN #1
Ennis – Robertson
MANDRAGORA

Zastanawialiście się kiedyś, jakie były początki Punishera? Zanim jeszcze zginęła jego rodzina, a on sam rozpoczął swoją vendettę? Oto relacja prosto z Wietnamu, gdzie Frank Castle dowodził oddziałem przeznaczonym do likwidacji – zresztą była to już najwyższa pora, żeby Amerykanie wycofali się z wojny, którą od dawna przegrywali. Jednak Castle żyje wojną i zrobi wszystko, by zostać w Wietnamie i walczyć... „Born" odsłania mroczną stronę duszy przyszłego Punishera, sugeruje, że nie wszystko pod czaszką Castle miał w porządku – i to na długo przed tym, zanim śmierć rodziny dostarczyła mu powodów do nieustającej zemsty. Garth Ennis czuje się w takich klimatach najlepiej, więc, choć to dopiero pierwsza część opowieści, zapowiada się naprawdę mocna rzecz. Dobry scenariusz, dobre rysunki, zajebista postać. Chcę więcej. (jd)



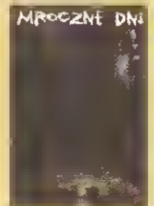
HULK / WOLVERINE. SZEŚĆ GODZIN #1
Jones – Kolins
MANDRAGORA

Występują: dwaj gangsterzy, przemycający sporą ilość narkotyków, młody chłopak, ukąszony przez jadowitego węża, Bruce Banner, uciekający przed tajemniczymi prześladowcami. Wszyscy spotkali się na pokładzie małego samolotu, który musi lądować awaryjnie w kanadyjskiej puszczy. A właśnie tam przebywa teraz Wolverine, który postanowił – przynajmniej na jakiś czas – odciąć się od codzienności. Jak łatwo się domyślić, nie będzie mu to dane. A sytuację komplikuje dodatkowo fakt, że ów chłopak pogryziony przez węża umrze, jeżeli nie dostanie surowicy w ciągu sześciu godzin. Przyznaję, brzmi to jak streszczenie nienajlepszego filmu prosto z Hollywood. Świetna realizacja, słaba fabuła, a poza tym sam Wolverine jest jak Bruce Willis. Potrafi uratować każdy komiks (film). Ale nie narzekajmy, to dopiero początek, potem może być lepiej. Na osłodę okładka Simona Bisleya. (jd)



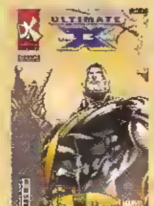
TYTUS, ROMEK I A'TOMEK księga XXIX
Henryk Jerzy Chmielewski
EGMONT

Nie da się ukryć w żaden sposób: najnowszy Tytus jest bardzo słaby. I to powinno wystarczyć. Mam naprawdę wiele szacunku dla Papcia Chmiela, podziwiam to, że w wieku 80 lat robi komiksy i graficznie trzyma dość wysoki poziom. Nie można jednak oprzeć się wrażeniu, że uczłowieczanie Tytusa przez wypiekanie pierników, to pomysł przeznaczony dla nikogo. Fabuła jest cieniutka, akcja poprowadzona na siłę, a poza tym, skoro Tytus był już żonaty (i wspomina, że owa żona go zostawiła – swoją drogą plus dla Papcia za pozbycie się tej postaci), to dlaczego przejmuje się klasówkami? Powinien być w takim wieku, że do szkoły raczej już nie chodzi. No dobra, nie będę się dalej pastwił, w końcu i Tytus i Papcio Chmiel to ikony polskiego komiksu. Co nie zmienia faktu, że najnowszą księga jest przeznaczona wyłącznie dla zagorzałych wielbicieli serii. (jd)



MROCZNE DNI #1
Niles - Templesmith
MANDRAGORA

Kontynuacja niezłego wampirycznego horroru „30 dni nocy". Ocalała z rzezi w miasteczku Barrow Stella postanawia zemścić się na całym rodzie krwiopijców. Opisała wydarzenia na Alasce w książce, zebrała grupę odważnych i rusza do walki z wampirami. Niestety trudno ludzi przekonać do czegoś, w co nie wierzą, a dość nietypowe metody Stelli – likwiduje wampiry m.in. na spotkaniach promocyjnych swojej książki – szybko ściągają na nią uwagę policji i FBI. Nie wspominając o samych wampirach oczywiście. Jeśli spodobała wam się pierwsza część (lub też inna wspólna praca obu autorów, „Abra Makabra") to i ten komiks przypadnie wam do gustu, zwłaszcza ekspresyjne, mroczne ilustracje Templesmitha. Dobry album, choć na pewno nie na każdy gust. (jd)



ULTIMATE X-MEN #2
Millar - Kubert
DOBRY KOMIKS

Klasyczna opowieść o X-Men zebranych w mocno podstawowym składzie: Cyclops, Jean Grey (jako Marvel Girl), Storm, Beast, Colossus, Iceman (mocno nastoletni) i Wolverine (póki co na usługach Magneto). Ludzie nękają mutantów, Xavier szuka pokoju, typ w wielkim hełmie judzi. To co znamy i lubimy. Narysowane (Kubert) jest to porządnie – ciągoty do kiczu (sadzawka ogrodowa z przytulającymi się łabędziami tonąca w różach i fiołkach, niebo w fajerwerkach), równoważą znakomite obrazy biblijnej pożogi. Dobry papier, kolory, cena i świetne tłumaczenie nie zabijające humoru i ducha oryginału pozwalają na relaks i zapomnienie ery TM Semic. Polecam. (flint)

#recenzje DVD muzyczne

DVD'S MIESIĄCA

NAS
VIDEO ANTHOLOGY VOL. 1
COLUMBIA RECORDS

CYPRESS HILL
STILL SMOKIN' – THE ULTIMATE VIDEO COLLECTION
SONY MUSIC ENTERTAINMENT

THE BLACKEYED PEAS
BEHIND THE BRIDGE TO ELEPHUNK
A&M RECORDS

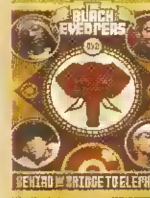
DVD w naszym kraju staje się powoli standardem ogólnodostępnym i coraz lepiej jest z możliwością kupna płytek z materiałem stricte muzycznym. Ceny już nie przerażają, a i oferta coraz bogatsza. W ostatnim czasie rap maniaków spotkał niezły strzał, bo na półkach pojawiły się trzy przekozackie pozycje trzech wyjątkowych artystów.



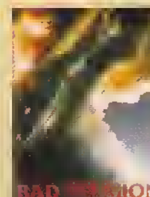
W tym roku mija 10 lat od płytowego debiutu Nasira Jonesa, lepiej znanego wszystkim jako Nas. Po Illmaticu Nas nagrał jeszcze kilka kozackich pozycji, a temu wszystkiemu – co w Stanach jest rzeczą zrozumiałą – towarzyszyło sporo promocji teledyskowej. Przez te lata teledysków nazbierało się Nasowi tyle, że można było skompilować opisywaną właśnie płytkę. 14 wideoklipów, 14 odsłon. Nas nigdy nie przesadzał z efektami w swoich klipach, preferował prostotę, choć to wszystko zduszone jest w amerykańskim stylu, czyli perfekcyjnie i nowocześnie. Podróż przez 14 teledysków jest też ciekawym zapisem tego, jak raper z Queens zmieniał się przez te wszystkie lata, jak ewoluował jego styl, zmieniało się podejście do różnych kwestii. Dla fanów rapu z NYC – absolutny mus.



Wyjątkowo wypasioną produkcją jest z kolei DVD legendarnych Cypress Hill. DVD kręci nam się przez ponad 140 minut, a w tym czasie możemy obejrzeć 22 teledyski, kilka kawałków skręconych podczas koncertów oraz specjalną, bonusową wersję „So You Wanna Be A Superstar". Jednym słowem – wypas dla fanów, dla tych mocno identyfikujących się z Cypress Hill to wręcz prawdziwy mus. Nic bowiem lepiej – nic innego w każdym razie nie przychodzi do głowy – nie odda klimatu zmian, który towarzyszył Cypressom przez kilkanaście lat istnienia ich zespołu. Wiadomo, że CH sprawnie poruszali się między prostym samplowaniem funka, muzą bardziej przydymioną i ostrymi gitarami, wszystkie te okresy rejestrując singlami, do których powstały teledyski. Rzecz godna polecenia ze wszech miar.



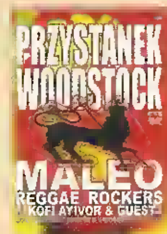
No i ostatnia dziś przedstawiana pozycja. O tym, że Blackeyedzi ostatnio zamiatają rynek, można się przekonać włączając telewizor. Wszędzie pełno ich klipów z ostatniej płyty, czemu zresztą trudno się dziwić, bowiem do uzdolnionych raperów i producentów (parających się również b.boyingiem) na ostatniej płycie dołączyła wokalistka, która nie dość, że potrafi śpiewać, to jeszcze jest zjawiskowo ładną niunką. No to i teledyski powstają:). To oczywiście uproszczenie, a ten krążek pomoże niektórym w odkryciu, że przed albumem Elephunkiem BEP nagrali przecież dwie kozackie płyty – Behind The Front i Bridging The Gap. DVD jest kolekcją wszystkich teledysków grupy, zawiera też materiały bonusowe, dokument, making of klipów, kawałki koncertowe, a także galerię fotosów. Warto obejrzeć. k.



BAD RELIGION
ALONG THE WAY
EPITAPH

Ta płyta powinna być sprzedawana ze specjalną naklejką „Uwaga! Legenda". Piętnaście lat po nakręceniu, najlepszy punkowy dokument w historii doczekał się reedycji na DVD. „Along the Way" upamiętnia trasę jaką w 1989 roku, po nagraniu albumu „Suffer" zagrali w Europie profesorowie punk rocka. Nagrania z koncertów przedstawiające Bad Religion jako znakomitą maszynę koncertową (nic się w tym względzie nie zmieniło aż do dziś) poprzetykano krótkimi wywiadami. Nadal robi wrażenie bardzo dynamiczny montaż, a zwłaszcza ciekawy zabieg – wykorzystując ścieżkę dźwiękową z jednego tylko występu, zestawiono ze sobą zdjęcia z kilku koncertów. Efekt jest niesamowity – oglądamy jak muzycy wylewają z siebie siódme poty, a co kilka sekund „zmieniają się" scena, sprzęt, ubrania muzyków. Najciekawsze, że materiał zrealizowało dwóch studentów jako naukowy projekt. Powinni byli z miejsca dostać po dyplomie. Znakomite DVD zarówno dla fanów HC / punka jak i amatorów niezależnej sztuki filmowej. No i spory kawałek historii. /xSBTNx/



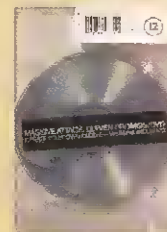


MALEO REGGAE ROCKERS & KOFI AYIVOR & GUESTS
PRZYSTANEK WOODSTOCK
ZŁOTY MELON

Koncert Maleo Reggae Rockers to pierwsze DVD reggae w Polsce, a zarazem pierwszy z występów będących częścią Przystanku Woodstock 2003. Cóż to była za impreza – 400 tysięcy ludzi fantastycznie reagujących na wykonawców, świetne nagłośnienie i naświetlenie. Dzięki udanej realizacji wydania macie szansę sami to poczuć. Producentem muzycznym jest sam Activator Mario Dziurex, dźwięk nagrano w formacie Dolby Digital 5.1 i trzyma to światowy poziom. Strona wizualna dorównuje – kamery przyglądają się nie tylko całej grupie, ale i poszczególnym artystom, publiczności, oferują gamę ciekawych ujęć stroniąc od statyki. Otrzymujemy barwny, wciągający show wzbogacony dodatkami – są zdjęcia, zapowiedzi kolejnych wydawnictw, a co najważniejsze długi, profesjonalnie skręcony wywiad z Maleo i Sivym (denerwuje tylko natrętne stawianie pomnika Jurkowi Owsiakowi).

Sam koncert to coś szczególnego – Europa spotyka się z Afryką, Ameryką a nawet Azją. Kubanka Milagros Machado zadziwia wokalnie (i wizualnie), „profesor rytmu" Kofi Ayivor zaraża niewyczerpalną charyzmą, Diljan Singh nadaje dodatkowej egzotyki niecodzienną, hinduską manierą śpiewania. Kiedy wszyscy oni wykonują razem z MRR „Mama Africa" Petera Tosha, pełna ludzi scena faluje, a publiczność przez 20 minut tkwi w głębokim transie, nie może to nie zrobić wrażenia. Robi je już zresztą sam polski repertuar, zwłaszcza klasyki takie jak „Idą ludzie Babilonu" Izraela czy „Żyję w tym mieście" Malejonka.

Momentami można odnieść wrażenie, że niektóre kawałki są za nadto poprzeciągane, jest w tym pierwiastek agitacji automatycznie włączający człowiekowi nieufność, ale to drobiazgi. Profesjonalnie wydany materiał z duszą, który powinien stać na półce każdego, kto kocha muzykę i obsesyjnie nie tnie jej na gatunki. Flint (CS)



MASSIVE ATTACK
ELEVEN PROMOS
VIRGIN RECORDS

Znakomity koncert, jaki Massive Attack dali na Heineken Open'er Festival w Gdyni, spowodował, że postanowiłem przypomnieć wam małą ciekawostkę, choć wydano ją już jakiś czas temu. „Eleven Promos" to po prostu zbiór teledysków, nakręconych do kolejnych singli z płyt „Blue Lines", „Protection" oraz „Mezzanine". Część klipów brytyjskiej legendy trip-hopu to niewątpliwie małe dzieła sztuki teledyskowej, przy okazji sprawiające wrażenie, jakby ich scenariusze powstały na niezłym haju. Weźmy na przykład słynne „Teardrop" ze śpiewającym embrionem (!) czy znakomicie zrealizowany klip do „Angel". Wyróżnia się też teledysk do utworu „Karmacoma", dziwaczna wizja, rozgrywająca się w hotelowych korytarzach, pełna odwołań do znanych filmów, w których hotel odgrywał niebagatelną rolę (np. „Lśnienie" Kubricka czy „Barton Fink" braci Coen). Inne znów klipy to po prostu wizualne, klimatyczne i barwne jazdy (zwróćcie uwagę na kolory w „Sly"). I tak można wymieniać długo... Jedyną wadą płyty jest kompletny brak jakichkolwiek dodatków, jej zawartość tworzą tylko i wyłącznie klipy oraz suche informacje o ich twórcach. Minimalizm tego dvd podkreśla choćby brak okładki – otrzymujemy tylko przezroczyste pudełko (choć korzystając z zawartego na płycie linku do strony internetowej można samemu stworzyć sobie okładkę). No, ale takie też w końcu jest Massive Attack: zespół, który lubi robić niespodzianki. (jd)

nowe płyty
recenzje



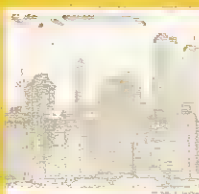
PŁYTA MIESIĄCA
ABRADAB
CZERWONY ALBUM
S.P. RECORDS

Kim jest Dab, pisać nie muszę. Ile czekaliśmy na tę płytę, pisać nie muszę. Napiszę, jaka jest ta płyta. Spróbuję przynajmniej. Sam autor mówi, że chciał, by była niestandardowa, różna w klimatach, by przedstawiała to, jak on widzi polski hip-hop. I od razu rzuca się w uszy, że Dab na robienie rapu ma przynajmniej kilka patentów. Potrafi bawić się metaforami, kombinacyjnie układać słowa, czasami nawet lekko się rozpędzić w dziwacznych układach, by po chwili dla odmiany mówić wprost, celnie puentować, albo miękko opisywać życie wokół siebie. Dab bawi się też stylami – słyszymy nawiązania do flow znanego z czasów Kalibra, ale też Daba, którego na pierwszy rzut ucha ciężko poznać. I najfajniejsze w tym wszystkim jest to, że wszystkie te eksperymenty i pomysły układają się w jedną, spójną całość. Płyta trwa 45 minut i przez ten czas naprawdę ciężko się nudzić.

Muzyka? Tu też nie brakuje poszukiwań. Sporo nowoczesnych brzmień, jak choćby w „Piosence o G.", w której ostrą elektroniką bawi się 600V. Ale nie brakuje tu też nawiązań do klasycznego brzmienia, jak choćby w „Tu mam swój skład (Baku Baku)" opartym o bit Jaja czy „Idealnie", gdzie autorem muzy jest sam Dab. Zresztą jako kompozytora jest go na tej płycie sporo i trzyma niezłą formę. Pamiętacie świetnie brzmiący minimalizm „Miasto jest nasze"? To również produkcja Daba. A wracając jeszcze do muzycznych klimatów, to nie można nie wspomnieć o jednym z najlepszych kawałków, jakie pojawiły się na naszej scenie w ostatnim czasie – pulsujący, lekko regałowy, zahaczający nawet gdzieś w tle o rock „Rapowe ziarno 2" z Gutkiem na wokalach i na bicie Macuka. Niesamowity kawałek! Podobnie jak równie mocno pulsujący i świetnie przewinięty „..." z bitem Banacha. Naprawdę ciężko się nudzić przy okazji słuchania tej produkcji.

Teraz może dwa słowa o gościach. Gutek to stały współpracownik Daba i jeżeli do czegoś można się przyczepić, to tylko do tego, że... nie ma go na tej płycie więcej. W nowej wersji „Miasto jest nasze", tym razem zatytułowanej „Państwo jest nasze", pojawia się Tede, ale niestety swoją zwrotką nie rzuca na kolana. Sympatycznie brzmi Frenchman w „Nocy całej", fajny klimacik wprowadzają CNE i WSZ w „Tu mam swój skład".

Cóż, pora na podsumowanie. Dab wie, jak robić ciekawy rap, jak zwrócić na siebie uwagę, nagrać kawałek bardziej zaangażowany, bardziej luźny, poruszać się po różnych rejestrach możliwości, jednocześnie wciąż pozostając dobrze rozpoznawalnym. I oryginalnym. Bo oryginalność to największa zaleta tej płyty. Płyty dobrej bez dwóch zdań. **kowal**



PŁYTA MIESIĄCA
BEASTIE BOYS
TO THE 5 BOROUGHS
CAPITOL RECORDS

Nie liczmy godzin i lat, które musiały minąć, zanim Bestie znów dały o sobie znać nową produkcją – trochę ich minęło... Ale są i są po prostu niesamowici. 42 minuty jazdy, którą oddają hołd okresowi oldskulowego rapu, jednocześnie jednak pozostając w zasięgu tego wszystkiego, co nowoczesne. To naprawdę rzadka umiejętność, spójrzmy, ilu raperów, by zostać w grze, musi naginać swój styl, zmieniać się. Słuchając rapujących MCA'a, Ad Rocka i Mike'a D. możemy odnieść wrażenie, że jesteśmy w latach 80., 90., a jednocześnie słyszymy, że to stare i doskonale znane flow ma w sobie świeżość, której mógłby Bestiom pozazdrościć niejeden newcomer. Przykładem na to niech będzie choćby drugi na płycie „Right Right Now Now" czy mocno osadzony w elektrobrzmieniu „It Takes Time To Build" – kawałki uniwersalne, zahaczające o to wszystko, co Beastie Boys tworzyli przez lata istnienia zespołu, a jednocześnie nadające się do puszczenia nowej generacji fanów rapu. To wielka umiejętność.

Jest na tej płycie kawałek, który trzeba nazwać niesamowitym – „An Open Letter To NYC". To muzyczna podróż przez miasto, przez tytułowe pięć dzielnic, na gęstym, niepokojącym bicie, będąca jednocześnie hołdem dla multikulturowej stolicy świata. A już chwilę później słyszymy delikatnie psychodeliczny „Crawlspace". I cały czas beatmaszyna chodzi tak, jakby nie wiedziała, że to już XXI wiek i wszyscy kombinują. Jest prosto, klasycznie, a jednocześnie cały czas znajdujemy na tej płycie momenty, których – damy na to słowo! – jeszcze przed chwilą nie było. Fantastyczna muzyczna podróż.

Z 15 kawałków właściwie każdy zasługuje na osobny opis, ale wtedy ta recenzja, z założenia krótka, zmieniłaby się w przydługi esej. A nie o to chodzi, bo największą radochę daje powolne (choć beaty wcale nie są tu wolne...) odkrywanie kolejnych jej etapów. Materiał niby krótki, ale esencjonalny. I to niezwykle esencjonalny. Dajcie się porwać. Warto. **kowal**



GHOSTFACE
THE PRETTY TONEY ALBUM
DEF JAM / UNIVERSAL

Ghostface w nowej odsłonie. Zmienił wytwórnię, skrócił ksywkę, zmodyfikował styl. Pytanie tylko, czy wyszło mu to na lepsze. Jego, dziś już klasyczny debiut nagrany w towarzystwie Capadonny i Reakwona, postawił poprzeczkę wysoko i to nie tylko z racji jedynych w swoim rodzaju podkładów, ale także dzięki nietypowemu miksowi, który zdefiniował rozpoznawalny styl rapera z Wu-Tangu. „Ironman" w całości wyprodukowany został przez RZA. Na „Pretty Toney" ten muzyczny geniusz jest autorem tylko dwóch, i to wcale nienajlepszych, kawałków. Pozostałe produkcje wyraźnie starają się nawiązywać do tradycji poczynań Ghostface'a choć są dziełem całej plejady różnych producentów, w tym samego Ghostface'a w energetycznym kawałku „Holla". Otwierający album „Biscuits" to prawdziwy oldskulowy numer, z czasów, gdy nikt nie przejmował się, że nie umie śpiewać. Na pewno w Stanach hitem będzie utwór „Tush", w którym Missy Elliott wspina się na wyżyny swojego stylu. Tylko refren, złożony z samych szeleszczących sylab, brzmi dość dziwnie. Niektóre kawałki, jak „Tooken Back" czy „Beat The Clock" osadzone są na starym patencie, charakterystycznym jeszcze dla „Ironmana" – gdzie w tle agresywnego freestyle'owego stylu Ghostface'a przebijają się słodkie damskie wokale wycięte z soulowych piosenek lat 70. Choć „The Pretty Toney Album" daleko do „Supreme Clientele" jest na nim wiele kawałków, które się pamięta. Pamiętny jest wprawiający w lekką konsternację ostatni track „Love", w którym zachrypnięty Ghostface wykrzykuje swoje uwielbienie dla wszystkiego, co się rusza. Jedyne co boli to, że w miarę upływu lat nasz raper nie poważnieje a jedynie staje się bardziej obleśny. Sowim erotycznym fantazjom daje upust w prawie każdym kawałku a kropkę nad i stawia skit „Baththub". **Fala**



1125
NEXT WAR
DFF RECORDS

Poprzednia płyta popularnych „Jedenastek", „Nieugięci" podobała mi się o tyle, o ile. Nowy, czwarty (lub czwarty i pół, jeżeli liczyć split z Frontside) materiał ekipy ze Złotowa jest już nieco lepszy, choć i tak nie rzuca na kolana. Muzyka 1125 zyskała znacznie na ciężarze, zbliżając się do nowej szkoły hard core'a. Brzmienie płyty przytłacza mocarnością, czemu przysłużyła się bardzo dobra produkcja. Gitary koszą równo z ziemią, potężny rytm dudni w uszach, ale mimo całej swojej brutalności nowemu wcieleniu Jedenastek nie brakuje melodii. Fanom takich załóg jak Hatebreed, Sworn Ene-

Są wakacje! Chociaż cieplej jest pewnie na północy Szwecji, chociaż tańszy alkohol jest na Białorusi, chociaż policja kręci się po osiedlu jeszcze częściej, to cieszcie się chwilami beztroski! A powiem wam szczerze, że nikt tak nie relaksuje jak lektura naszego pisma! Wiem, wiem i jest mi bardzo przyjemnie, czuję się wręcz zaszczycony taktem, że to moja rubryka ma najwięcej tanek! Nawet Jeż Jerzy lekko się spienił i nęka mnie telefonicznymi anonimami o 4 nad ranem. Ale nie poddam się!!! Piękne dziewczyny, czekam na wasze gorące zdjęcia i listy! Gdy wy będziecie wylegiwać się na plaży, ja będę szukał dla was zaskakujących, często debilnych informacji ze świata rapowego show-biznesu! Newsy atakują was z grubej rury, na początek informacje o nadchodzących płytwach! Dalej znajdziecie całkowity kolaż informacji o waszych ulubionych wykonawcach i ich duetach muzycznych z ładnymi dziewczynami!

Al-hub vol. II?
Gorący Red pracuje nad trzecim producenckim albumem, którego roboczy tytuł brzmi „Genesis". Zapowiada się solidna porcja nowoczesnych brzmień, opartych na najlepszych syntezatorach. Na majku m.in. Eldo, Pezet, Echo, Kasta i Mes. Płytę wyda T1-Teraz, premiera krążka listopad 2004. Szkoda, że nie latem, bo specjalnie tubę w maluchu wymieniłem dla tej płyty!

Deobe & Dena
Dena, swego czasu rozchwytywany producent, powraca po okresie długiej przerwy. Zrobił muzykę, pod którą swoje rymy nagrał Deobe. Jakby tego było mało, chłopaki znaleźli wytwórnię, która to wyda. Płyta ukaże się w połowie sierpnia nakładem UMC Records.



Polityczny mixtape!
Dj Whoo Kid wydaje taśmę o tytule „Rap The Vote Mixtape", która ma propagować uczestnictwo w wyborach. Mówiąc ściślej ma nakłonić młodzież do głosowania na Kerry'ego, żeby zły wujek George nie został wybrany ponownie. Dj dostał poważne wsparcie od raperów takich jak 50 Cent, Snoop Dogg, Nas, Talib Kweli i Dead Prez, którzy wystąpią na tej produkcji.

Dizkret pracuje...
Nad nowym albumem! Prace trwają w studiu w Częstochowie, a nad brzmieniem czuwa Dj Haem. Natomiast autorem bitów jest nieznany szerzej producent o tajemniczej ksywie Pat Patent. Na albumie usłyszymy także zespół grający na klawiszach, basie i gitarze. Śpiewające refreny mają być dziełem Piotrka Pacaka. Wkrótce możecie się spodziewać singla zwiastującego to wydawnictwo. Jeżeli chcecie usłyszeć, w jakiej formie jest Dizky i jesteście bardzo niecierpliwi, to kupcie mixtape Dj'a Taśmy „Inna Caribean Stylee" – tam gościnnie pojawił się raper Starego Miasta.

Reprezentuj wydaje!
Reprezentuj to nowy label, którego nakładem ukazał się nielegal Dobrej Marki. Jesienią planowane jest wydanie legalnej produkcji zespołu Smagalaz (polsko-niemiecka kolaboracja). Na dokładkę Reprezentuj zamierza wydać winylowe single z zapomnianymi już imprezowymi kawałkami polskiego hip-hopu (oprócz oryginalnych wersji także remiksy).



Q-Tip jesienią
A ściślej jego nowy album! Oprócz niego na albumie pojawią się najważniejsze postacie, które nie stronią od eksperymentów z tym nurtem. Mowa oczywiście o Andre 3000 z Outkastu i Commonie!

Śfider wraca!
Niehiphopowy zespół wydał niehiphopową płytę, jednak hiphopowcom może ona przypaść do gustu, za sprawą rapowanych wokali do ostrej gitarowej muzy. Wszystko to na nowej

my czy Blood For Blood (których, po niedawnych koncertach w PL dwóch ostatnich bandów, zapewne jeszcze przybyło) powinno takie granie się spodobać. Nie wiem tylko po co na „Next War" ponownie nagrano kilka utworów znanych już z poprzedniej płyty, tyle że w wersji anglojęzycznej. Ach tak, wspomnieć należy, że 1125 wszystkie nowe utwory wykonuje już w języku obcym, choć wokalista nadal niezrozumiale bulgocze, więc wielkiej różnicy to nie czyni. Tyle odnośnie muzyki. Tekstów nie chcę komentować, bo gangsterskie klimaty jakie przyjęły się tu i ówdzie na scenie HC uważam za pretensjonalne i głupie. Mam nadzieję, że panowie z 1125 nie traktują śmiertelnie poważnie wszystkiego, co wykrzykują. Album znakomity dla zwolenników podobnej muzy. Ja wielkim orędownikiem takich ciężarów nie jestem, więc dla mnie krążek jest jedynie przyzwoity. **/xSBTNx/**



SISTARS
EP
OŻEJ OŻEJ MUSIC

Sistars jeszcze niedawno nagrywały dla Wielkiego Joł, teraz są w Dżej Dżej Music, po drodze zahaczając o Warnerа. Krążą, krążą, a ta ep-ka to taki krótki zapis tego krążenia i jednocześnie największego zamieszania w polskiej muzie ostatnich miesięcy, a także gadżecik dla fanów, gdyby chcieli na czymś tajnym zebrać podpisy swoich idolek i ich zespołu. Gadżecik, bo cztery kawałki plus dwa teledyski to ewentualnie apetizer przed nowym albumem, który – miejmy nadzieję – ukaże się jakoś niebawem. Wtedy popiszemy więcej, bo co tu napisać o grubszym singielku? No dobra, może to, że „Sutię" znają już wszyscy, „Freedom" też, tanecznie pulsujący remix „Synu" jest całkiem niezły, ale już „I Hear The Music" troszeczkę za bardzo podjeżdża clubbingiem, miejmy nadzieję, że incydentalnie. **kwl**



OWAL/EMCEDWA
EPIZOD III: WIRUS
UMC

Wirus, którym łatwo się zarazić. Owal zrobił się cięty, podniosło mu się ciśnienie, a przy tym nie stracił na wiarygodności – wciąż ma na tyle wysokie ollie, by nie łamać deski, wciąż wie, że jego pierwsza będzie ostatnią i że to nie stringi zamieniają dziewczynki w kobiety. Słucha się go lepiej, do perfekcji opanował wyczucie rytmu, wie jak rozłożyć sobie słowa w wersach, by łajnie to zarymować. I chociaż na albumie jest mniej punchline'ów niż uważa autor, większość refrenów chwyta jak trzeba, i to wcale nie te śpiewane. Dynamika to w dużej mierze zasługa beatów – Tabb i Ike dobrze wiedzą, co robić z samplem, basem i że perkusja ma uderzać. Jest w tym siła, panowie są dobrzy. Klasyczny OSTR nie przeszkadza. Kada udowadnia, że można w Wielkopolsce zrobić bardzo melodyjny numer mocno tnąc próbki, a nie uciekając w słaby syntezator. Nolte buduje dla odmiany syntetyczny klimat na samplach. Nawet Doniu się obudził, robiąc coś, co brzmi, ma energię, i choć brakuje w tym wdzięku i płynności, to taki „Koncert w Polsce" jest... bardzo dobry (ma do pary świetny tekst). Za to „Mam misję" i „Przełom" chybione przez budzące rozpacz, non stop powtarzające się klaśnięcie w roli werbla. WDK, weterana z południa stać na więcej – jego beaty nie zwracają uwagi, pozostają w tle osiągając poprawność. Po bardzo cienkim lodzie stąpa DNA – przyspieszony wokalny sampel jest jak stary dowcip opowiedziany w nieodpowiedniej chwili, a „Powiedz" to rzecz najsłabsza na płycie – beat z kategorii tych, po których od razu wiemy, w jakim labelu wyszedł album. Powiedzmy jednak uczciwie, gust Owala nie zawiódł, większość podkładów jest udana i tylko Dj Hen hen hen za czołówką. Cuty są nie w tempo, źle dobrane, często zbyt długie, niepotrzebnie się powtarzające. Rehabilituje się nieco samymi skreczami. Mniejsza o to, i tak kupuję efektowną i o dziwo charyzmatyczną prostotę poznaniaka, te wszystkie wersy w rodzaju „nie zamarznie, gdy nie ma mrozu", kupuję ten cały komputerowy slang wskazujący na jego zawód, docinki w stronę prawilnych i Mezo w życiowej formie mówiącego, że zbudowali oni swój własny system. Wy też kupcie, choćby dlatego, że „Epizod III", „Koncert w Polsce", „Sprawdź towar" a zwłaszcza „Rapteatr" są na single i repeat. I wrzucajcie na UMC ile wlezie, bo wkurwiacie przesłodzonych naiwniaków zmieniając ich w rapujących łacetów. **Flint (CS)**



LEMAR
DEDICATED
SONY

Myślicie, że to tylko nas straszą z radioodbiornika i telewizora laureaci Idola? Mylicie się. Takie rzeczy zdarzają się także w, genialnie przecież dającej sobie radę na światowym rynku muzycznym, Wielkiej Brytanii. Debiutancki album Lemara to właśnie efekt uboczny tandetnej rozrywki dla mas o nazwie Fame Academy. Dwudziestopięcioletni młodzian w gamiturze zapychający na ósmą rano do banku, został dostrzeżony wśród finalistów przez gwiazdę brytyjskiej piosenki, Beverly Knight. W porywie dobrego serca zaprosiła Lemara do duetu na swoim koncercie. Po udanym show do przystojnego wokalisty amatora zgłosił się koncern Sony. W tych oto okolicznościach powstało „Dedicated". Album ten nie płynie na fali modnych produkcji garage czy r'n'b. Piosenki utrzymane są raczej w stylu retro, nawiązują do funku i disco lat 70. Ten nieco zakurzony styl idealnie pasuje do gardłowego zachrypniętego wokalu Lemara. Miła dla ucha i niezbyt wymagająca muzyka przypomina klimatem Brand New Heavies, trochę Ala Greena i Gerald Leverta. To, co sprawia, że „Dedicated" nie stanowi tandetnej powtórki z wymienionych pozycji, to oryginalna aranżacja wokalu korzystająca z dorobku nie tylko funku i r'n'b, ale i reggae. W jednej z niewielu ballad na płycie „50/50" pojawia się zaskakujący sampel: „Can't Knock The Hustle" Jay-Z. W tle głosu Lemara wyraźnie słychać charakterystyczne wokalizy Mary J. Blige. „What About Love" to z kolei koszmarna ballada a la Beyonce, którego to wyjca należy bezwzględnie unikać. Ostatni utwór, soulowy „All I Ever Do" zagrany na gitarze przez samego Lemara przypomina piosenki Indii Arie i stanowi miły akcent na koniec. Choć „Dedicated" jest o niebo lepsze od wszelkich albumów naszych rodzimych „Idoli" dla kogoś, kto w muzie szuka wykopu i hardkoru a nie lajtowych wibracji może okazać się niestrawnym popem. **Fala**



OBÓZ T. A.
DBD2 TA
FONOGRAFIKA

Pamiętacie jeszcze ten specyficzny vibe, jaki był na czarnej płycie Obozowiczów – wszystko brzmiało to świeżo i ciekawie, wtedy nikomu szerzej nieznany Red rymował po francusku, a O. S. T. R. był młodym, gniewnym i również nieznanym mc... Ach, to były czasy. Mimo tego płyta nie zdobyła wielkiej sławy, na następną pozycję Obozu TA trzeba było czekać aż cztery lata, a w tym czasie drogi mc's nieco się „rozeszły". Obecnie skład wygląda następująco: Red (produkcja, rap), Spinache (produkcja i rap), Czizz (rap), Miko (produkcja i rap), Mizone (rap) i Emes (rap). To oni są odpowiedzialni za drugi album formacji. Pierwsze, co można stwierdzić po przesłuchaniu tego krążka, to fakt, że jest on strasznie kolorowy. Różne klimaty, różne języki rymowania, różne bity, lecz mimo to świetnie słucha się tego w całości. Najlepsze kawałki? Nie mogło zabraknąć imprezowych numerów, które genialnie bujają głową – najbardziej podoba mi się „No chodź" nagrany przez Spinacza i Mika, do bitu tego pierwszego. Świetne tempo, wykrzykiwany charakterystyczny dla Thinkadelic refren i polsko-angielskie rymy. W podobnym klimacie utrzymane jest singlowe „Na zawsze", tutaj pojawiają się także Mizone i Czizz. Pierwszy w roli lovelasa ze złamanym sercem jest przekonujący „Czułem to, miałem serce w bliznach/ Miłość bez wzajemności to trucizna/ Ja nie chciałem jeździć na takich dieslach/ I nie chciałem ruchać dziwek na disco, to łatwizna" – szczególnie ta trafna socjologiczna ob-

płycie Štider Anyy, chrzanowskiego składu, który wydał swoją płytę w gratisowej wersji internetowej. Ze strony www.sfider.pl można pobrać całą płytę wraz z okładką i teledyskiem do nagrania „Szukam", który już niedługo powinien zagościć na ekranach stacji muzycznych. Za brzmienie płyty odpowiada DJ TerazPolska, a teledysk został wyprodukowany przez H22 (h22. prv. pl).

■ Klasyk po wakacjach?
Kojarzycie ich pewnie z drugiego Kodeksu, wypowiedzieli wojnę „dokładnie w twoich uszach"! Kawałek na składance Whitehouse, narobił niejednemu słuchaczowi apetytu. Dla wszystkich mam dobrą wiadomość. „Materiał Instruktażowy" Miejskiego Klasyku ukaże się prawdopodobnie jesienią.

■ Pharaohe u Ema!
Raper, którego kojarzyć możecie z wielu filmów o graffiti. Jego utwory pojawiały się tam dość często – „Simon says", „Terrorist" musicie pamiętać! Otóż Pharaohe Monch przymierza się do wydania nowego krążka. Jeżeli wszystko potoczy się po jego myśli, album zostanie wydany w wytwórni Shady Records należącej do Eminema.

■ Hassie blefuje?
Okazało się, że raper Ice-T zrobił sobie niezłe jaja, wcale nie zamierza produkować płyty Davida Hasselhoffa. Szkoda, bo już miałem nadzieję na teledyski z tymi wszystkimi plastikowymi ratowniczkami, wśród których obwieszony złotem Hassie rymuje razem z P. Diddym i Nellym.



■ LL Cool J
Wiadomo już jaki utwór będzie promował najnowszą płytę rapera, to kawałek o tytule „Headsprung", do którego bit zrobił Timbaland, czyli facet odpowiedzialny za produkcję tej płyty. A „DEFinition" od 13 sierpnia powinien być w sklepach. Ciekawe czy LL będzie płynął na bitach Timba niczym genialna Missy?



■ Paris Hilton rap!
Jeszcze niedawno cały świat oglądał dziedziczkę wielkiej fortuny w amatorskim video nagranym ze swoim chłopakiem, zgadnijcie, co robili i podpowiadam, że gorsze rzeczy niż wy z waszymi koleżankami w przedszkolu! Ale do rzeczy, Paris Hilton nagrywa płytę a pomaga jej król crunku, czyli dirty Lil Jon. Wyjdzie niezłe komercyjne gówno, a promować je będą przesycone erotyką klipy, czego sobie i wam drodzy czytelnicy życzę, Yeah!

■ Mes też odpowiada!
„Jak to jest" to z kolei odpowiedź Mesa. Ten Typ nie przebiera w słowach, pojechał Meza bardzo konkretnie. Najlepszy fragment? O królu UMC z Warszawy i pannach. Sprawdźcie to koniecznie! Z pewnością ten cały beef wyjdzie naszemu rodzimemu hip-hopowi na dobre... Zobaczycie!



■ Jay-Z wraca?
A co myśleliście, że on naprawdę kończy karierę? Pochwalę się, że właśnie takiego posunięcia rynkowego, jakie zrobił Snop, się spodziewałem. Raper będzie dalej nagrywał, tylko nie jako Jay-Z, ale jako Shawn Carter. Zastanawiacie się dlaczego? Już wam wujek ekspert Kosma wszystko tłumaczy. Jigga miał podpisaną umowę z Def Jamem, która wygasła po Black Albumie. Natomiast prawa do nazwy Jay-Z posiada Russell Simons (pierwsza szklana w show-biznesie rapowym). Dlatego następny album będzie wydany pod imieniem i nazwiskiem artysty, a wyda go wytwórnia Doktora Dre, czyli Aftermath. Kolaboracja Dre-Jigga brzmi bardzo, bardzo obiecująco, ziom!!!

serwacja z ostatniego wersu pozostaje w pamięci. „3XL" to zabawny song, tutaj pojawiają się także Dedote (zapamiętajcie tego gościa) i Oxy, którego lematem jest olbrzymi rozmiar – ciężko wyróżnić jakiegoś mc, wszyscy reprezentują wysoki poziom prześcigając się w abstrakcyjnym myśleniu na ten temat. Oprócz bardziej imprezowych kawałków, znalazło się też miejsce na refleksje i obserwacje, podobać może się „Kombek" z ciekawym, pełnym skreczy refrenem czy „Miłość do hip-hopu" pełen gorzkich myśli na temat rodzimej sceny. Na płycie znajdują się jeszcze utwory Mika i Kevina, którzy tworzą anglojęzyczny duet P'AM – to leniwie i przyjemnie brzmiące kawałki wzbogacone dawką skreczy, opowiadające o relacjach damsko – męskich. Główni bohaterowie tego krążka, Red i Spinache będący autorami większości muzyki na tym krążku zasługują na najwyższą notę, ta muzyka to powiew świeżości, chociaż niektóre tracki za bardzo pachną produkcjami Kanye Westa. Cieszą także skrecze Cube'a i produkcje debiutantów – Dima i N. O/Respekt. Raperzy? Charakterystyczna dla Eudezet szkoła rymowania, która ma tylu zwolenników co hejterów. Ja należę bez wątpienia do tych pierwszych. Jeżeli „przespaliście" pierwszą płytę Obozowiczów, macie okazję nadrobić zaległości. To bardzo solidny krążek, nie powinniście się przyznawać, jeśli go jeszcze nie słyszeliście. Jedna z ciekawszych płyt 2004 czeka na was w sklepach, nie możecie jej przegapić. Kosma



MINISTRY
HOUSES OF THE MOLE
SANCTUARY RECORDS

Nie wiem, czy zdecydowana niechęć do polityki George'a Busha powoduje, że można nagrać dobrą płytę. Ale coś w tym jest i to niezależnie od gatunku. Znakomity album Beastie Boys, czy opisywana właśnie płyta Ministry są najlepszymi dowodami na poparcie takiej teorii. Zresztą Al Jourgensen z ekipą musi być mocno wkurzony, skoro niecały rok po wydaniu „Animosotisominy" wypuścił nowy album... Ministry przyjęło na siebie rolę taką, jaką ma Michael Moore w kinie. Atakuje politykę i rządy Busha juniora zaciekle, bezpardonowo i wytrwale. Wystarczy spojrzeć na tytuły utworów. Wszystkie zaczynają się na literę W (jak W w George W. Bush), oprócz pierwszego, który dla odmiany zatytułowany jest „No W", co można przy okazji rozwinąć jako „No War". Od tego typu skojarzeń ta płyta się wręcz roi, warto się pobawić w ich wyszukiwanie. A jak jest od strony muzycznej? Bardzo dobrze. Płyta brzmi jak kontynuacja „Psalm 69" (która, swoją drogą, była skończonym arcydziełem industrialno – metalowego grania): agresywne, wręcz thrashowe gitary, lekko przetworzony wokal Jourgensena, sporo elektronicznych zgrzytów i innych tajemniczych dźwięków. Czasem zespół gra szybko, brutalnie, czasem lekko zwalnia tempo („Worm" brzmi niczym niektóre dokonania Sisters Of Mercy), ale cały czas trzyma poziom. Dla słuchaczy nieprzyzwyczajonych do tego rodzaju muzyki może to chwilami być doświadczenie trudne do przebrnięcia, ale zapewniam, że warto podjąć próbę. (jd)



MONSTER MAGNET
MONOLITHIC BABY
STEAMHAMMER

Bezkompromisowość, z jaką Dave Wyndorf wraz z kolegami napina swoje psycho-brudne rokendrole ma chyba za zadanie przekonać, że rock is not dead. i jeszcze długo nie będzie. Nie można odmówić tym typom talentu oraz tego, że potrafią wspomniany przekuć na rdzenne pierdolnięcie z rurami wydechowymi w tle. Prostota, ale i psychodelia, melodyjność, ale i momenty konkretnej jazdy z prostymi riffami i mocnymi bębnami. Do tego niesamowity głos Wyndorfa. Warto przejść przez ten album choćby dlatego, żeby czasami odmulić sobie głowę, na przykład po zbyt udanym weekendzie... k.



MC LYTE IS LYTRO
DA UNDAGROUND HEAT VOL. 1
BMG

Długo zastanawiałam się dlaczego po świetnym albumie „Seven & Seven" wydanym w 1998 pionierka babskiego rapu zamilkła. Nie ukazał się żaden jej klip ani singiel, choć gościnnie pokazała się w teledyskach Erykah Badu oraz Timbalanda i Magoo. Można się było domyślić, że coś się święci. Miesiąc temu, grzebiąc w secondhandzie płytowym we Francji w ręce wpadła mi ta oto płytka i gdy już miałam ją odłożyć myśląc, że to jakiś oldskul, uwagę moją przykuła data. 2004! A więc nówka szluka. Tytuł „Undaground Heat" świadczyć ma o tym, że MC Lyte zeszła do podziemia. Stąd to właśnie tak mało o niej słychać, choć wciąż rapuje jak zła i o emeryturze nie ma mowy. Jej zajawka i energia sięgają zenitu i mimo fatalnych recenzji zagranicą, ja zaliczam „Undaground Heat" w poczet albumów zajebistych. Dziennikarze zarzucają jej kiepskich gości, wtórne podkłady i niedopracowanie. Tymczasem ja mówię – to mistrzowsko, że taka ikona rapu jak MC Lyte ma gdzieś lans i bauns. Potrafi w cztery dni nagrać album z początkującymi raperami z osiedla i producentami, o których nikt dotąd nie słyszał i wychodzi z tego bomba. Co z tego, że muzyka nie jest wielce odkrywcza, skoro taka ascetyczna idealnie pasuje pod wyszczekany wokal Lyte, która swoim bragga po raz kolejny udowadnia, że choć świetna od lat, wciąż potrafi się rozwijać. „Undagorund Heat" jest musowy dla tych, którzy nie wiedzą lub zapomnieli o istnieniu Lyte (w ogóle są tacy?) oraz, przede wszystkim, dla tych, którzy chcą odzyskać wiarę w hip-hop. Naprawdę gdzieś tam w Nowym Jorku w zapyziałych piwnicach i blokach wciąż pulsuje rytm i kipi zajawka, od której się wszystko zaczęło. Fala



VELVET REVOLVER
CONTRABAND
RCA/BMG

Wokalista Stone Temple Pilots plus gitarzysta i sekcja rytmiczna Guns'N'Roses, a do tego koleś, który kiedyś grał na gitarze między innymi w Suicidal Tendencies. Powrót do miejsca, w którym rock był kilka lat temu, zanim w modę weszło sceniczne pedalstwo i przynudzające klawisze. Proste, momentami lekko odjeżdżające teksty, mocne riffy, sporo melodii, ale ostrej, niepiknikowej. A na końcu płyty ballada, która pewnie za jakiś czas stanie się tak popularna, jak „Sweet Child O' Mine"... Scott Weilland robi ze swoim głosem naprawdę niesamowite rzeczy, podobnie jak Slash z gitarą. Warto posłuchać, bo to płytka, która za kilka lat może być wymieniana jednym tchem z klasykami rocka. k.



THE BEST OF HOUSE OF PAIN AND EVERLAST
SHAMROCKS & SHENANIGANS
WARNER/RHINO/TOMMY BOY RECORDS

Everlast zmienił wytwórnię nagraniową, więc jego stary wydawca postanowił rzucić na rynek trochę materiału, do którego ma prawa. Wyszedł rarytasik, bo kompilacja największych hitów House Of Pain to krążek, który każdy rapowy tygrys powinien mieć w swojej kolekcji, a wieczorem napinać na odkręconym odtwarzaczu niemal do bólu, gdyż HOP to niezrównani twórcy chuligańskiego, białego rapu. Do kawałków składu dochodzą produkcje Everlasta z początków jego kariery, gdy był jeszcze w układzie z Ice'm-T, solowe kawałki z dwóch pierwszych płyt wydanych po rozpadzie HOP, słynny „Just Another Victim" z Helmetem oraz wydany tylko na singlu „Punch Drunk". Słucha się tego z przyjemnością, przypominając sobie stare dawne czasy, a jednocześnie rejestrując jedną z najciekawszych karier w historii amerykańskiego h-h, bo tak z pewnością można określić muzyczną drogę Erika Schrody a.k.a. Everlast. Brakuje tu jednak jednego kawałka – singlowego „Legend", genialnego podsumowania szołbizu, pod którym jednak dziś Everlast się nie podpisuje, choćby z powodu brutalnego nawiązania do samobójczej śmierci Kurta Cobaina. W każdym razie kompilacja w porządku, polecam. k.



V/A
ROCK AGAINST BUSH VOL. 1
FAT WRECK CHORDS

Jurek Bush nie ma lekkiego życia. Jeśli akurat nie jest zajęty wszczynaniem wojen i wdrażaniem ustaw, które wspierają tylko bogatych, białych mężczyzn, to spada na łeb z roweru lub zmaga się z diabelsko skomplikowanym urządzeniem, jakim jest parasol. Teraz biedaczysko będzie musiał przełknąć jeszcze tę płytę. Oby się nie udławił jak onegdaj preclem.

Niniejszy album jest częścią szerokiej kampanii, w jaką zaangażowało się kilkudziesięciu wykonawców pragnących wyrazić swój sprzeciw przeciwko – tu cytat z okładki – „niebezpiecznej, destruktywnej i zabójczej polityce George'a Busha i jego administracji". Głową całego przedsięwzięcia jest wydawca albumu, Fat Mike, znany jako wokalista NO FX.

Utwory na płycie są silniej lub słabiej powiązane z tematyką społeczno-polityczną, w większości zaś pochodzą z archiwów wykonawców i do tej pory nie były jeszcze upowszechnione. W obsadzie dominują „gwiazdy" punk rocka, począwszy od „alei zasłużonych" (Jello Biatra i D. O. A., Descendents, Social Distortion, NO FX, Pennywise), poprzez współczesne tuzy ostrego grania (Anti-Flag, Alkaline Trio, Strung Out, Strike Anywhere), popularnych neo-punkowców (Sum 41, Offspring, New Found Glory, Tha Alaris), po formacje, które na razie wyrabiają sobie markę (None More Black, Against Me!, Authority Zero, The Soviettes, The Frisk). Z punczurskiego kanonu wyłamują się: przywołujący ducha nowej fali lat 80., zwariowani Epoxies, grający niczym Devo za dawnych lat, jajogłowi college'owcy z The Get Up Kids, „przemysłowy" zgrzyt Ministry, hiphopowe reggae w wykonaniu RX Bandits, piękne nastrojowe emo Denali i kompletny miszmasz stylistyczny kolektywu The World/Inferno Friendship Society. Jako ostatni prezentują się młodzi punkowcy z Less Than Jake wspierani przez legendę lat 70, Billy'ego Bragga.

Jako dodatek do płyty CD, album zawiera też krążek DVD. Do obejrzenia m.in. filmy dokumentalne odsłaniające prawdziwe oblicze wojny w Iraku oraz szczegóły upadku koncernu Enron; krótkometrażówki o Bushu Jr. i teledyski Bad Religion, NOFX, Strike Anywhere oraz Anti-Flag.

Świetna muzyka w służbie słusznej idei. Do tego bardzo przystępna cena. Naprawdę warto kupić tę płytę, bo choć sama w sobie nie wyeksmituje ona z Białego Domu obecnego lokatora, to zapewni kilkadziesiąt minut solidnej rozrywki. /xSBTNx/

P. S.: Na dniach premiera drugiej odsłony kompilacji.



CINQ G
P.I.E.C.G.I.E. PANAMA
FUNKY DUB PRODUCTION

Dancehall po polsku – wydawać by się mogło, że to niemożliwe, a jednak. „Zepsul" Cinq G udowadnia, że nawet tak ponura i zrzędliwa nacja jak my, potrafi zrobić muzykę tak optymistyczną i wręcz przesyconą słońcem, jak dancehall. Trzej warszawiacy ukrywający się pod pseudonimami: Radikal Irie, Mista Pita i Grande Pe (jamajskie wcielenie znanego z rapowych dokonań Dużego Pe) wysmażyli „najgorsze rege w mieście" i to w dodatku prosto z Panamy. Pulsujące i bardzo energetyczne riddimy, w których pobrzmiewa zarówno elektronika, jak i żywe instrumenty ubarwione zostały wokalami. Z jednej strony mamy twardo stąpającego Pe, uprawiającego braggadocio, lub uciekającego w poezję – „Witam się z bitem sypię kolejną frazę/ po to, by myśli językiem spić likier wydarzeń/ tyk za tykiem, a fraza po frazie/ znajdę oazę na saharze marzeń" („Sputnik"), z drugiej Mista Pitę, obdarzonego chropowatym głosem wariata zapodającego abstrakcyjne teksty pokroju: „zapuszczam się w miasto radzieckim sputnikiem/ napędzanym od trabanta dwusuwowym silnikiem". Na albumie można znaleźć sporo przebojów idealnie nadających się do zabawy, jak choćby „Praktyka", czy „Ręce w górę na raz)". Konwencja zabawowych rytmów z Jamajki łączona jest nawet z klasycznymi brzmieniami muzyki wykorzystywanej przy wykonywaniu capoeiry – tak dzieje się w utworze „Samba ragga". Ten krążek to pozycja obowiązkowa dla wszystkich miłośników aktywnego spędzania domówek.



ALABAMA THUNDERPUSSY
FULTON HILL
RELAPSE RECORDS

Gdyby organizowano konkurs na najgłupszą nazwę zespołu, Alabama Thunderpussy miałaby zapewnione miejsce w czołówce. Jednak nie należy sądzić po pozorach, bowiem muzyka ekipy (pochodzącej wbrew nazwie z Virginii) już taka głupia nie jest. „Fulton Hill" to piąta płyta w dorobku kapeli, porcja solidnego, żywiołowego rockowego grania, chwilami ocierającego się o metal. Motoryczne, ciężkie łojenie sprawdza się nieźle, gorzej gdy zespół postanawia nagrać coś balladopodobnego (a wówczas wokalista, obdarzony niezłym, chrapliwym głosem, próbuje naśladować Axla Rose'a i nie wychodzi to najlepiej). Może też chwilami za dużo tu niezdecydowania w jaką pójść muzyczną stronę, jednak jako całość „Fulton Hill" sprawdza się przyzwoicie. Nie jest to bynajmniej żadna rewelacja, a jednak rzecz, której warto przy okazji posłuchać.

Banks o kasie!

„Zrobię wszystko, co trzeba, aby sprzedać płytę. Będę całował dzieci i ściskał ręce. Nie ma planu B. To się musi udać." Takie zdanie pasuje do każdej gwiazdy w stylu Britney Spears i jej podobnych. A jednak mylicie się! To słowa LLoyda Banksa z G-Unit, który wydaje właśnie solową płytę. Aby przysporzyć sobie publiczność podkłada głos w kreskówce, a także wystąpił w pornusie o tytule „Groupie love", który nakręciła jego własna firma. Rap się sprzedał?

Przystanek Woodstock!

Hey, Armia, T. Love, Dezerter, Voo Voo, Ratatam, Farben Lehre, Twinkle Brothers z Jamajki, De Facto, Uliczny Opryszek Oj, The Ślub, Raggedy z Nowego Jorku, Carrantuohill ze Staszkiem Sojką, RAW z Kanady, Zion Train z Wielkiej Brytanii, Wrinkled Fred, Grabaż i Strachy na Lachy, Shahid W.A.R.N., Slamming Seed z Austrii, Mech Hunter!!! Oto lista zespołów, które wystąpią na tegorocznym Przystanku Woodstock! Festiwal odbędzie się w dniach 30-31 lipca, po raz pierwszy w Kostrzynie nad Odrą. A czego oprócz koncertów możecie się spodziewać? Hektolitrów piwa, taniego wina, pięknych i gotowych na wszystko Słowianek, kurzu i tracącego głos w drugim dniu Jurka Owsiaka!



Korn i Floydzi?

Na składance z największymi „hitami" Korna mają znaleźć się dwa covery. Pierwszy to przeróbka utworu Public Enemy „Fight The Power", a drugi to słynny temat „Another Brick In The Wall" Pink Floyd. „Pink Floyd to niesamowity zespół. Oni zawsze wyznaczali nowe trendy" – tak o zespole wyraził się wokalista Jonathan Davis. Korn wykonywał już ten utwór podczas trasy koncertowej w Europie, a publiczność znała na pamięć tekst utworu Floydów, co wprawiło metalowców w zdumienie. Ach ci Amerykańcy, w ogóle w nas nie wierzą!

Pies u Neptunów?

Niech nie zmyli was ten tajemniczy tytuł, wcale nie mam na myśli jednego z antycznych mitów! Po prostu Snoop Dogg zmienia wytwórnię, przechodzi do labelu The Neptunes. W Star Track zostanie wydany jego nowy album, a Chad Hugo już lekko zainsynuował, jaki klimat będzie na krążku: „Chcemy żeby Snoop wrócił ze swoim stylem do 1992 roku, do ery The Chronic, kiedy to właśnie zadebiutował". Dla mnie, najlepszym wyjściem byłoby zatrudnienie w roli bitmejkerów Magiery i L.A., bo robią oni lepsze west-coastowe tracki niż niejeden Yankes!

Komercyjne gówna part. I

W nowopowstałym dziale powiem Wam, drogie dzieci, o dwóch sprawach. Pierwsza to taka, że osiemnaste to zaczęło występować pod supermarketami i być może coś nagra z Marylą Lodowicz sorry Rodowicz, sami to skomentujcie! Druga to fakt, że RZA nagrał wspólny kawałek z babką z Atomic Kitten, która wydaje solówkę – masakra. Piosenka nagrana z raperem z Wu-Tangu nazywa się „Hey kitty", na szczęście jej nie słyszałem, uf! O ile takiemu komercyjnemu cieciowi jak Lil Jon można wybaczyć duety z Paris Hilton, to chłopakowi z rodziny Wu należą się porządne bluzgi!

Mobb Deep w Polsce!

Chyba nikt nie ma wątpliwości, że to dobry koncertowy rok. Byli przecież De La Soul, Rahzel, Cypress Hill, Masta Ace, a to jeszcze nie koniec! Przyjeżdżają Mobb Deep, zagrają 2 sierpnia w warszawskiej Stodole! Przed nimi wystąpią Endefis, Mor W. A., Zipera i Ewenement/Molesta – czyli grupy, które same pewnie są fanami Mobb Deepów. Z pewnością klasyków w stylu „Shook Ones PT. II" nie zabraknie. Na co jeszcze czekacie? Kupujcie bilety!!!

.:Kosma:.

Monika Dąbrowska

portret





muzykę traktuję emocjonalnie

„Jestem nieziemsko zajarana radiem. Zakochana – to mało powiedziane" – mówi Monika Dąbrowska. Jej charakterystyczny głos znają rzesze fascynatów hip-hopu w Polsce. Oczywiście głównie ci, którzy mają szczęście być w kapryśnym zasięgu Radiostacji. Jest jedną z niewielu kobiet prowadzących audycje hiphopowe, a do tego weteranką, która swoim uporem zdołała przetrwać wszystkie zawirowania związane ze zmianami właścicieli, profilu i ramówki.

W ogólniaku interesowała się teatrem. Należała do amatorskiego „Teatru 13", którego inicjatorem był starszy o sześć lat absolwent Szkoły Teatralnej. Ekipę stworzyła zbieranina ludzi, którzy po pracy lub nauce znajdowali jeszcze czas na to, żeby trzy razy w tygodniu przychodzić o 19 na próbę. Monika takim pasjonatem była. Widownia zobaczyła ją w roli rosyjskiej dziewczyny ze sztuki Czechowa oraz Iwony Księżniczki Burgundy Gombrowicza. Repertuar dobierali wspólnie. Strindberg, Kundera, Sartre. „Robiliśmy to bez specjalnego zadęcia pod tytułem „My tu robimy teatr", napinamy się wszyscy i robimy większe przedstawienia niż Teatr Narodowy. Ważne było dla nas to, że ludzie przychodzili!".

Po dwóch latach udzielania się w teatrze Monika odkryła, że bardziej od profesjonalnego grania interesuje ją historia i kulisy teatru. Mimo, że studiowała już od roku Politykę Społeczną na Uniwerku zaryzykowała równoległe studia na wydziale Wiedzy o Teatrze. Całymi dniami biegała między szkołami, kończyła po 19. Wciąż grała.

Któregoś dnia na próbę przyszła Agnieszka Szydłowska. O spotkaniach grupy dowiedziała się, jak wszyscy, pocztą pantoflową. Monika wspomina – „To były jeszcze szczeniackie czasy. Wszyscy studiowali i nikt nie miał żadnej poważnej pracy." Szydłowska, mimo że studentka, wkrótce jednak pracę znalazła. Odpowiedziała na ogłoszenie, że Rozgłośnia Harcerska poszukuje ludzi. Trafiła na rozmowę z Pawłem Sito, który wówczas rozkręcał radio. Została przyjęta. To były czasy wielkich zmian w formule radia. RH Kontakt stało się Radiostacją.

Kilka miesięcy potem Monika pojechała do Katowic na koncert Skunk Anansie. Wróciła w nocy samochodem. Gdy nazajutrz wstała z bólem głowy, odezwał się telefon. Szydłowska z radia. Poprosiła o relację z koncertu na żywo. Monika, urzeczona występem, nawijała dobre kilka minut. Relacji tej słuchał Paweł Sito. Trzy dni później Monika stanęła przed dylematem, jaki chce mieć program. Akurat zmieniała się ramówka. Był rok 1999.

„Jedyny taki fart w moim życiu" – mówi. Wymyśliła program, który bardzo się spodobał – Kreacja Świadoma Płeć – godzinne gadanie o problemach w relacjach damsko-męskich, z udziałem gości i muzyką w tle. Leciał Portishead, Garbage i naturalnie Skunk Anansie. Jako pierwszy gość w studio pojawiła się makijażystka Gonia Wielocha w rozmowie o autokreacji kobiet. To był pierwszy wywiad w życiu. Zanim Monika poprowadziła pierwszą „Kreację" wpadała co noc do radia na przeszkolenie techniczne.

Monika podkreśla, że radio zawsze było dla niej czymś fascynującym. Pierwsze, co robi, gdy obudzi się rano, to włącza odbiornik. „Rzadko funkcjonuję w ciszy" – mówi. W mieszkaniu, które wynajmowała swego czasu na Chomiczówce przedziwnym trafem znalazła Radio One w pakiecie kablowym. Przez półtora roku od rana do nocy grało tylko to radio. Dzięki temu zdała sobie sprawę, że właśnie taki „żywy" sposób bycia na antenie jest dla niej fajny. Nie mizdrzenie się do słuchacza, otwartość na rozmówcę, poczucie humoru i luz to dla Moniki standardy zawodu radiowca. „Jeśli chodzi o ludzi za mikrofonem, to Radio One jest z pewnością moją ulubioną stacją" – tłumaczy. Za największą osobowość uważa Jo Whiley. „To nobilitacja być z nią w studio".

Gdy po kilku miesiącach wyczerpała się formuła programu, Monika dostała propozycję prowadzenia codziennych newsów. Tu mogła realizować swoje zamiłowania z pierwotnego kierunku studiów – Polityki Społecznej. Bakcyl newsowy był jednak tak silny, że równocześnie nawiązała współpracę z internetową wersją listy „30 Ton", obecnie codzienną gazelą muzyczną (www.cgm.pl). Gdy tylko miała wolną chwilę w radiu, pisała newsy (tym razem muzyczne) i wysyłała je do cgm-u. „Zawsze byłam zainteresowana takimi informacjami i wyszukiwałam je często sama dla siebie. To, że zaczęłam je pisać to było połączenie przyjemnego z pożytecznym". Dziś Monika znana jest z tego, że „ciekawostkami z życia gwiazd" ubarwia swoje audycje.

Wkrótce zaczęły pojawiać się propozycje napisania recenzji czy zrobienia wywiadu. Pierwszą recenzją Moniki na łamach cgm-u była krytyka debiutu Fu „N.O.C.C". W 2001 zaczęła też pisywać do gazet. Pierwszym wywiadem, jaki przeprowadziła na potrzeby gazety był wywiad z Parestów do artykułu o „sukach hip-hopu". Dziś, uznawana za wszechstronną dziennikarkę, pisuje do najróżniejszych gazet.

Monika wspomina, że pewnego dnia, gdy prowadziła newsy o 15, do studia zajrzał Sito. Zapytał, czy nie zastąpiłaby gospodarzy audycji „600Volt gra, Tytus nawija", bo nie dadzą rady dojechać na 20. Zgodziła się bez zastanowienia. Zdążyła tylko pojechać do domu po płyty i z powrotem. „To było przerażające. Świadomość, że jakieś rzesze ludzi włączają radio za dwie ósma, żeby usłyszeć właśnie Tytusa i Volta i to, że wskakuję na czas antenowy kreatorów polskiej sceny hiphopowej, nie pomagała". Była to godzina zdominowana przez hip-hop w damskim wydaniu. Audycję otworzył utwór Rah Digga.

Wraz ze zmianą szefostwa w 2002, zmianie uległ także profil Radiostacji a Monika została gospodynią autorskiego programu „Poziomuj", w trakcie którego godzinny set didżejski grał Deszczu, Mario, Sławek, Tylus i Fisz. To była robota na cały etat – cztery godziny dziennie od niedzieli do czwartku. W ciągu kilku miesięcy znów zmieniła się ramówka. Sety chłopaków dalej usłyszeć można było wieczorami, tymczasem Monika dostała ogólnomuzyczną audycję dzienną. Zachowała jednak nazwę „Poziomuj".

Kolejne zmiany własności, to kolejny przewrót w ramówce, a także liczne zwolnienia. Monika dostała wytyczne, żeby w swojej, do tej pory autorskiej audycji, grać kawałki z playlisty. Nie zgodziła się i jakimś cudem na tym stanęło. Od końca 2002 Monika nieprzerwanie prowadzi audycję z hip-hopem. Początkowo był to „Hip-hop wieczór", teraz „Hip-hop kombinacja". Nazwy te zmuszają zagraniczne gwiazdy do niebywałego wysiłku artykulacyjnego podczas nagrania ID do audycji. A Monika nikomu nie przepuszcza.

„Nie umiem odpowiedzieć, dlaczego hip-hop i od kiedy. Nie ma takiej cezury. Na dobrą sprawę można powiedzieć, że wszystko wzięło się od Jimmiego Hendriksa, którego podsunął mi tata". Historia tego muzyka sprowokowała Monikę do poszukiwań w historii Afroamerykanów i w czarnej kulturze. W ten sposób wyłapywała kolejne postaci na scenie muzycznej. Gitarowe brzmienia, soul, w końcu hip-hop. Dziś obrasta Source'ami, polskimi czasopismami hiphopowymi i przede wszystkim płytami, których ze względu na ich rotację między radiem a domem, nie da się policzyć. „Nigdy nie należałam do żadnej subkultury. Nie chodziłam na pierwsze imprezy hiphopowe. Gromadziłam sobie nagrania i słuchałam ich w domu. Z moim towarzystwem łączyły mnie pozamuzyczne koneksje".

W lutym znajomi namówili Monikę, żeby wysłała CV w odpowiedzi na zamieszczone w gazecie ogłoszenie. Wysłała. Została zaproszona na serię rozmów. Dziś jest asystentką producenta MTV Yo Raps i Yo MTV Listy. Wymyśla tematy, szuka lokalizacji, montuje. Choć zarzekała się, że telewizja jej nie bawi, odnajduje się w niej. Tyle, że pytania zadaje z „offu". „Pomimo że pracuję także w telewizji, nadal jestem człowiekiem radia. Pokazywanie się na wizji trochę rozwiewa magię radia".

.:Fala:.



moja dzielnica mercedresu

Szybki Tramwaj Miejski

Słońce nie wychodzi często, ale jest gorąco, duszno, powietrze stoi w miejscu. Jesteśmy w środku Krakowa. Dzielnicę Kurdwanów dzieli od centrum 30 minut drogi. I to „szybkim tramwajem miejskim". „Ten tramwaj szybki to tylko ma – brudne i nie daje się ich otworzyć." – komentuje uszczypliwie Mercedresu. Całe szczęście, że pierwsza miejscówka do której nas zabiera, to położone nieco wyżej boisko. Mijamy pomalowaną dość mocno szkołę i pierwsze zrobione własnoręcznie siedem lat temu graffiti (litery, napis Jeru). Nikt go nie zamazał.

Na miejscu dochodzimy do siebie łapiąc podmuchy wiatru, podczas gdy nasz gospodarz wysypuje zioło na kolejowy bilet i zaczynać skręcać jointa. Humor mu dopisuje, dobrze grało mu się przed Seanem Paulem, sam występ gwiazdy wypadł nieźle pomimo zacinającego deszczu. Potem zaś w przełamaniu lodów pomógł „słoiczek słodziutkiej marihuany", efekt rewelacyjnej krakowskiej myśli ogrodniczej młodego pokolenia, i panowie złapali wspólny język. „Naturalność przede wszystkim" to dewiza często powtarzana przez Dresa. Kiedy Sean wreszcie mógł odpocząć od gwaru i fanów, sam z siebie nagrał na dyktafon propsy i podał do siebie mail.

Boisko

Gadamy przyglądając się jednej z wielu panoram, jakie nam będzie dane w tym dniu zobaczyć. Łazimy po boisku, otoczonej szczątkową zielenią połaci rozgrzanego, nieźle już skatowanego asfaltu. To prostokąt. Równolegle do krótszych boków stoją bramki, wzdłuż dłuższych mamy tablice z obręczami. Z wielu dobrze znanych młodym powodów miejsca ma opinię „klasycznego". „Można tu sobie zagrać, a lubimy bardzo grać w koszykówkę". Mercedresu nie jest szczególnie wysoki, ale w swoim czasie ćwiczył lekkoatletykę. „Jestem mistrzem ofensywnej zbiórki" – śmieje się. W nogę grywa mniejszym entuzjazmem, w momencie, w którym rozmawialiśmy wierzył natomiast, że uda mu się wygrać 30 piw w osiedlowych zakładach dotyczących Euro 2004. Obstawiał Czechów. Zdążyliśmy wrócić z Krakowa, by zobaczyć, jak niespodziewanie odpadają z Grekami, może jednak wrócimy do boiska: „Można tu sobie zapalić, są nawet ławeczki. Można się napić. I prawie nikt nie przeszkadza".

Alejki

Ruszamy tyłki na obchód. „Wszystkie polskie miasta są takie same, różnią się tylko starówki" – słyszę na wstępie. Kurdwanów zdaje się być typowym blokowiskiem, ale ma jedną rzadką dla takich skupisk cechę. „Jest malownicze" deklaruje krakowianin. Pofałdowanie terenu rzeczywiście czyni je ciekawszym niejako automatycznie, ale w pełni rozumiemy o co chodzi dopiero po wejściu w „alejki". Przestrzeń, przestrzeń i jeszcze raz przestrzeń, niczym na wielkomiejskim polu golfowym. „To nasze planty, tylko że bez drzew" – śmieje się jedna dwunasta PCP. Właściwie zaczątki drzew są, trzeba tylko dać im wyrosnąć. Siatki chodników tną wylewającą się zieleń. Mnóstwo ławeczek zagospodarowanych przez matki z dziećmi. Jest nawet muszla koncertowa, nazywana pogardliwie „klozetową", która służy tylko bejom, gdyż mogą upijać się w większym komforcie. Mercedresu zwraca uwagę, że osiedle jest przyzwoicie zarządzane i jest budżet na remonty, na imprezy, pojawiają się gwiazdy z utraconą trzydzieści lat temu gwarancją, tuzy pokroju Skaldów czy Czerwonych Gitar (ma się to zmienić i niedługo mają tam zagrać chłopaki). Ale i tak przywożą zawsze własną scenę.

Na „alejkach" jest bardzo sennie, leniwie, nie czuje się upływu czasu. Pomimo, że dookoła sporo betonu, w pełni można zrozumieć zajawkę na jamajskie dźwięki – zdają się pasować do tej rzeczywistości. Zostaje jednak ostrzeżony, że to pozorny spokój, i że gdybyśmy weźli tu sami, mogłoby nie być tak wakacyjnie....

San Francisco

Idziemy wąską, pochyloną uliczką. Wzdłuż niej stoją kilkupiętrowe ciężkie domy, nieco solidniejsze i nowsze niż wielka płyta. Po prawej długi sznur zaparkowanych samochodów. Po lewej parasole kawiarni. Kilka osób siedzi i sączy piwo. To miejsce trafnie nazywane jest „San Francisco". Teraz buduje się trochę inaczej, mieszkania mają większą wartość, m.in. w związku z powstaniem „szybkiego tramwaju". Pojawia się w związku z tym niebezpieczna tendencja upychania nieruchomości. Olbrzymi dom nazywany przez miejscowych „szpilal" wybudowany jest tak blisko, że zabiera wielu pobliskim lokatorom promienie słoneczne.

Sanktuarium

Dresu przysiada na schodach nieopodal, żeby skręcić kolejnego lolka. Idziemy do jednego z wieżowców spojrzeć na to wszystko z góry. Obecny na klatce napis „Zakaz palenia" wywołuje wesołość i prowokuje do zdjęcia. Widok możecie ocenić sami, choć podobno najlepszy jest z wieży (widoczna na fotce) sanktuarium, którą nasz gospodarz odwiedził, kiedy jeszcze była budowana. Obiekt może być istotny dla katolików – wierzy się, że to tu Faustynie ukazał się Chrystus. Przypomina o tym obraz ze słynną sentencją „Jezu Ufam Tobie".

Slackness z Kurdwanowa

Kiedy przemykamy obok baru mlecznego, domu starców, szeregu małych sklepików jest okazja żeby zamienić słowo o zbliżającej się płycie. „To czego nienawidzę na świecie najbardziej, to są szanty. A tak to nie zamykam się na żaden rodzaj muzyki. Nawet disco polo ma swoje uroki. Płyta będzie eklektyczna – hip-hop, reggae – choć w mniejszym stopniu roots, ragga, stuprocentowy dancehall, trochę parodii, muzyki prześmiewczej. Goście: raperzy, reggae'owi, producenci. Taki joint, którego słuchasz całego, bo nie wiesz, co będzie następne. Chcę go zamknąć w styczniu". Mercedresu informuje, że aktualnie najbliższy jest mu dancehall slackness, jedna z jego hardcore'owych odmian. Na czym polega? „Niektórzy piją, palą i są uzależnieni od seksu, ale o tym nie mówią. Ja będę o tym śpiewać".

Chce nagrać rzecz, której do tej pory nie było, wywołującą skrajne reakcje, kontrowersyjną. Jedno jest pewne – jakby to nie brzmiało, dzielnica będzie za nim.

.:txt Flint (CS):.
.:foto Wiedźma Cess (CS):.



de la soul
koncert w WARSZAWIE

Ostatnimi czasy w warszawskim klubie Stodoła odbyło się kilka świetnych koncertów. Najpierw zagościł HH Reebok Tour, potem jamajsko – niemiecki Gentleman, no i przyszła pora na prawdziwą legendę amerykańskiego hip-hopu: De La Soul. Trzech kolesi, a właściwie to już bardziej „tatusiów" z Nowego Jorku – Posdnuos, Trugoy the Dove i Pasemaster Mase zawitało do naszego kraju po piętnastu latach od wydania pierwszego albumu „3 Feet High and Rising". W Polsce w kręgach hiphopowych nagrania De La krążyły już w połowie lat 90. Zawsze stanowiły alternatywę do typowo nowojorskich produkcji, które wtedy do nas trafiały, mówię tu np. o Mobb Deep, Notorious B.I.G., Nasty Nas. De La Soul stało się ikoną wesołego, zwariowanego, zabawowego hip-hopu z NY, ich klipy były absurdalne, pełne kolorów, Irikowych ubrań, no i była też stokrotka z pacyfką. Oznaczało to inne, trochę bardziej truskulowe podejście do kultury hip-hopu, oraz totalny brak zajawki na bycie Gangsta. Z czasem grupa artystów myślących podobnie związała się pod szyldem Native Tongues, poza chłopakami z De La była tam Queen Latifah, Tribe Called Quest, The Jungle Brothers oraz Monie Love. Przychodząc do Stodoły oczekiwałem więc spektaklu radosnej energii, wielu oldskulowych hitów dawnych potańcówek i porcji soczystego dobrego rapu w wykonaniu ludzi z baaaardzo dużym doświadczeniem. Śmiało mogę stwierdzić, że otrzymałem to, nawet z nawiązką i niech żałują ci, co nie przyszli (osobiście myślałem, że frekwencja będzie ciutkę wyższa). Zacznijmy jednak po kolei, na rozgrzewkę zagrał Grammatik i Pezet/Noon, potem przerwa, no i kwintesencja wieczoru De La Soul! Zagrali materiał przekrojowy z całego swojego dorobku, począwszy od takich klasyków jak „Me, Myself and I", „Saturdays", „Ring Ring Ring (Ha Ha Hey)", przez kawałki z mniej znanych płyt – „Stakes is High", „Dog Eat Dog", aż po nowsze hity pochodzące już z trylogii Art Official Intelligence – „Ooh", czy „All Good". Niestety Chaki Khan nie było. Na scenie pełen profesjonalizm i zgranie, ale cóż się dziwić, po tylu latach występowania razem... Po koncercie udało mi się wbić do kanciapy, gdzie zastałem Trugoya i P-Mase'a w towarzystwie kilku Janek. Zanim zaczęli się zaprzyjaźniać, namówiłem ich na krótką gadkę, którą mogliście zobaczyć u nas w tv, a teraz możecie przeczytać tutaj. Łatwo nie było, gdyż menadżer był antypatycznym typem, ale chłopaki z De La okazali się w porządku.

Czy podobał wam się dzisiejszy koncert i jak odebraliście publiczność, która przyszła?

Trugoy: Było naprawdę świetnie, widać, że macie tu wiele mocno zaangażowanych w hh osób. Ten tłum reagował naprawdę głośno, widać, że wiedzieli co to dobry hip-hop.

Mase: Ten tłum był naprawdę piękny...

Pewnie będąc tutaj zauważyliście że polska publiczność jest dużo młodsza od hiphopowców w USA, dotyczy to chyba całej Europy. Czy pewne procesy i rozwój tej kultury przypominają wam to, co działo się u was w latach 90., kiedy wy zaczynaliście?

Trugoy: Wydaje mi się, że tu jest nawet lepiej i mówię to szczerze, nie to, że chcę cukrować (śmiech). Doceniacie hip-hop o wiele bardziej, może dlatego, że to wszystko się tutaj jeszcze cały czas rozwija i rośnie. W Stanach dużo ludzi lubi muzykę hiphopową, ale oni nas nie wspierają, nie przychodzą na koncerty. Wtedy jak przyjeżdżasz do takiego kraju jak Polska i widzisz tak dużą rzeszę ludzi na koncercie, to czujesz się tu naprawdę dobrze.

Chciałbym znać waszą opinię na temat modnego ostatnio sięgania po znany bit z przed kilku lat i robienia z niego hitu na nowo, tak jak wykonał to ostatnio Mario do podkładu The Fugees. Byliście jednym z pierwszych zespołów, któremu wytoczono sprawę o wykorzystanie sampla, a teraz już wykorzystuje się cały bit, podoba wam się to?

Mase: Ja myślę, że nie mógłbym tak zrobić. Gdyby spodobał mi się jakiś Samuel, to może bym go użył, pociąłbym go i inaczej ułożył, ale sięgam raczej do dużo starszych płyt przy poszukiwaniu sampli. Nie tykam rzeczy tak świeżych jak Fugees, to było niedawno, więc nie mógłbym tego użyć. To jest właściwie kserowanie, a najbardziej przykre jest to, że takie kopiowanie stało się „cool" i OK. Podkreślam, ja osobiście bym tak nie mógł, zawsze inspirowaliśmy się innymi artystami, ale nigdy nie kopiowaliśmy ich twórczości.

W mediach powstał taki pogląd, że stworzyliście przeciwwagę dla gangsta rapu w Nowym Jorku. W jakich stosunkach żyjecie z ulicznymi raperami?

Trugoy: Że co? Że my z gangsta raperami? Co ty...(śmiech) Na poważnie, to śledzimy, co się dzieje, to co ostatnio się pojawiło, co jest dobre i mocno uliczne to 50 Cent. On żyje w taki sposób, który my też znamy.

Znacie G-Unit?

Trugoy: Nie znamy ich osobiście, ale tworząc razem tę kulturę w NY, tak naprawdę dużo nas nie dzieli. Tam mnóstwo dzieciaków żyje w ten sposób. My doceniamy i akceptujemy to, co tworzą inni artyści, ale zawsze mówimy, że jest dużo więcej fajnych rzeczy w życiu poza gangsterką...

Kiedyś nawet propagowaliście logo ze stokrotką i pacyfą...

Trugoy: Tak, bo mówimy o każdym aspekcie życia, który nas dotyczy, o tym jak byliśmy dzieciakami, o naszych oczekiwaniach wobec dorosłości... Trzeba mówić o wszystkim, a nie tylko o napadach i strzelaninach. Ważne jest całe życie, przecież ci wszyscy twardziele też myją naczynia i uśmiechają się do swojej mamy.

Mase: Zauważ, że wielu z nich pisze też teksty o miłości, o panienkach. 50 Cent ma kawałek „21 Questions" o miłości faceta odsiadującego wyrok, do swojej dziewczyny.

Trugoy: To są właśnie dwie strony medalu, mówiąc o gangsterze, trzeba mówić też o tej drugiej, pozytywnej stronie

Dzięki za rozmowę, na koniec powiedzcie, kiedy możemy się spodziewać następnej płyty – trzeciej części tryptyku Art Official Intelligence?

Trugoy: Właściwie zanim wyjdzie trzecia część AOI, planujemy wydać jeszcze jedną płytę. Ma mieć ona premierę 27 września, a tytuł brzmi „Grand Date", tak więc czekajcie i pozdrawiamy wszystkich hiphopowców w Polsce.

.:rozmawiał CNE:.

.:foto Wojtek Antonów / WZRR:.



mes VS. mezo

wolumin 2: Mezo

Z beefem jest w tej chwili jak z tegorocznym latem – wszyscy spodziewali się, że będzie gorąco, tymczasem jedynie bywa ciepło. Numer Raz znalazł dobry sposób jak uczynić ze swojego utworu wydarzenie, i to bez klipu z mega rotacją. Jego premiera miała się odbyć po prestiżowej uroczystości w Belwederze i przyległych ogrodach, na specjalnym afterparty sponsorowanym przez Belvedere Vodka, wśród rozległej reprezentacji prasy. Było grubo, z jednym ale... Odpowiedź „Patrz na mnie" nie została tam wykonana. Parę dni później poszła w Internet na beacie z „Panczlajnera". Numer Raz pokazał styl jak zawsze, udowadniając jednocześnie, że jest zupełnie niebitewnym mc. „Po prostu nagrał sobie kawałek o Mezo" – powiedział jeden z branżowych obserwatorów. Między kawałkiem „na Mezo" a „o Mezo" jest jednak różnica. Poznaniak nie został nawet draśnięty, Wielkie Joł dało zaś znać, że Numer ma na głowie ważniejsze sprawy. Nieco przycichło, aż w końcu na łączach znalazł się „Jak to jest". Stary Mes wrócił i komentarze są zbyteczne, bo wiadomo, co to oznacza. Bezczelność i błyskotliwość. Wreszcie skończyło się podmacywanie przeciwnika, a zaczęło bicie. Świetnie pojechany joint wciąż nie oznacza jednak nokautu. Ów zrobiony przez Kociołka „beat forteca", jest raczej jak warszawski Zamek Królewski – dziwne przejścia, brak wyrazistości, nie jest to budowla na potrzeby wojny. Poza tym diss z nuconym refrenem? Wiem, co usłyszałbym w odpowiedzi. West Coast... Mimo palmy w środku stolicy, to nie jest jednak Kalifornia i zdumiewa, że to właśnie ten „komercyjny" Mezo ma cuty w refrenie, dobry bas, ostry cięty sampel – wszystko to, do czego przyzwyczaiły klasyczne beefy. Jest też druga strona medalu, Mezostan jak na „panczlajnera" ma mało „panczy", a te, co są, tracą na ostrości, bo rzucono je z niespecjalnym wyczuciem rytmu i jakby nadganiały podkład.

Póki co za wcześnie na werdykt, zwłaszcza, że Ten Typ nawiązał do przeważnie niesionego ambicjami Dużego Pe. Wielkopolscy koledzy też mogą stracić cierpliwość do trzymania języka za zębami, zwłaszcza w świetle telewizyjnych prowokacji Tedego, rzadko kiedy wytrzymującego fakt tego, że oczy słuchaczy zwracają się na kogoś innego. Może doczekamy się ognia, bo przecież konflikty to dziedzina „zawsze wkurwionych", a nie tych „zawsze spoko".

Jak podobał Ci się numer Mesa i Numer Raza?

To dobry numer. Bardzo hitowy, zarówno bit jak i refren. Zwrotki: Mesa – niezła, Numera – przeciętna.

Aluzje co do mojej osoby uważam za bardzo bzdurne. Zaraz po przesłuchaniu tego numeru chciałem dać jakąś odpowiedź. Na początku miałem zamiar przemycić coś w zwrotce na nową płytę Owala, ostatecznie zdecydowałem, że nagram cały osobny kawałek. Tak w skrócie powstał Panczlajner.

Dlaczego zareagowałeś tylko na przytyki Mesa i Numera, pozostawiając bez odpowiedzi przytyki m.in. Piha i Sokoła. Czy zdajesz sobie sprawę, że wielu będzie odbierać to jako brak odwagi do zaczynania batalii z hardcore'owcami?

To, że odpowiedziałem na kawałek Mesa i Numera to wbrew pozorom też jakiś wyraz szacunku wobec nich. Nie odpowiadałbym na byle gówniany kawałek. Poza tym uważam, że to goście, z którymi można prowadzić jakiś spór i nie przeniesie się on na ulice. Co do Sokoła, miałem kiedyś „przyjemność" rozmowy z nim i jego ekipą. Przypominała ona rozmowę ze ścianą. To raczej niereformowalni ludzie. Wiedzą swoje i nic do niech nie dociera.

Do Numera poszły w „Panczlajnerze" okrutne linijki, tymczasem Mesa potraktowałeś grzeczniej i aluzyjniej. Dlaczego tak, zwłaszcza, że Numer nawet nie wywołał Cię po imieniu?

Aluzje ze strony Numera były dla mnie równie oczywiste jak Mesa. Nie miałem nigdy nic do tego gościa. Zawsze bardziej jarałem się Tede, ale Numer był jego sympatycznym dopełnieniem. Po jego ataku nie pozostało mi jednak nic innego, jak wytknąć mu wszystkie wady. A że Mes jako raper ma tych wad znacznie mniej to dostało mu się delikatniej.

Ostatnio ciosy sypnęły się w twoją stronę. Czy „Patrz na mnie" Numera i „Jak to jest" Mesa podniosły Ci ciśnienie, wzbudziły ambicję?

Stało się mniej więcej to, czego oczekiwałem tzn. Numer nagrał bardzo, bardzo przeciętny kawałek, a Mes bardzo dobry. W przeciwieństwie do nich potrafię obiektywnie przyznać czy coś jest dobre czy nie, pozostawiając kwestie czy to na mnie czy nie na mnie. Kawałek jest dobrze zarapowany, dobre rymy i flow. Co innego zawartość merytoryczna. To już jest pierdolenie emocjonalnie niedorozwiniętego sfrustrowanego Piotrusia. To dobry raper i frajer jako człowiek. Jeszcze kiedyś do mnie przyjdzie i sam przyzna. Dał się wyprać Delisiowi, cholera zresztą wie komu jeszcze. Czy odpowiem? Mam już gotowe teksty, ale zaczyna mnie wkurzać to wszystko. Ludzie nie potrafią obiektywnie spojrzeć na kawałek. Pewnie rzucę te kawałki w sieć i na tym zakończę. Usunę się trochę w cień, bo mam płytę do zrobienia i w perspektywie 3 rok studiów, a za dużo czasu tracę ostatnio na pierdoły.

Przytyczek w stronę Pe już poszedł i jak go znam, to nie daruje. A czy ludzie tacy jak Hans, Asceci, Owal planują włączyć się do beefu?

Na siłę nikogo nie będę wciągał. Myślę, że mam ich jakieś „duchowe" wsparcie, ale nie zamienili tego dotychczas na zwrotki. To pytanie trzeba zadać im osobiście.

Wydaje mi się, że jest to pierwsza utarczka na taką skalę, która nie ma podłoża osobistego. Aby na pewno? I czy zarzut o to, że żerujesz na ksywie Mesa można w ogóle traktować poważnie?

Zarzut o „żerowaniu na ksywie" uważam za najbardziej debilny. Mes miał pierwszy teledyski w TV – zgoda. Nie chciałem, żeby nas mylono i z własnej inicjatywy dodałem do ksywy O, ale w tym czasie miałem już napisaną całą Mezokrację, gdzie przedstawiałem się jako Mez. Potem konsekwentnie promowałem Mezo. Mes jest chyba bardzo niedojrzały emocjonalnie. Jak miał problem mógł zadzwonić i powiedzieć „Ej chłopaki z osiedla się ze mnie śmieją, że nagrałem Mezokrację i Aniele". Dałbym chociaż jakąś notkę do prasy. Ale nie zadzwonił...

Druga płaszczyzna naszego beefu, czyli kwestia „sprzedania" się też mnie nie przekonuje. Robię swoje, promuję się, gdzie mam ochotę i zyski i straty z tego są moje. Nie wszystko zawsze wyszło tak jakbym chciał, ale na błędach człowiek się uczy. Nie potrzebuję św. Piotra, który będzie mnie nawracał na underground. Zresztą co z niego za underground? Właśnie z ciekawości zakupiłem nowe specjalne wydanie Popcornu. Mes ma tam zamieszczone dwa swoje hiciory...

Mes mówił, że poruszał ten temat z Tobą w Poznaniu. Podśmiewał się nawet, że byłeś wystraszony, ale wszystko dogadaliście, tylko, że nic z tego potem nie wynikło.

Wystraszony to mógł być jedynie on. Ja w Arenie w Poznaniu czuję się jak w domu. A z tym dogadaniem, to jest już absurd zupełny. Ten głupiec powinien mi dziękować, że dodałem O do ksywy, bo tak płyta wyszłaby jako MEZ. A tak od tego czasu (dwa miesiące przed wydaniem płyty) używałem już ksywy MEZO. Ale dziś to chyba oczywiste, że ja to Mezo, on to Ten Typ Mes. I tyle. Naprawdę to żałosne, te jego przyczyny konfliktu...

Łatwo wciągnąć Cię w rywalizację, kiedyś na łamach Internetu wymieniałeś freestyle z nadpobudliwym i histerycznym Dioksem, potem podjąłeś walkę z dwójką warszawiaków, teraz mówi się o odpowiedziach na odpowiedzi!... Nie jest to rozmienianie się na drobne?

To jest tak – uważam, że chowanie głowy w piasek to kiepskie rozwiązanie. Z Dioksem miałem beefa i dzisiaj jest wszystko w porządku, mamy nawet w planie wspólny kawałek. Myślę, że on także zrozumiał, że nie jestem jakimś przypadkowym raperem, który pojawił się znikąd. Odpowiedź uważam za coś normalnego z hip-hopie. Gdybym był słaby i nie miał poczucia własnej wartości nie odpowiadałbym. Nie sądzę by np. 18L było w stanie odpowiedzieć komuś z hiphopowej I ligi. Nie mówię tego, żeby ich pogrążyć czy coś. Po prostu nie są tak mocno zakorzenieni w hip-hopie, nie mają bitewnych zajawek. Ja byłem świadomy tego, że odpowiadając na zaczepki Mesa i Numera będę miał przeciwko sobie niemal całe środowisko hiphopowe, bo to oni mają „czystszy" wizerunek. Mimo to odpowiedziałem. Jestem ambitny, cały czas chcę sobie i innym coś udowadniać. Szczególnie w Polsce nie jest to łatwe, ale są nieliczni ludzie, którzy to kumają.

.:txt Flint (CS):.
.:rysunek Marek Oleksicki:.



mr. reggaenerator
pozytywne emocje

Ideologię Ras Tafari przybliży wam Bas, ze światka dancehall wzięliśmy Mercedresa, roots reprezentuje Maleo. Szukaliśmy kogoś, komu najbliższe jest raggamuffin, a jednocześnie będzie łącznikiem między wszystkimi pokoleniami reggaeowców, kogoś aktywnego, udzielającego się szeroko w różnorakich projektach. Mr. Reggaeenerator, dee-jay Zjednoczenia Sound System i współzałożyciel (szykującego płytę pod okiem Wielkiego Joł) kolektywu Vavamuffin spadł nam z nieba.

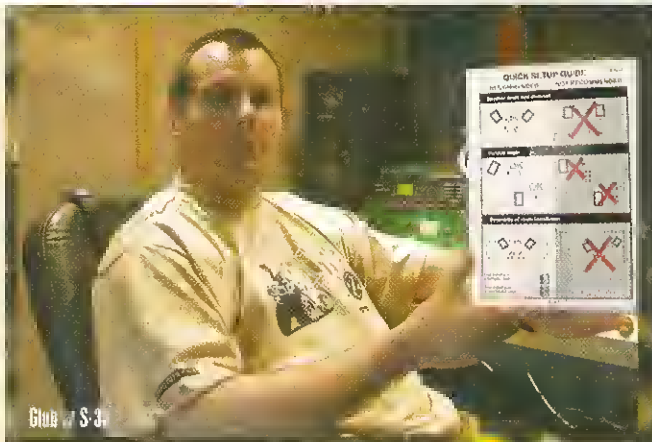
Wokalista Gedeonu, który obok Izraela, Bakshishu i Daabu stanowił pierwsze pokolenie polskiego reggae mówi, że muzyka ta trafiła do Polski przez Londyn dzięki zespołom o punkowym rodowodzie, jak chociażby The Clash... Zgodziłbyś się?
Oczywiście. Poniekąd wychowałem się na Clashu. Jest to świetna stara kapela, która miała duże koneksje z Jamajką i z „czarną muzą". Jednak akurat dla mnie początkiem był koncert Misty in Roots w Warszawie (1983). Londyn, wszystko się zgadza, ale z troszeczkę innej strony.
Jak podchodzisz do polskich protoplastów gatunku?
Jak byłem młodym chłopakiem, oni grali już na scenie. Chodziłem na ich koncerty, byli moimi idolami. Brylu, Jarex, Bakshish... Stary, to było coś, co powodowało we mnie wielkie emocje. Podchodzę do nich bardzo, bardzo duchowo i pozytywnie.
Przyznasz, że to coś zupełnie innego niż w tej chwili. Gdyby puścić ich na Jamajce, lubiycy mocno zdziwiliby się brzmieniem...
Jest to spowodowane tym, że był wtedy inny ustrój. Lata 80., mieliśmy tutaj komunę. Tak jak mówiłeś reggae wychodziło z punk rocka. To inne realia, teraz reggae jest bliżej hip-hopu niż punka, mamy inny świat. To ewoluuje, bo musi ewoluować, nie może być takie jakie jest. Aczkolwiek nie możemy zapominać o starych mistrzach. Nigdy.
Kiedyś mówiło się, że reggae bez ideologii nie istnieje, dziś już sam dancehall pokazuje co innego...
Wiesz, to zależy jak się do tego podchodzi. Myślę, że jakieś podłoże musi być i u mnie występuje ono na pewno. Nie podchodzę do tego czysto rozrywkowo, kiedy jest czas na zabawę to jest czas na zabawę, kiedy zaś czas na duchową sytuację, to musi ona zaistnieć. Reggae to reggae, nie można przy nim tylko bounce'ować.
Zabawa to z kolei fundament hip-hopu. Jak odebrałeś zbliżenie się jego gatunku z reggae?
Hip-hop jak i reggae nie mają tylko jednego toru. Spotykają się gdzieś jak ptaki na drzewie.
Spotkania te odbywają się już jakiś czas, jednak największym echem odbiły się chyba numery Gutka z Basem...
Gutek to mistrzowski wokalista, bardzo reggae'owy. Często kojarzy się go bardziej z hip-hopem, ale dla mnie jest piosenkarzem reggae. Otworzył wiele bram i dzięki niemu to się tutaj dzieje.
Ciekawe jest to, że kolesia cementującego reggae z hh odkrył rockman.
Niezłym szokiem dla mnie był moment, kiedy się dowiedziałem, że Piotrek Banach robi takie rzeczy gdzieś tam na boku. Podejrzewałem go tylko o rocka, a tu taka niespodzianka. Tu i tam posłuchałem paru rzeczy zrobionych z Gutkiem i z Indios Bravos, są bardzo ok, a Piotrek to zdolny reggae'owy twórca.
Co pchnęło Cię do postawienia pierwszych kroków na scenie?
Kiedy przyjechali do Polski Misty in Roots, to odwrócili mi pigment, poszedłem na koncert i wróciłem zupełnie odmieniony. Od tamtej pory reggae stało się bardzo istotną częścią mojego życia. To, co próbowałem robić z zespołem O. K. System, było jeszcze bardzo, bardzo podziemne... Nie mieliśmy siły przebicia, nie mieliśmy nawet kasy na gitary i robiliśmy je sobie sami. Niespecjalnie umieliśmy na nich grać, ale już chcieliśmy, już było to parcie. Bo wiesz, ja na początku grałem na gitarze, dopiero później uznałem, że śpiewanie jest tym, co chcę robić, bo więcej z duszy można powiedzieć słowem, niż brzęczącą struną, która oczywiście też jest w muzyce ważna. Jednak to mikrofon jest moim przekaźnikiem.
Na pewno to antidotum na tzw. „martyrologię reggae", na którą narzekają już nawet dziennikarze działający w światku...
Zarzucanie reggae martyrologii mija się z celem, gdyż od zawsze kojarzone jest z Jah Rastafari, łączone z Babilonem, Syjonem, przekazem stricte rootsowym, mówiącym o powrocie Czarnych Braci do Afryki. Tego się nie uniknie i nie ma sensu na siłę odizolowywać. Reggae to muzyka powstała na podwalinach uczuć ludzi cierpiących, w gettach na Jamajce, gdzie ludzie nie mieli co do gęby włożyć. Na początku byli rudeboyami, chodzili, psocili, mieli noże. Bob Marley to rudeboy, tak samo Peter Tosh. Jednak znaleźli sobie dziewczyny, swoją drogę, muzykę. Wiesz, co się stało dalej...
Skąd wziął się pomysł na Zjednoczenie Sound System i jak wygląda jego kariera?
Pablo i Krzaku grali już półtora roku, kiedy się spotkaliśmy i złożyło się tak, że jestem z nimi. Bardzo dużo to mi dało, ale o karierze trudno tu mówić (uśmiech).
Koncertowo sprawdza się świetnie, ale właściwie nie ma dorobku fonograficznego.
Soundsystemy mają coś takiego, że nagrywają tzw. mixtape'y. My nie zdążyliśmy tego zrobić, bo nie mamy czasu, jest dużo grania, nie chce nam się, nie wiem co jeszcze. Dajemy to ludziom na żywo, nie czując żadnej strasznej jazdy na to, żeby chcieli mieć mixtape Zjednoczenia... Choć zdarza się, że czasem ktoś o to zapyta. Zresztą wolimy występy live, wtedy następuje totalna weryfikacja. Ciągniemy już dwie cykliczne biby w Warszawie: Reggaefazę od 3 lat, a Czwartkom w Punkcie stuknął już roczek. To cały czas się kręci. Musimy i chcemy to robić.
Nawijacie teksty przygotowywane skrupulatnie w domu, czy opieracie się na freestyle'u?
Freestyle'owy charakter soundsystemu wynika z potrzeby interakcji z publicznością. Nie można jednak tylko freestyle'ować, trzeba mieć również co zaśpiewać. Ja opieram się na rzeczach, które mam, ale nigdy nie wykonuję ich w ten sam sposób. Uskuteczniam „ujeżdżanie riddimów" – prawie za każdym razem innych, czasem freestyluję. U Pabla 70% to freestyle. Pablo jest w tym mistrzem, a ja uczę się od niego.
W rapie i raggamuffin są nawijacze, inaczej się ich nazywa, brzmią trochę inaczej. Co uderza Cię najbardziej gdy słuchasz hiphopowych nagrań?
Przede wszystkim fraza, zupełnie inne frazowanie, inne podawanie rytmu jeśli chodzi o nawijkę. To zasadnicza różnica. Wspólną, kręcącą mnie płaszczyzną jest zaś bunt. I nie chodzi tu o gangsterskie sytuacje, tylko wiesz... „Jestem sam, nie mam dziewczyny i jest mi niedobrze" (śmiech). Bieda stanowi wspólne korzenie. Lubię hip-hop zbuntowany, ale bez przemocy.
Ragga święci triumfy, dancehall święci triumfy, o roots się trochę zapomina, nie sądzisz?
Zależy kto zapomina. Ten kto to zna i kiedyś poczuł, nie zapomni. Ten kto nie znał, nie mógł zapomnieć, bo nawet tego nie dotknął.
I będzie szło do przodu bez świateł reflektorów?
Roots występuje teraz raczej pod hasłem Modern Roots i myślę, że będzie trwało. Być może dla mediów jest niszowe. I bardzo dobrze! Rootsowe granie nigdy nie miało wchodzić na salony, ani nigdzie, bo to z założenia mijałoby się z celem, ale bez Boba Marleya i Lee Scratch Perry'ego nie byłoby Shaggy'ego, nie byłoby Ini Kamoze, nie byłoby mnie, nie byłoby nikogo.
Jak znalazłeś się na łódzkich mixtape'ach Dreadsquadu?
W Polsce prawie wszystkie soundsystemy się znają. Ja nagrałem wiele speciali dla przyjaciół. Wystarczy jedno słowo, jedna prośba i jeżeli jest porozumienie, to się to robi. Akurat Dreadsquad wydał to na mixtape'ie i bardzo dobrze, ale moje speciale mają różni załoganci. Wyszło i wyjdzie parę rzeczy, które nagrałem dla Ćwirka z Crazy Sound System (WWS) czy kilka kawałków dla Kadubry, które prawdopodobnie będą wydane na płycie w przyszłym roku. Zdradzę tajemnicę – być może zrobimy coś z EMZK i Jareksem...
Pablo nawinął na płycie Fu i niejako przeniknął do światka rapowego. Planujesz pojawić się na hiphipowej płycie? Chciałbyś?
To, co się ostatnio dzieje w moim życiu, to cała seria niespodzianek. Byłem w trasie z Wielkim Joł, więc mam coś wspólnego z hiphopowym światkiem (uśmiech), ale nie mam takich marzeń żeby z kimś coś nagrać, to się stanie albo i nie. Nagrałem kiedyś zwrotkę dla rapowej załogi z Poznania: Tehac Wudu. To zupełnie undergroundowa sytuacja, ale ja nie patrzę, gdzie kto jest, tylko co ma do powiedzenia.
Niespodzianką jest już to, że spotykamy się pod studiem Wielkiego Joł. Weteran reggae staje się elementem wydawnictwa kojarzonego z mainstreamowym hip-hopem...
Jestem na próbie Vavamuffin, naszego priorytetowego składu i jest szansa na wydanie płyty w Wielkim Joł. Mam nadzieję, że się dogadamy, bo się zakolegowaliśmy, dostaliśmy przyzwoite warunki i wolę robić to z nimi, niż z majorsami. Na to nie byłbym przygotowany mentalnie, a tutaj ten mental zagościł i uważam, że jest ok. A skojarzenia mainstreamowe... no cóż... ja nikomu w talerz nie zaglądam tylko jem swoje (uśmiech).
Czym właściwie jest Vavamuffin?
Projektem raggamuffinowym, którego stworzenie zaproponował mi Pablo, jest wypadkową wielu sił, m.in. Transmisji, Magary, O.K. System. Mamy niesamowity mentalny moment i to nie dlatego, że raggamuffin jest teraz modne. Nie musieliśmy na to czekać, działamy od dawna. Ułożyły się gwiazdy, zebrały dobre emocje. Ludzie chcą nas słuchać. Podejrzewam, że od września wylądujemy w studio, gdzie kilka miesięcy posiedzimy. W zimę nagraliśmy tracki perkusji i basu, ale słuchamy tego teraz i chcemy nagrać wersję letnią, albo wczesnojesienną, a nie zimową. Ale moim marzeniem jest zrobić to na gwiazdkę, albo chociaż na wczesną wiosnę 2005.
Na płycie Sidneya Polaka, w kawałku „Radio Warszawa", nawijasz z Pezetem. Poznaliście się, gadaliście o tekstach przed nagraniem?
Kiedy wchodziłem do studia, track Pezeta był już nagrany. Posłuchałem go, ale spotkałem się z nim osobiście dopiero na próbie przed koncertem w Punkcie. Szacunek.
Jak dalej widzisz wspólną drogę reggae i hip-hopu?
Jeżeli miną wszelkie mody na to sprzężenie, to czas wszystko zweryfikuje i będzie wiadomo czy to razem idzie, czy nie idzie. Ja uważam, że gdzieś tam na pewno, jeśli nie mainstreamowo, to niszowo będzie sobie szło. To wyrosło na podobnych podwalinach, ale w innych realiach. Jamajka i Nowy Jork.... Inna była tylko nuta miasta.

.:txt Flintstone (CS):.



po studiach
33 obroty & S-33

Mikołaj „Noon" Bugajak i Mikołaj „Glub" Skalski nauczyli się już nie przejmować myleniem terminu S-33 i 33 Obroty. „Moja najklarowniejsza wypowiedź nic nie zmieni", stwierdza ten pierwszy, ale cierpliwie tłumaczy: „33 Obroty to szyld, pod którym robiłem produkcje w domu, a S-33 to projekt, który przedsięwziąłem z Glubem, studio mające zajmować się cudzymi nagraniami i normalną pracą studyjną". My zdecydowaliśmy się pokazać oba miejsca – żeby ująć sprawę całościowo, a zarazem utrwalić podział przy okazji konfrontując osobowości dwóch Mikołajów.



Glub w S-33

33 Obroty (www.33obroty.com)

Centrum Warszawy, stare budownictwo. Na ścianie klatki ktoś nasmarował kredką „Pezel pedał" i „Noon ch*j". Zrobił to na pewno z czułością – położone na ostatnim piętrze mieszkanie słynęło z rozrywki optymalnej, nie bez powodu Łona nakręcił tu swój ostatni klip. Tutaj udzielano korepetycji z dissu, pozbawiano producentów pewności siebie, redaktorów zaś (pozornie) bezużytecznych brwi. Tutaj Noon na bazie hip-hopu wytworzył nową jakość w polskiej muzyce. Wstrzymał słońce, ruszył scenę. O 33 Obroty.

Przechadzamy się po domu. Pytam o rzeczy nietypowe, których nie zobaczymy w innych studiach. „Legalne oprogramowanie" śmieje się Noon, zarzekając się jednocześnie, że ma je dopiero od roku. Nie przypuszczacie jednak, jak ważne się stało – „Wynika to z ograniczeń, które napotkałem szukając kolejnych sampli. Uznałem, że cięcie ich na mikroskopijne kawałki jest szaleństwem. Śledząc temat postanowiłem kupić trochę syntezatorów wirtualnych, tzw. VSTi i wciąż się ich uczę, by samemu wypracowywać brzmienia. Nie zajmują miejsca, nie psują się. Brzmieniowo trudno jest rozpoznać software'owy syntezator najwyższej klasy i jego odpowiednik sprzętowy. Od tego wyszedłem, technologia idzie do przodu cyfrową drogą i nie ma się o co spierać". Oponuję – w innych studiach słyszeliśmy zgoła co innego, ody do analogu. „Sam przechodziłem obsesję np. lampowego brzmienia, zawaliłem mieszkanie miliardem sprzętów. To do niczego nie prowadzi. Uzyskanie takiego samego brzmienia z duszą w ten sposób jest może i szlachetne, ale trudne, niewygodne, nie jest to jedyna droga. Jest taki polski zespół, który ma najsłynniejsze analogi świata, gra na nich koncerty. Myślałem, że jak zagrają to odpadnę. Efekt był nie do końca taki, jaki sobie wyobrażałem" – tu nastąpił tak zwany uśmiech z przekąsem.

Przyglądam się niedużej ilości gratów. Wśród rzeczy standardowych jak kompresor Fatman firmy TL Audio, odsłuchy Yamahy, karta Terratec MT 88 („Nie ma co się spinać na niesłyszalne osiągi kart, nietoperze nie kupują płyt"), Akai MPC 2000 (przeleżał rok zanim Noon zmusił się do pracy na nim, przesiadkę każdy producent odbiera źle. Teraz mówi o „innej jakości pracy". Co ciekawe, panowie z White House MPC sprzedali niedługo po zakupie. Bezpośrednim bodźcem było to, kiedy zrobili ten sam beat na samplerze i Fruity Loopsie... I nie poczuli różnicy). Wzrok przykuwa maszyna perkusyjna szwedzkiej firmy Elektron, słynącej z tego, że produkty sprzedaje tylko przez Internet i robi ich kilka miesięcznie. Noon ma ją od 3 miesięcy – zakup traktuje jako potrzebny i przyszłościowy, a po wejściu do Unii Europejskiej kosztowałby go więcej (ciekawscy mogą pomnożyć różnicę między euro a dolarem przez 1250). „To najbardziej zaawansowany syntezator perkusyjny na świecie. Troszeczkę ograniczające było już szukanie kolejnych zamulonych werbli na bułgarskich płytach, postanowiłem samemu kreować takie brzmienia. Na koncertach mogę zaś przez niego przepuszczać beaty i nakładać efekty. Bo jest to również procesor efektów, ale najtajniejsze jest właśnie to, że prawie każdy rodzaj brzmienia perkusyjnego, łącznie z prostymi, akustycznymi jestem w stanie tu wygenerować. Mam bazę do rytmicznych sampli".

Kolejna z miejsca zaciekawiająca i widywana nieczęsto konstrukcja na pierwszy rzut oka przypomina syntezator zabawkę. Ale dobrze, że nie zapytałem czy Noon dostał ją na Pierwszą Komunię, bo to „Novation Remote 25, standardowy kontroler, sterownik do syntezatorów, wysokiej jakości klawiatura MIDI ze sporą ilością potencjometrów, które przez tydzień opisywałem flamastrami". Producent uważa ustawianie potencjometrów poprzez myszkę za pomyłkę. Dzięki urządzeniu przyporządkowuje je mechanicznym pokrętłom.

Zmieniła się więc droga produkcyjna Noona: „Z Technicsa zgrywałem sample na komputer, czyściłem je i wracały do MPC, gdzie tworzyłem sekwencje lub ścieżki. To przez Fatmana albo mikser szło do komputera, gdzie składałem wszystko do kupy. Teraz brzmienia stworzone na komputerze będę nagrywał na winyl albo kasetę, droga pozostaje ta sama, tylko przedłużam cały cykl o tworzenie brzmienia od podstaw". Autor „Gier studyjnych" uważa, że interesujących go płyt do samplingu w Polsce nie ma już gdzie kupić. Jest Europejczykiem, nie szuka na siłę nowinek, harmonia muzyki arabskiej do niego nie przemawia, w „chórach mongolskich niespecjalnie odnajduje muzykę". Ciekawi mnie, w jakim kierunku pójdzie. „Zobaczymy. Po raz pierwszy nie będę miał jakichkolwiek barier, ale zamierzam uzyskiwać podobną emocjonalną wartość" – obiecuje. Pytany o współpracę z raperami znacząco uśmiecha się: „Nie jest to w tej chwili najlepszy pomysł".

S-33 (www. studio-s33. com)

Z Glubem spotykam się nocą na Nalotinie. To on wymyślił nazwę nawiązującą do klasycznych polskich studiów: S-33. Wyczerpującą pracę dźwiękowca w jednym ze stołecznych teatrów odreagowuje przy punku, na co dzień jest fanem rocka progresywnego i jazzu. Noon oszczędza słowa, waży je, nasycając zdawkowym, kąśliwym poczuciem humoru. U Gluba nawet aluzje są dopowiedziane, o muzyce mówi szybko, płynnie i dużo, często wpadając w dygresje. W międzyczasie ćmi fajkę.

„W 33 Obrotach mogłeś widzieć dużo sprzętu z S-33" – mówi, nie chcąc by postrzegano je jedynie jako miejsce do nagrywania wokali. Wymienia pozostały: „Kolumny Genelec, wiadomo z jakiego kraju. Najlepsza wódka – Finlandia, najlepsze głośniki – Finlandia. Choć z tą wódką to bez przesady. Ale głośniki są naprawdę udane. Z dwudrożnych tej firmy – drugie od góry, może nawet ciutkę za dobre na pomieszczenie którym dysponujemy. Interfejs audio Terratec 88 MT. Finalizer Plus – procesor masteringowy duńskiej firmy TC Electronic obecny w większości studiów, może poza Gawłowskim. Kompresor firmy Joemeek -Sc2, nie replika oznaczona Sc 2.2. Dziwny w obsłudze, ale zaskakujący: można uzyskać kompresje zarówno silne jak i przejrzyste. Procesor psychoakustyczny firmy SPL. W tej chwili używamy mikrofonu firmy Stedman. Jest dosyć ciekawy w brzmieniu. Wszyscy pewno pomyślą, że jak dosyć ciekawy, to pewno gówniany. Nieprawda! Jest dosyć ciepły, niestety brakuje mu otwartej góry. Matowe wokale wychodzą jeszcze bardziej matowe, ale wiadomo, że ze złego głosu nic nie wykręcisz. Kable lutuję sam, bo nie ufam tym robionym w sklepach, wiele razy bywało tak, że musiałem je poprawiać, a jakość wtyczek pozostawiała wiele do życzenia".

Glub na każdym kroku podkreśla, że sprzęt to jedno, umiejętność jego dobrego wykorzystania – drugie. Tutaj mamy sumę umiejętności („Bywa tak, że ja zabieram się początkowo za kawałek, potem siada Noon i nanosi swoje poprawki. Bywa, że siedzimy obaj – jeden kręci, drugi słucha. Działamy na dwoje uszu, bo na dwoje babka wróżyła, a kompromis jest zawsze lepszy niż jedna wizja. Podobnie słyszymy – więc nie kłócimy się. Nawet o pieniądze") i pełnię świadomości własnej roli („Kiedyś chcieliśmy promować się hasłem 'My kreujemy brzmienie', mamy na to jednak za mało klocków, ja powiedziałbym raczej 'My naprawiamy brzmienie'. Wszystko ma być wyrównane, ciepłe, bez plastików i brzmień cyfrowych"). Glub nie ma wielu powodów do narzekania: Błędna definicja masteringu („Mastering tyczy się tylko końcowej obróbki" – pojęcie takie jak „Mastering wokali" jest więc bzdurą), nachalne dążenie do zwiększania głośności kosztem wszystkiego innego, brak zaufania producenta dla realizatora (tak było przy solówce Eisa), brzmienie basu w hiphopowych trackach i to nawet u twórców pokroju White House czy Webbera („Wszędzie wyczuwam problemy z basem. Po moich ingerencjach brzmi dobrze"). Ciekawie prezentują się ostatnie zlecenia S-33: „Kali z Szybkiego Szmalu – bardzo ciekawa płyta na pograniczu hip-hopu i popu w dobrym tego słowa znaczeniu. Gorący album, który musi szybko wyjść. Robimy też mastering płyty Deobe Dena. Już ją słyszałem, będzie brzmieć lepiej". Mikołaj Skalski wydaje się bardzo pewny siebie, ale to pozory. „Mam sporo do nauki jeśli chodzi o słyszenie" przyznaje, zauważając jednocześnie, że „szkoły muzyczne nie produkują dobrych realizatorów, uczą bowiem schematycznego myślenia". „Ja niektórych wtyczek używam niezgodnie z pierwotnym przeznaczeniem, ale osiągam efekt, który sobie zamierzyłem" – przekonuje. I z całą pewnością nie jest to Efekt Dziada.

.:Flinstone (CS):.


Moro
moro78.com
Jeans
MOROSPORT POLSKA PRODUKCJA
MORO JEANS
MOROSPORT 78

Krótka historia winyli hiphopowych

Mam nadzieję, że nikomu choćby pobieżnie interesującemu się hip-hopem nie trzeba wyjaśniać, że to właśnie w muzyce / kulturze reggae (której zresztą poświęcony jest ten numer Ślizgu) ma hip-hop swoje korzenie, ani że pionierem hip-hopu był imigrant z Jamajki, Kool DJ Herc. Ani co to jest soundsystem. Ani że hiphopowym odpowiednikiem reggae'owego DJ--a jest oczywiście MC, a reggae'owym odpowiednikiem hiphopowego DJ-a jest selector. O wielu hiphopowych wykonawcach mocno związanych z muzyką reggae też już wielokrotnie wspominałem, dziś więc dla odmiany chciałbym skoncentrować się na kilku płytach reggae z mocnymi elementami hip-hopu.



Sleeping Bag Records to oczywiście dance'owo-hiphopowa nowojorska wytwórnia płytowa, w której debiutowali i dla której w czasach jej największej świetności nagrywali m.in. Dinosaur L., Todd Terry, Joyce Simms, a z hiphopowców – Tricky Tee, Mantronix, DJ Ca$h Money & MC Marvelous, Mikey D & LA Posse. Zachęceni sukcesem hip-hopu wkrótce utworzyli sub-label Fresh Records, gdzie z kolei nagrywali m.in.: T La Rock, EPMD, 12: 41 (zanim przemianowali się na Boogie Down Productions!), Just Ice, T La Rock, Stezo, Nice & Smooth. W 1987 ukazała się składanka „Sleeping Bag's Reggae Dance Hall Classics", na której znalazło się 8, wówczas jeszcze relatywnie undergroundowych, przynajmniej dla osób nie siedzących mocno w reggae, kawałków będących niejako wprowadzeniem do coraz popularniejszej w klubach muzyki dance hall (czyli bardziej popowej odmiany reggae) i klasycznego jamajskiego rapu zwanego toasting (którego pionierami byli U-Roy i Prince Buster). Na płycie znaleźli się m.in.: Shelly Thunder, Wayne Smith, Barrington Levy, Johnny Osbourne, Frankie Paul. I do tego wszystko w wersjach maksi-singlowych.



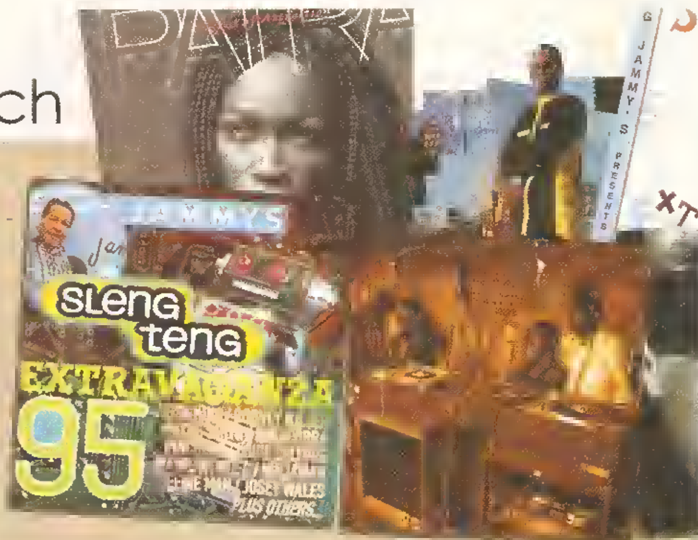
Shinehead urodził się co prawda w Anglii, ale gdy miał zaledwie dwa lata jego rodzina przeniosła się najpierw na Jamajkę, a następnie, w 1976 roku, wyemigrowała do Stanów, a dokładniej do Nowego Jorku. Nic więc dziwnego, że gdy w wieku 19 lat zajął się poważnie muzyką, ta była mieszanką jamajskiego toastingu i coraz dynamiczniej rozwijającego się nowojorskiego hip-hopu. A był utalentowanym piosenkarzem, DJ-em [czyli: toasterem], selectorem [czyli: DJ-em], potrafił też nieźle rapować, i nawet gwizdać do instrumentali Studia One. Zadebiutował w 1984 roku singlem „Billie Jean/Mama used to say" (do podkładu przygotowanego ponoć dla Boba Marleya, który niestety zmarł nie zdążywszy go wykorzystać), który szybko stał się wielkim hiciorem. W 1986 w małej wytwórni ALM (African Love Music) ukazał się debiutancki album „Rough & Rugged", będący mieszanką dancehallu, ballad, rapu i reggae. Kilka miesięcy później pojawił się gościnnie na singlu „Boops" duetu Sly & Robbie i podpisał kontrakt z Elektrą. W 1988 ukazał się drugi album, „Unity", będący w pewnym sensie przearanżowaną wersją pierwszej płyty – kilka kawałków wyprodukowali Jam Master Jay i Davy D., pojawił się Cut Master Quick na skreczach, trochę sampli. W 1990 ukazał się trzeci album, „The Real Rock" (m.in. z coverem „Family Affair" Sly & The Family Stone i „Till I Kissed You", oraz kawałkiem „Love and Marriage" o popularnym serialu telewizyjnym), ale te próby „crossoveru" i coraz bardziej zurbanizowane brzmienie nie tylko nie przyniosły mu spodziewanego sukcesu, ale jeszcze na dodatek zniechęciły wielu jego dotychczasowych, ortodoksyjnych słuchaczy. Później jakoś straciłem z nim kontakt – choć wiem, że wydał jeszcze co najmniej dwa albumy, pojawił się też m.in. na singlu Born Jamericans (jedynej nie hiphopowej grupy w katalogu wytwórni Delicious Vinyl), z którymi zresztą koncertował m.in. w Japonii.



Wydany w 1985 singiel Wayne'a Smitha „Under Me Sleng Teng" do bitu (riddimu – od słowa rhythm) Prince'a Jammy (dziś znanego bardziej jako King Jammy) uważany jest powszechnie za kawałek, który wprowadził reggae w epokę skomputeryzowanych podkładów, a riddim „sleng teng" stał się, i jest po dziś dzień, jednym z najpopularniejszych reggae'owych riddimów w historii. Chwilę potem (? – bo ten akurat album nie ma daty!) ukazał się album „Under Me Sleng Teng Extravaganza", gdzie – jak to w tradycji reggae – do jednego i tego samego bitu, choć w różnych wariacjach, rapują – czyli toastują – m.in. Echo Minott, Johnny Osbourne, Tenor Saw, Tunto Irie, jest też wersja instrumentalna Digital Bobby'ego. Razem 10 kawałków. Nie ukrywam, że sleng ten to mój najulubieńszy riddim, więc szukałem dalej, aż trafiłem na płytę „King Jammy presents Sleng-Teng Extravaganza", tym razem już tylko na CD, na której znalazło się aż 21 wersji (z czego tylko 4 powtarzają się na winylu), a dalsze poszukiwania doprowadziły mnie do kolejnego kompaktu, „Jammys Sleng Teng Extravaganza 95", gdzie tym razem znalazło się kolejne 20 wersji w wykonaniu m.in. nowego pokolenia toasterów (jak Beenie Man, Bounty Killer, Mad Cobra, Wayne Wonder, Ninjaman, etc.). Zresztą np. na dwóch pierwszych albumach Shineheada też jest jeden sleng teng, przy czym wersja na drugim jest zajebista – mocno hiphopowa, z samplami, pełna skreczy, i chyba najlepsza jaką dotąd słyszałem...



Kobiet jest w reggae chyba więcej niż w hip-hopie, ale też nie jakoś strasznie dużo. Patra reklamowana była swego czasu jako kobiecy odpowiednik Shabba Ranksa (choć z wyglądu wolę zdecydowanie ją od niego!), wróżono jej też karierę filmową, ale co się z nią dzisiaj dzieje? Wygląda na to, że od czasu wydanego w 1993 roku albumu „Queen Of The Pack" (m.in. z dancehallowym i hiphopowym coverem wielokrotnie samplowanego przeboju Lyn Collins „Think") i w 1995 „Scent Of Attraction" (z coverem przeboju Grace Jones „Pull Up To The Bumper", udanym duetem z Salt-N-Pepa „Hot Stuff" i tytułowym duetem z Aaronem Hallem) chyba nic nowego nie wydała, ale jeśli natrafi się okazja, warto ich przynajmniej posłuchać.





To w sumie tylko jako taka mała ciekawostka: na fali różnego rodzaju składanek, gdzie znani producenci / raperzy / dj'e układają kompilacje kawałków, które czy to wywarły na nich największy wpływ, najbardziej je cenią, czy cokolwiek, brytyjska wytwórnia Antidote Records wpuściła legendarnego Madliba (!) do archiwów Trojan Records, czego wynikiem jest wydany w ubiegłym roku na winylu i CD album „Madlib Blunted In The Bomb Shelter" i chyba tylko winylowa epka o tym samym tytule, z 6 dodatkowymi kawałkami. Płyta zapewne spotkała się z dobrym przyjęciem, bo niedawno Antidote powtórzyło ten eksperyment – też z katalogiem Trojan Records, ale tym razem selektorem jest DJ Shortkut, płyta zatytułowana jest „DJ Shortkut: Blunted With A Beat Junkie", wyszła tym razem chyba tylko na CD (choć 6 kawałków z tego albumu ukazało się na winylowej promówce), ale za to dostępna jest lokalnie, jako że Antidote doczekało się w międzyczasie lokalnej dystrybucji (choć nie jestem pewien, czy dotyczy to również ich tzw. back-catalogu).



A teraz trzy składanki reggae o „smaczku" hiphopowym. Pierwsza to „Hip-Hop Reggae" (tytuł mówi za siebie!), na której do hiphopowych bitów, sampli i skreczy, a w kilku przypadkach do hiphopowych podkładów (np. do zapętlonego sampla z „Flava In Ya Ear" Craig Macka) toastują Jamajczycy (m.in. Kamoze, Bajja Jedd, Choppa, Jigsy King, Rayvon, Mad Lion, Louie Culture, etc.). Całość wydała VP Records, i chyba cała produkcja to też ludzie z kręgów reggae.



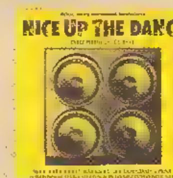
Trochę inaczej jest na wydanej przez Signet Records składance „Rush Dem", gdzie co prawda na mikrofonach też produkują się toasterzy (Red Fox, Capleton, Beenie Man, Roundhead, Shinehead, Luciano, Galaxy P, etc.), ale za to przy produkcji tych kawałków udzielali się np. Curt Cazal (dawniej z nagrywającej dla B-Boy Records kultowej grupy JVC Force), czy zwłaszcza DJ Spinna, który wyprodukował i/lub zaskreczował prawie połowę tej płyty.



I wreszcie producencka płyta znanego dj'a / producenta Bobby Kondersa „Reggae Meets Hip Hop", wydana przez Massiv B. Na mikrofonach np. Bounty Killer & Jeru (ten kawałek znalazł się zresztą na albumie Bouty Killera „My Experience"), Yankee B, Ninjaman, Jigsy King, Burro Banton, Yankee B, Jr. Reid – toastujący do częściowo hiphopowych, a częściowo reggae'owych bitów z samplami np. z Blahzay Blahzay, RZA, Smooth Da Hustler, Whole Dam Family (wykorzystanym m.in. przez EPMD w „It's My Thing").



Bounty Killer to jeden z bardziej charakterystycznych i rozpoznawalnych głosów w reggae. Ma na swoim koncie przynajmniej z 8 albumów i niezliczoną ilość singli, wiele z nich do modnych w danej chwili hiphopowych podkładów (takich singli ukazuje się np. w Nowym Jorku dziesiątki, jeśli nie setki, ale są dość ulotne – nie trafiają do większej dystrubucji i dość szybko znikają, a na ich miejsce natychmiast pojawiają się następne). Album „Next Millenium" ukazał się w 1998 i jest chyba najbardziej „hiphopowym" albumem tego wykonawcy: pojawiają się na nim m.in. Noreaga, Wycleff, Cocoa Brovaz, Killah Priest, oraz Mobb Deep i Rappin' Noyd w singlowym kawałku „Deadly Zone" ze ścieżki filmowej do „Blade'a".



„Nice Up The Dance" to bodaj ostatnia składanka reggae, jaką kupiłem. Wydana chyba jakoś na początku tego roku (na winylu i CD) przez bardzo interesującą brytyjską wytwórnię Soul Jazz Records, ma po trosze wszystkiego: klasyczny dancehall (np. Dawn Penn), reggae do hiphopowych bitów Kenny Dope'a (Shaggy, Screechy Dan), hip-hop z elementami reggae (J-Live), kawałki klubowe (Sean Paul), underground (Soldier Blue), popularnych i sprawdzonych wykonawców jak Ward 21, Ms. Thing, Tenor Saw, Chaka Demus & Pliers.

.:Druh Sławek:.





Łona i Webber

Na „Nic dziwnego" grasz w kilku kawałkach na basie, kończyłeś szkołę muzyczną?
Uczyłem się grać na pianinie przez cztery lata. Rzuciłem to w cholerę, bo w szkole muzycznej są zajęcia zwane rytmiką. Polega to na tym, że oprócz ćwiczeń rytmicznych trzeba chodzić i obciągać stopy. Nigdy nie wiedziałem po co. Do tego jak to się fatalnie nazywa...
Mój chłopak musiał w szkole muzycznej nosić legginsy i też rzucił.
Też bym rzucił. Potem uczyłem się sam przez jakiś czas, ale miałem za mało samozaparcia. A jeśli chodzi o płytę, to nie zdradzając żadnych tajemnic studyjnych powiem, że gram tam po prostu na instrumencie basowym zaopatrzonym w klawisze.
Powiem ci, co śmiesznego znalazłam ostatnio na forum hiphopowym. Otworzyłam temat „Dziewczyny w hip-hopie" i w oczy rzucił mi się post „najlepsze polskie raperki to Łona i Peja"...
Dobre! (śmiech) Dj Woda, który ze mną przyjechał na koncert, też jest rodzaju żeńskiego. Pierwszy raz słyszę, żeby ktoś miał problem z odróżnianiem płci.
Obecnie mamy dość zawiłą sytuację na rynku. Sistars wygrywa Opole, 1-8 L bije rekordy sprzedaży, Mes dissuje Meza, Mezo odpowiada. A gdzie w tym wszystkim jest Łona?
No, z boku, prawda? Mieszkam sobie w Szczecinie, na „salonach" bywam tylko przejazdem. Widzę wszystko, ale w tym nie uczestniczę.
Nie ciągnie Cię do tego „wielkiego świata"?
Nie, zupełnie mnie nie ciągnie. Dobrze mi się żyje tam, gdzie mieszkam. Do Warszawy lubię przyjeżdżać, owszem; mam tu wspaniałych znajomych, którzy mieszkają na Żoliborzu, w takiej enklawie, która jest zupełnie niewarszawska, ba, przypomina mi Szczecin. Tym niemniej miałbym problem, by zamieszkać tu na stałe. Zbyt mocno sobie cenię nieco spokojniejszy tryb życia.
Gdy byłam szaloną małolatą i jeździłam po całej Polsce, Szczecin wydał mi się osobnym państwem w państwie. Do tego samowystarczalnym. Producenci, raperzy, najlepsi b-boye, najlepsi grafficiarze. Nikt się z nikim nie mieszał, a do tego była zupełnie inna moda. Pamiętam jak dziś te żelazka na nogach...
Prosto z Berlina, nawet faceci w tym biegali. Ohyda.
Czy to trafne spostrzeżenie? Szczecin jest taką enklawą?
Nie wydaje mi się. Nie jest na pewno samowystarczalny, jak mówisz. Wiele rzeczy trzeba załatwiać poza Szczecinem. Bardzo ciężko jest tam zrobić klip, wytwórnię mam tutaj w Warszawie. Ale co jakiś czas Szczecin staje się stolicą hip-hopu za sprawą Battle Of The Year.
Jak myślisz, co sprawia, że tam jest inaczej?
Do morza mamy bliżej. Zdaje się, że w Szczecinie trochę wolniej płynie czas, żyje się w mniejszym napięciu, poza tym prawie wszyscy od lat się znają, choć tu chyba też...
Tylko, że tu się nie tyle znają, co mają ze sobą sprawy do załatwienia...
No nie, u nas się jeszcze przede wszystkim znają...
A jaki wpływ na Szczecin ma fakt, że jest to miasto pół niemieckie?
Szczecin jest pełen śladów po poprzednich jego mieszkańcach, a i do Berlina mamy faktycznie bliżej niż do Warszawy, więc generalnie, jeżeli ktoś ma coś do załatwienia w dużym mieście, jedzie do Niemiec. To jest normalne. Współpraca z sąsiadami rozwija się na gruncie np. teatralnym, ale już na hiphopowym mniej. Właśnie nie wiem czemu. Coś z tym trzeba zrobić.
Wyjeżdżasz do Niemiec po niemiecki hip-hop czy jest dostępny w Szczecinie?
Nie bardzo. Po rap nie jeżdżę, ale dostałem np. w Berlinie płytę Joy Denalene – niemieckiej wokalistki, która w Polsce jest nie do kupienia.
Interesują cię śpiewające dziewczyny?
Bardzo, strasznie lubię wspomnianą wyżej Denalane, Cassandrę Wilson czy India Arie, w Polsce zaś zwłaszcza jedną – Emilię, Szczeciniankę studiującą obecnie w Warszawie, z którą miałem już przyjemność współpracować.
Czy funkcjonują wciąż w Szczecinie cykliczne imprezy dla starych wyjadaczy?
Mamy Soho, w którym jest Boogie Town organizowane przez matkę chrzestną szczecińskiego rapu...
Czyli Ahę...
Właśnie. Istnieje też wciąż jej audycja, jest parę lokali, które puszczają dobrą muzykę.
Czyli w Szczecinie zajawka wciąż kwitnie. Usłyszymy o jakimś nowym składzie?
Jest sporo składów, które cały czas coś robią i to nie tylko w Szczecinie. Wyjeżdżają na festiwale w Gdańsku w Parlamencie, czy tu do Warszawy na Wielką Bitwę. Są Projektanci Stylu, którzy wciąż kończą płytę.
Czy czasem drobnymi kroczkami nie wkracza komercja?
Nic podobnego. Zupełnie innym torem to idzie, tak mi się zdaje. Nie ma, a przynajmniej nie widać póki co żadnych ogromnych pieniędzy, które mogłyby być bodźcem do robienia rapu, a mimo to, gdzieś tam w domowych pieleszach, powstają nowe numery, lepsze lub gorsze. Nie tylko zresztą w Szczecinie coś się dzieje, ale nieopodal w Koszalinie są takie osoby jak np. Mroku, o którym pewno wszyscy jeszcze usłyszymy.
To może są chociaż jakieś nastroje antywarszawskie?
No jak? Przecież Legia i Pogoń! Co ty?
Z tego co mówisz, w Szczecinie żyć, nie umierać!
Prawda? No bo tak rzeczywiście jest.
Ciekawa jestem, czy zdajesz sobie sprawę z tego, że jesteś raperem, którego słuchają w dużej mierze osoby zupełnie nie związane z hip-hopem, tak jak swego czasu było z Kalibrem 44. Spotykam grubciałego studenta w okularach a on wzdycha: „Ach, ten Łona i jego kawusia!"
Kawusia? Strasznie stare! U, to ciekawe. Rzeczywiście docierają do mnie sygnały od ludzi nie słuchających hip-hopu, że im się to podoba, ale podobne sygnały dochodzą do mnie od, że tak powiem, hiphopowców. Ja mogę tylko zacierać ręce, że się podoba i tu i tu.
A na koncerty kto przychodzi?
Trudno powiedzieć, czy to hiphopowiec czy nie, zakładając w ogóle, że hiphopowca można poznać po jakichś zewnętrznych oznakach, z czym się nie zgadzam.

No chyba widać, jak przychodzi dziadek z brodą?
Z brodą akurat nie. Raz przyszło małżeństwo trzydziestoparoletnie. Pogadaliśmy sobie po koncercie. Było bardzo miło.
A mama chodzi na twoje koncerty?
Ostatnio jakoś zaniechała.
Czy na imieninach dziadka któraś ciocia potrafi wyskoczyć z tekstem: „Adaś, zaśpiewaj nam coś"?
Bywa tak czasami. Mamę już nauczyłem, żeby takich żartów nie robiła. Ale niektórym członkom rodziny się zdarza. W sumie są otwarci, ale wytłumaczyć wszystko w ciągu jednych imienin, to jest kłopot, więc nawet nie podejmuję się edukowania, staram się wszystko upraszczać i kończyć tego typu rozmowy (śmiech).
Rozstrzygnij w końcu, kawa czy herbata?
Rano kawa, wieczorem herbata.
Przecież hektolitry miały być tej kawy...
Są. Rano. A tak w międzyczasie, gdy tylko zdarza się okazja, żeby wypić coś dobrego, wtedy herbata. Zresztą herbata świetnie z whisky wchodzi, a raczej odwrotnie.
Czyli im bardziej wieczorem, tym mniej kawa a bardziej alkohol. Czy na następnej płycie będzie kawałek o piwie?
Nie wiem czy akurat o piwie. To musiałaby być bardzo wieczorna płyta, bo nie dotykam alkoholu przed zmrokiem. Po zmroku nie mam żadnych oporów.
Czy Twoje studia w jakikolwiek sposób Cię inspirują?
No właśnie nie bardzo. Prawo to są studia, które teoretycznie powinny odrywać od wszystkiego innego, człowiek się musi poświęcać. Ja tak nie mam, bo studiuję zaocznie. Inspirację zaś czerpię raczej skądinąd. Uważam, że połączenie tych dwóch dróg jest optymalne.
To jak widzisz swoje życie w przyszłości? Śpiewający adwokat?
To jest jakaś opcja, po koncertach mógłbym udzielać porad. Ale poważnie, jestem na tyle młody, że nie muszę wybiegać za bardzo w przyszłość. Chcę zdobyć wyższe wykształcenie prawnicze i to jest mój najbardziej wysunięty w przyszłość plan. Jedyne, czego jestem pewien to, że nie chcę pracować w żadnym zawodzie ściśle prawniczym, nie chcę być adwokatem, radcą, ani notariuszem, nic podobnego.
Dzisiaj w pudle z kasetami wygrzebałam mój ulubiony zespół z czasów, gdy byłam małolatą, Wiele C.T... A tam mój ulubiony kawałek „Ja nie chcę się starzeć". Widzę, że wciąż aktualny?
A widzisz! Miło mi słyszeć, że akurat ten kawałek. Wiesz, ja mam taką przypadłość, że notorycznie zostawiam gdzieś jakieś rzeczy, swoją drogą na przykład herbatę, i potem cały dzień jej szukam. Postanowiłem, że czas z tym skończyć. Przecież nie można tak żyć, że człowiek nie pamięta, co gdzie zostawia. I na tym koniec poważnych postanowień, bo do tego, by poważnie zastanowić się nad moją przyszłością, na razie wciąż nie dojrzałem. Żyję, jeśli nie z tygodnia na tydzień, to z miesiąca na miesiąc.
Co stało się z chłopakami z Wiele C.T? Rymek z Tobą na koncert jeździ, a reszta?
Słusznie zauważyłaś. On jest również we wspomnianych wcześniej Projektantach. Reszta się rozeszła trochę, ale się widujemy. Jeszcze nic nie jest powiedziane. Póki żyjemy, jeszcze zawsze może dojść do jakiegoś ponownego złączenia, czy, jakże ostatnio modnej, reaktywacji.
Jak to się stało, że z Webberem...
Rozumiemy się muzycznie.
Pytanie, widzę, standardowe. Ale przyznaj się, nie miewasz ochoty na urozmaicenie i wzięcie muzy kogo innego?
Producenta nie. Na pewno obudzi się we mnie chęć zrobienia czegoś innego, ale jeśli chodzi o producentów rapowych, nikogo poza Webberem nie widzę. Mam bardzo specyficzny gust muzyczny.
To czemu nie poszliście śladem „Pezetnoona" i „Dizkretpraktika" i nie skleiliście swoich ksywek?
Nie mam pojęcia. Ostatnio pierwszy raz zacząłem myśleć, dlaczego nie nazywamy się „Łona Webber" i naprawdę nie wiem. Webber mądrze powiedział, że w końcu Jeru wydał dwie płyty z Premierem i wszyscy wiedzą, że Premier to produkował, mimo, że nie nazywa się to Jerupremier.
Z drugiej strony Guru z Premierem nazwali się już inaczej.
Rzeczywiście... Bardzo słuszny kontrargument.
Jakie jest podłoże twojej, sławą owianej, niechęci do featuringów?
To nie jest niechęć. Po prostu strasznie ciężko mi jest się z kimś dogadać, jeśli chodzi o napisanie numeru.
Chodzi o poczucie humoru?
Nie wiem, czy ja mam jakieś specjalne poczucie humoru...
No tak, jesteś wyraźnie przygnębioną postacią (śmiech)...
Prawda? Cichą taką, przygaszoną... Nie mam pojęcia! Mam z tym problem. Jest parę osób, z którymi się pewnie spotkam na gruncie muzycznym, ale dopóki z nimi nie nagram, to nie ma o czym mówić. Nauczyłem się jednego, im bardziej o czymś mówię, tym mniej mi to wychodzi.
Wracając do dziewcząt. Pociągają cię?
Pociągają mnie bardzo (śmiech). Ale jeśli mówimy o śpiewających, to w taki sposób jak Guru z Erykah Badu. Zwróć uwagę, że Erykah tam nie śpiewa po prostu refrenów, tylko śpiewając rozmawia z Guru.
Nie wiem, czy potrafisz to ocenić z zewnątrz ale powiedz mi, na ile ważne są w takim rapie, jaki uprawiasz, zdolności aktorskie?
Mam nadzieję, że w ogóle, bo owych umiejętności podobno nie mam za grosz, jak przeczytałem dziś w Ślizgu, w opinii na temat klipu do „Rozmów z cutem". I, wstyd się przyznać, rzeczywiście aktorem jestem marnym, parę razy brałem udział w przedsięwzięciach, że tak powiem, „okolofilmowych" i nigdy mi to nie wychodziło dobrze.
Ale sama intonacja i umiejętność wcielania się w bohaterów to też zdolności aktorskie...
Pisząc tekst myślę mniej więcej jak to zostanie powiedziane, ale nie przeceniałbym roli tej interpretacji.
Żeby wcielić się w dziadka trzeba mieć talent dubbingowy.
To ciekawe, co mówisz... No cóż, są to rzeczy, których jestem nieświadom zupełnie. Jestem przekonany, że nie są to żadne talenta aktorskie, choć moja intonacja jest rzeczywiście specyficzna i przypisana do mnie. Na pewno byłby z moimi tekstami problem, gdyby miał je wykonać kto inny.
Czy myślisz, że ludzie cię w ogóle rozumieją?
Niezwykle rzadko zdarza się, że ktoś spyta czemu „oko wypadło Jarząbku" a nie Jarząbkowi? Albo czemu na tym parkingu stoi piętnaście autobusów, przecież to bez sensu...
No i wszyscy wiedzą, że nie mówi się „szlem"...
O, proszę bardzo! Ale to naprawdę wyjątkowo sporadyczne historie. Zakładam, że odbiorcy są inteligentni i okazuje się, że są, wierz mi. Wprawdzie telewizja traktuje widzów jak kompletnych idiotów, oczywiście poza wyjątkami jak np. Olga Lipińska, ale ludzie naprawdę na ogół są zdolni do, że tak mądrze powiem, inteligentnej wymiany myśli.
Reprezentujesz liberalne poglądy polityczne, a żeby takie poglądy wyznawać, trzeba mieć zaufanie do ludzi i wierzyć, że są mądrzy. Z drugiej strony kreślisz obraz społeczeństwa polskiego jako bandy tłuków.
Nie społeczeństwo, a wąskie jego grupy stojące zwykle na skrajnych fundamentach. Ludzie w ważnych chwilach potrafią stanąć na wysokości zadania, jak np. w przypadku referendum.
Oglądasz telewizję?
Bardzo rzadko.
Musisz wiedzieć, co się dzieje w kraju!
Wiadomości tak! Tego nie liczę. Poza tym czytam gazety.
Jest o czym pisać, gdy jest się raperem społeczno-politycznym, co? Nadążasz z pisaniem tekstów?
Jestem w wyśmienitej sytuacji, zawsze będę miał o czym pisać. Nie przesadzajmy też z tym politycznym wątkiem. To jest tylko kontekst. Zawsze chodzi tak naprawdę o człowieka, który w tym wszystkim tkwi.
Skoro interesuje cię człowiek, na pewno interesuje cię filozofia lub wręcz religia...
Tak, bardzo mnie to ciekawi. Ostatnio zacząłem żywo interesować się religiami.
Będziesz muzułmaninem?
Nie. Jestem zdeklarowanym deistą, religie interesują mnie pod innym względem, co ludzi tak do nich ciągnie i jak wzajemnie na siebie oddziałują. Im bardziej na wschód tym ciekawiej. Weźmy Ukrainę, gdzie istnieje pięć wschodnich kościołów chrześcijańskich. Ciekawa jest również polityka Papieża wobec patriarchy moskiewskiego Aleksieja II – mają ewidentnie beef (śmiech). To jest szczególnie ciekawe, zwłaszcza, że religie mają wpływ na inne aspekty naszego życia.
Jak wykształciłeś w sobie zdolność dostrzegania absurdów dnia codziennego?
Słuchając moich mistrzów, czyli Wojciecha Młynarskiego, Jeremiego Przybory. Również artyści krakowscy, jak Grzegorz Turnau. Stąd też płynie lekcja pokory, nie napiszę piosenki o miłości, bo Leszek Długosz zrobił to tak, że lepiej nie można.
Skąd te peerelowskie inspiracje?
No wiesz, wszyscy jesteśmy, jakby nie było, wciąż mocno osadzeni w tym PRL-u. Nasz stosunek do państwa czy do własności publicznej, wciąż tkwi jakby w tamtym okresie. Spójrz na to, jak załatwiamy cokolwiek. Ślemy chuje na polityków, że są skorumpowani, podczas gdy sami wszystko załatwiamy dając jakąś bombonierkę, czy Napoleona. Nie wiem, na ile to są nasze geny a na ile pozostałość po systemie, w którym wciąż tkwimy jedną nogą. Ja na przykład jestem owocem stanu wojennego i może właśnie dlatego tak mnie to ciekawi.
A ja w stanie wojennym już byłam na świecie.
No i na pewno wystawałaś w kolejkach.
Raczej z wózeczka wystawałam. A skąd u ciebie takie zacięcie kabaretowe?
Jak każdy Polak znam „Misia" i „Rejs" niemal na pamięć. Chociażby ten Jarząbek świadczy o tym, że filmy Barei traktuję jako część swojego kulturowego dziedzictwa. Zamiłowanie do Kabaretu Starszych Panów wyniosłem z domu. Parę lat temu zrobiłem sobie prezent na Gwiazdkę i kupiłem sobie ich pięciopak.
Stąd „Do Ciebie, Aniu, szlem"?
Tak, choć bazą jest autentyczna historia. Prawdziwe klapki, Ania – klasyczna postać...
Jako jedyna pojawia się na płycie oprócz Webbera, któremu ewentualnie wisisz pieniądze...
Tak, tak. Mało znajomych, zmienię to. Też mnie to boli. Powinno być więcej znajomych na tej płycie.
A Czort też zaistniał naprawdę?
Absolutnie. To nie była beemka a rzucony na glebę renault megane, ale poza tym wszystko się zgadza.
Czy pod wyimaginowanymi, stereotypowymi bohaterami twoich kawałków ukrywają się jakieś konkretne osoby?
Doszły mnie słuchy, że mówię w „Artysto drogi" jakoby o konkretnych osobach. Otóż nie. Nie chodzi o żadnego konkretnego rapera, ba, nawet mogę powiedzieć, że wszystkie zarzuty postawione w tym kawałku mogą być skierowane równie dobrze do mnie. Jest tam taki wers: „... schowaną uprzednio siekierą rozpierdol adapter. Dj z radością odnotuje fakt ten, zwłaszcza, że na koncerty jeździcie z kompaktem". My też jeździmy z kompaktem! Ten utwór jest przejawem dystansu również do mnie samego. Ja też na koncertach mówię: „Ja krzyczę hip, wy krzyczycie hop".
Nie? To trzeba bardziej oryginalnie podejść do tematu...
Właśnie o to mi chodzi! Adresatem tego numeru jest każdy raper w tym kraju, w tym ja.
Zauważyłeś, że hip-hop jest coraz częściej płaszczyzną do personalnego walenia się w pysk?
To mnie niepokoi, ale myślę, że to jest tendencja, która minie.
No właśnie, chciałabym wreszcie usłyszeć jakąś optymistyczną prognozę dla polskiego hip-hopu. Zrobisz to dla mnie?
Z przyjemnością. Obecnie jest nieciekawie, rzeczywiście. Ale, choć to trywialnie zabrzmi, nie należy tracić wiary, że zrobi się ciekawiej. Wszystko się z czasem wyklaruje. Zwłaszcza, że wkrótce hip-hop przestanie być taki potwornie popularny. Popularność na pstrym koniu jeździ.
.:rozmawiała Fala:.

sztuka władania słowem
część 02

Wigor Mor W.A.



W kolejnej odsłonie witam tych zajawkowiczów, których jestem w stanie naprowadzić na właściwy trop oraz tych, którzy rozumieją, o czym mówię i co staram się przekazać. Żebyśmy się przypadkiem źle nie zrozumieli – moje spostrzeżenia nie muszą stanowić wyznacznika w drodze do stawania się raperem, ale myślę, że każdy zainteresowany tą tematyką, jest w stanie w pewnych kwestiach moje zdanie podzielić.

Tak jak obiecałem w zeszłym miesiącu, dzisiaj zaczniemy od pojęcia „wydobycie głosu". Człowiek w pewnym sensie zbliżony jest do instrumentu. A jak wiadomo charakterystykę instrumentów poznajemy przede wszystkim po materiale, z jakiego są wykonane. Tak więc materiał żywy, jako organizm ludzki, to wyjątkowy, odosobniony przypadek. Za pośrednictwem strun głosowych uzyskujemy dźwięk. Dźwięk wydobywany, jak sama nazwa wskazuje, nie zaczyna się w gardle, lecz dużo wcześniej, co dla niektórych może być zaskoczeniem. Kiedy sam zaczynałem rapować, nie zwracałem specjalnie uwagi na tego typu niuanse, mój głos stabilizował się dosyć długo i często brzmiał różnie. Z biegiem czasu, kiedy to stopniowo nasilały się moje nagrywki, a kontakt z mikrofonem był coraz częstszy, moje predyspozycje wokalne zaczęły wzrastać. Osoby, które zaczynają, muszą przygotować się na to, że ich głosy mogą wolno ewoluować oraz szybko się męczyć, ponieważ nie są przyzwyczajone do nadmiernego rymowania. Im częstsze treningi, tym szybsze postępy, a wraz z tym bardziej zahartowany gardziel. Oczywiście sama barwa zależna jest zazwyczaj od wieku – im człowiek doroślejszy, tym lepsze predyspozycje, ale to też do końca nie jest regułą, niektórzy po prostu rodzą się z radiowym głosem. Na własnym przykładzie doskonale wiem, jak przebiega taki proces, wystarczy porównać mój flow z pierwszej „sześćsetki" po dzisiejsze dokonania na nowej Morwie „Dla Słuchaczy". Jeśli chcesz, żeby twój głos był przejrzysty, donośny i wyrazisty, to postaraj się wyrobić w sobie manierę wydobywania go z głębi, a nie tylko z gardła, gdyż wtedy jest zazwyczaj zagłuszony. Na pewno niekorzystne jest nadmierne spinanie, usztywnianie mięśni szyi, przez co odcinamy drogę głosu na zewnątrz. Dobrze jest podczas treningów czuć skurcze mięśni brzucha, bowiem oznacza to, że dźwięk idzie z brzucha przez klatkę piersiową do góry. Profesjonalni śpiewacy robią to z przepony, tylko co to właściwie oznacza? Zaczerpnąłem informacje z pewnego źródła, z którego dowiedziałem się, że: przepona jest uważana za najważniejszy mięsień oddechowy, jest najsilniejszym mięśniem w fazie wdechu. Podczas wdechu obniża się ona ku dołowi, umożliwiając płucom napełnianie się powietrzem. Powietrze to spełnia dwie funkcje: wprowadza w drgania struny głosowe oraz staje się ośrodkiem tych drgań. Mało tego - w procesie wzmacniania dźwięku poprzez rezonans (rozumiany jako wzmacniające współdrganie, wywoływane poprzez falowy lub drgający słup powietrza), ogromną rolę odgrywają:

– głowa jako rezonator górny;
– klatka piersiowa, będąca rezonatorem dolnym.

Z tego wynika, że poza rękami i nogami, cały nasz tułów wraz z głową są odpowiedzialne za końcowy dźwięk, wydostający się z wnętrza człowieka.

Dobrego rapera poznaje się właśnie po tym, w jakiej formie wydobywa z siebie swój głos. Jednak często odnoszę wrażenie, że dla pewnej części stanowi to problem, co słychać po zabarwieniu głosu - jak jakby chciał, a nie mógł. Omawianą przeze mnie wyżej tendencję duszenia własnego głosu określamy w naszym studyjnym żargonie mianem „dziada". Nie jestem również zwolennikiem wymyślania dziwnych stylów głosowych. W moim przekonaniu najlepiej dążyć do ukształtowania w rapowaniu swojego naturalnego głosu, w końcu po to zostaliśmy nim obdarzeni. Inaczej sprawa wygląda w przypadku wrodzonych manier głosowych, które w sposób dobrze wykorzystany mogą być kluczowym patentem decydującym o wyodrębnieniu danego wykonawcy. Spotkałem się też z różnego rodzaju polskimi gwarami, które zbyt rzadko są wykorzystywane w sposób konwencjonalny jak w przypadku HST z Katowic. Apeluję do przyszłych raperów z różnych części Polski: nie zapominajcie o swoich etnicznych przynależnościach. Jeśli chcecie oddać realizm miejsca, z którego pochodzicie, to nawijajcie po waszemu. A propos oryginalności to muszę was uprzedzić, że pod tym względem jest coraz trudniej. Nie oznacza to oczywiście, że nie pojawi się na naszej scenie jeszcze wiele nowych odróżniających się głosów, ale jak na razie jest ich coraz mniej. Przyczyn upatrywałbym w tendencji naśladowania lub zbytniego sugerowania się innymi polskimi raperami, często początkujący robią to podświadomie, do końca zapewne nie zdając sobie z tego sprawy. Wiadomo, że dobrze mieć jakiś wzór do naśladowania, jeśli faktycznie jest on trafny, ale w pewnym momencie wypadałoby się od tego odseparować i szukać własnych rozwiązań.

Tak jak już wspominałem, w swojej twórczości (głównie z okresu pierwszej płyty) miewałem nagrywki, gdzie doskonale słychać różnicę z dzisiejszymi osiągnięciami. W tamtym czasie głos potrafił szybko się męczyć, był mało uodporniony, dlatego przy 15-20 próbie był już osłabiony i nie brzmiał tak jak powinien. Z doświadczenia wiem, że pierwsze 15 minut przed mikrofonem to najlepszy czas na rozgrzewkę. Najlepiej przewinąć sobie dany tekst kilka razy na sucho, oswoić się z nim wraz z podkładem, a w kolejnym przedziale czasowym od 15 minuty do godziny optymalnie go nagrać. Z tego wynika, że przygotowanie do nagrania to nad wyraz istotna kwestia. Kiedy zaczynaliśmy pierwsze nagrania, teksty do kawałków powstawały bardzo spontanicznie, najczęściej na osiedlu albo w domowym zaciszu. Każdy trenował wyłącznie acapella, ponieważ nikt z nas nie dysponował żadnym sprzętem, ani nie było specjalnie miejscówki studyjno-podobnej, gdzie można było wtedy regularnie ćwiczyć pracę z mikrofonem. Okazało się, że różnica w rymowaniu na sucho, a przed mikrofonem może być diametralna. Prawda jest taka, że trzeba się nauczyć współpracować z tym urządzeniem, które dla dobrego rapera powinno być ulubioną czynnością. W moim mniemaniu dla chcącego nic trudnego! Akurat w moim przypadku, gdy nagrywaliśmy ciągle w przeróżnych studiach, ze względu na sprzęt i realizatorów, nabycie tego wyczucia wymagało czasu. Dzisiaj już wiem, że najlepiej mieć stały dostęp, najlepiej do mikrofonu pojemnościowego, dzięki czemu można systematycznie kształtować swoje umiejętności oraz wspomniane obeznanie. Jeśli ktoś z was chce stworzyć, przyjmijmy, domowe studio pod kątem nagrywania wokali, to dla przypomnienia opiszę zestawy dla początkujących i dla tych, którzy chcą realizować je na wyższym poziomie: 1) komputer z kartą muzyczną, dla wymagających karta z nisko szumiącymi wejściami, 2) mikrofon dynamiczny wyższej klasy, dla wymagających mikrofon pojemnościowy zasilany bateryjnie lub przez specjalny preamp, 3) jakikolwiek program komputerowy tzw. multitrack typu (sonar, sequoia, cubase, logic), 4) słuchawki najlepiej zamknięte (by nie nagrywał się dźwięk przebijający ze słuchawek), 5) dobry statyw oraz tzw. pop kiler (pończocha przed mikrofon niwelująca zgłoski wybuchowe „popy" oraz dmuchnięcia), 6) odsłuchy w zależności od potrzeb (może to być zwykła wieża, oddzielne głośniki lub te najbardziej profesjonalne na potrzeby studyjne).

Podstawowym urządzeniem jest oczywiście komputer. W zależności od jego wymagań cała reszta waha się w przedziale cenowym od ok. 400 do 2500 zł albo i więcej. My w studio „Drugi dom" korzystamy z mikrofonu AKG 3000, który jak do tej pory elegancko się sprawuje, a pracujemy w programie „sequoia", który również naszym zdaniem jest bardzo wygodny. Jak powszechnie wiadomo sprzęt o podwyższonym standardzie jest kosztowny, ale na przykładowym internetowym allegro można znaleźć wiele ciekawych okazji. Warto go kompletować, ale trzeba pamiętać o tym, żeby zasięgać rad specjalistów i nie kupować czegoś na głupa.

Wracając do nagrywek chciałem poruszyć kolejny, jakże ważny element w sztuce. Umiejętność łapania oddechów to w moim mniemaniu kwestia pierwszoplanowa. Właśnie tutaj doszukiwałbym się wspomnianej różnicy w rymowaniu z udziałem i bez udziału mikrofonu. Chodzi o to, żeby przed nagraniem ćwiczyć nawijkę wyraźnie na głos, a nie tylko cicho pod nosem, z tego względu, że przed mikrofonem pojawi się kwestia oddechów. Wszystko zależy od tego, w jaki sposób zaprogramujesz swój tekst. Często słowa układają się tak, że liczba miejsc, w których trzeba złapać oddech jest ograniczona. Jeżeli dopiero zaczynasz, zwróć na to szczególną uwagę, ponieważ sam łatwo możesz utrudnić sobie życie. Po napisaniu tekstu popracuj długo nad rozmieszczeniem słów w danym rytmie, najlepiej pokombinuj na kilka sposobów, nie bój się eksperymentować. Pamiętaj o tym, że czasami niektóre słowa mogą zaburzać rytm ze względu np. na długość, dlatego zawsze możesz próbować zastąpić je synonimem, jeżeli oczywiście może ci to pomóc. Jeżeli stwierdziłeś, że już osiągnąłeś dane rozmieszczenie, w następnej fazie na spokojnie wyłap wszystkie momenty, w których łapiesz oddech. Dziury w tekstach mają różne długości. Każdą z nich powinieneś optymalnie wykorzystać do złapania danego oddechu, ponieważ kawałek dalej tego powietrza może już ci zabraknąć. Najlepiej mieć tak obeznany tekst, że już doskonale wiesz, po jakich słowach dane miejsce się pojawia i tylko spokojnie na to czekasz. Chodzi o to, byś jak najwygodniej poukładał sobie słowa na potrzeby własnej interpretacji, tak by było słychać, że rapowanie danego kawałka nie sprawia ci żadnej trudności.

Dokończenie tego zagadnienia w następnej części. Do usłyszenia.

.:Wigor:.

Lubicie go, czy też nie, jedno musicie mu przyznać – w polski rap wpisany jest na stałe. Współtwórca legendarnego Kalibra 44 hip-hopem zainteresował się na początku lat 90. Droga od zainteresowania do tworzenia nie była długa. Wraz ze swoim bratem, Joką i Magikiem postanowili stworzyć zespół. Kilka lat zabrało im znalezienie własnego flow, sposobu na tworzenie polskiego rapu. Gdy w połowie roku 1996 SP Records wydało singiel Magia I Miecz, wiadomo było, że ten sposób wymyka się standardom. Potwierdziła to wydana kilka miesięcy później płyta Księga Tajemnicza: Prolog. Jedna z pierwszy polskich produkcji hip-hopowych pełna była metafor, niepokoju, przedziwnych zabaw słowem. To zastanawiało, bo do wydania takich albumów sceny w innych krajach dojrzewały latami. Kaliber 44 od takiej produkcji zaczął...

K44 szło za ciosem, przez lata zdobywając w Polsce dziesiątki tysięcy fanów, grając mnóstwo koncertów, zwracając na siebie uwagę nie tylko zdeklarowanych odbiorców rapu. Magik odszedł, by tworzyć Paktofonikę, ale nasz bohater wraz z Joką i DJ-em Feel-X'em szli za ciosem. Ostatni studyjny zadali w 2000 roku, wydając album 3: 44. W tym samym roku śmiercią tragiczną zmarł Magik...

Pierwsze informacje o solowej produkcji człowieka, z którym wywiad za chwilę przeczytacie, pojawiły się w roku 2002. Niemal od początku wiadomo było, że płyta nosić będzie tytuł Czerwony Album. Jeden singiel, potem drugi, czas mijał, pojawiało się coraz więcej informacji o tym, jaka może być, ale płyty nie było. Ukazała się całkiem niedawno. Porozmawiajmy więc z jej twórcą...

Przed wami – AbradAb

Na Czerwony Album trzeba było chwilę poczekać. No, powiedzmy nawet, że dłuższą chwilę...
Faktycznie, trzeba było poczekać. Po pierwszym singlu („Miasto jest nasze" – red.), którego nie chciałem kitrasić w domu, zapowiedziałem, że moja płyta wyjdzie już niedługo. Myślałem, że będzie to troszeczkę szybciej... Ale z drugiej strony, nie spieszyłem się, żeby za wszelką cenę wydać ją od razu, starałem się, żeby była dobra, żebym był z niej zadowolony. No i trwało to dwa lata.

W tamtym momencie miałeś jeden singiel i nie miałeś więcej materiału?
Było tam wtedy z pięć kawałków, bodajże dwa z nich odpadły.

W polskim rapie jesteś osobą dobrze znaną, nie trzeba Cię przedstawiać, więc może na początku naszej rozmowy skoncentrujmy się właśnie na nowej płycie. Jest to bardzo eklektyczny materiał, słyszymy na nim dAba w wielu odsłonach, widzimy Twoje różne rapowe twarze.
Zdecydowanie chodziło mi o to, żeby ta płyta była różnorodna. Na każdy kawałek chciałem mieć osobny pomysł, żeby był trochę inaczej zarapowany, żeby beat różnił się od poprzedniego, żeby zadziało się coś innego. Od strony muzycznej dałem wielu osobom szanse zrobienia mi podkładu – jest Volt, Jajonasz, Igor, Piotr Banach, Marcin Macuk, są moje beaty. Już samo to wprowadza dużą różnorodność.

A który dAb na Czerwonym Albumie jest... najbardziej dAbowy. W których kawałkach najbardziej lubisz samego siebie?
Wiesz, wydaje mi się, że w każdym. Czasami jarają mnie kawałki z maksymalnie poprawnym wokalem, jadę w nich cały czas, równo; czasami podobają mi się jakieś żarty, zabawne słowa.

Można zauważyć, że te zmiany, przejścia od „normalnego rapu" do traktowania sprawy z lekkim przymrużeniem oka przychodzą Ci bardzo płynnie, naturalnie. To rzadka cecha w dzisiejszym polskim rapie, w którym nie spotyka się zbyt wielu emcee podchodzących do swoich tekstów w luźny sposób. Zauważasz to?
Tak, przymrużone oko... Zauważam to poważne podejście, nie ukrywam, że było to również motorem dla mnie do takiego, a nie innego podejścia do sprawy. To nie jest naśmiewanie się, ale szydera, właśnie to przymrużone oko. Nie robienie z rapu Big Cyca, ale lekki dystans do opowiadanych historii.

dAb, nie ma co ubierać tego w piękne słówka – jesteś weteranem polskiej rapsceny. Jak patrzysz na nią teraz, z perspektywy lat, które minęły od debiutu Kalibra?
Przede wszystkim polski rap bardzo się rozwinął i rozwija, to widać na pierwszy rzut oka. Mnóstwo ludzi chce coś z tym zrobić, powstają nowe projekty, nowe pomysły, granych jest mnóstwo koncertów. No i rap jest coraz bardziej zauważalny, coraz więcej ludzi wie, czym jest hip-hop. Ostatnio nawet w teleturnieju dla dzieciaków spotkałem się z pytaniem, jak się nazywa didżej Pei. Wiesz, wydaje mi się, że to jest właśnie odpowiedź na to, jak ma się polski hip-hop. Przyznam się jednak, że nie jestem ekspertem polskiej sceny, nie zagłębiam się w nią jakoś bardzo. Trafiają do mnie poszczególne rzeczy, ale widzę, że w miejscach, w których robi się to od jakiegoś czasu, zaczyna się pojawiać profesjonalizm. Niektóre produkcje pod względem tekstu, muzyki, wykonania czy późniejszego podania tego podczas koncertów, stoją na najwyższym poziomie.

Widać profesjonalizm wielu wykonawców, widać też wielki boom na hip-hop. Pojawia się on w mediach i opiniach ludzi, którzy – można założyć – jeszcze rok temu prawdopodobnie nie wiedzieli, czym w ogóle jest. Niektóre artykuły, sytuacje czy opinie są momentami karykaturalne. Jak się z tym czujesz?
Wiesz co? Nie za bardzo mnie to obchodzi. Ja sam nie jestem hip-hopem... Hip-hop jest częścią mnie, ja jestem częścią hip-hopu, ale jestem też człowiekiem, który żyje normalnie, myśli o innych rzeczach. Media nie mogą mieć na mnie żadnego wpływu. Niech robią sobie z tego modę, niech mówią o tym, niech robią wielkie halo – w porządku. Mam nadzieję, że wszyscy na tym skorzystamy. Przede wszystkim my, artyści. Będzie to lepsze i bardziej dostępne. I taka już chyba jest naturalna kolej rzeczy – więcej ludzi zaczyna się czymś interesować, media zaczynają tworzyć historię. Faktycznie, czasami jest to poruszane w dziwnym kontekście, w dziwnych programach, przy okazji mówienia o blokersach, przemocy, różnych dziwnych rzeczach, tak naprawdę nie do końca mających z tym związek.

Polski rap z muzycznego nurtu będącego zdecydowanie w okolicach undergroundu, wszedł w szołbiznes. Może dojść do takiej sytuacji, że podczas jakiegoś podsumowania, na przykład Ciebie, dAba, postawią obok Budki Sullera. Kolejny krok to mogą być porównania itd. Gdy szołbiznes bierze jakiś artystyczny nurt w swoje obroty, można spodziewać się sytuacji, które wydać mogą się abstrakcyjne, ale... Co o tym sądzisz? Czy hip-hop w maszynie szołbizu to dobra rzecz?
Trudno powiedzieć... Zależy, jak to wpłynie na wykonawców, zwłaszcza na tych czołowych, którzy mogą zostać tam postawieni, a ich płyty będą sprzedawane w największej ilości egzemplarzy i będą posądzani o komercję. Wiem, że zawsze będzie nurt hip-hopu, który będzie się od tego odcinał, nie będzie chciał w to wejść. Myślę jednak, że wejście rapu w szołbiznes może dobrze zrobić polskiej muzyce. Mnie osobiście nie podoba się to, co jest głównym nurtem polskiej muzyki, co jest najczęściej grane – to są pasztety. Oni są „trzy dekady w branży", a robią castingi ludziom wziętym z czapy, wybierają jakichś idoli, tworzą sztuczne twory. Puszczają to w Jedynce, Dwójce, rozgłośniach komercyjnych i myślą, że to jest fajne. Przy okazji twierdzą jeszcze, że my na to głosujemy i że właśnie to jest teraz modne. Dlatego uważam, że jeżeli wejdzie w to hip-hop, to to polskiej muzyce zrobi dobrze. Bo wierzę, że nie zapomnimy, kim jesteśmy. Przede wszystkim jesteśmy młodzi, świeżsi i mamy coś do powiedzenia.

Są jednak wykonawcy, którzy swego czasu robili konkretny hip-hop, a dziś kojarzą się z „la, la, la, la" i starają się zwrócić na siebie uwagę przesłodzonymi refrenami...
Nie chce mi się wierzyć, że z pełną premedytacją zaczynają robić chujowy hip-hop. Wydaje mi się po prostu, że taki hip-hop lubią, taki czują i trafili do takiego grona odbiorców. Scena jest na tyle duża, na tyle elastyczna, że pomieści nas wszystkich. Dopóki oczywiście ktoś nie będzie wieszał skurwysynów na kimś innym, bo takich kolesi nie pomieścimy.

Na razie jeszcze nikt na nikim wspomnianych nie wiesza, ale ciekawy jestem, co sądzisz o hiphopowych potyczkach na rymy? Był taki moment, że wzajemnych podjazdów było sporo, potem się uspokoiło, teraz znowu robi się, hmm, „gorąco".
Myślę, że jeżeli będzie to zaprezentowane na dużym poziomie, to może wszystkim biorącym w tym udział wyjść na zdrowie. Je-



ABRA



żeli nie będą w tych tekstach wieszać na sobie psów i kurw, tylko będą starali się udowodnić, kto jest lepszym emce, to wszystko w porządku. Jeżeli nie będzie dochodziło do rękoczynów, tylko do pojedynków słownych, to OK. Będą coraz lepszymi raperami, będą zarabiali większe pieniądze, bo kawałki będą puszczane, a ludzie będą temu kibicować. To będzie jak dobry mecz piłkarski.

Wróćmy teraz do Czerwonego Albumu. Wiemy już, że powstawał dłuższy czas, teraz opowiedz, jak nad nim pracowałeś i czy proces twórczy zabrał Ci całe dwa lata?

Absolutnie nie! Mam taki styl pracy, że zrobię dwa, trzy kawałki naraz, a potem przez jakiś czas nic nie robię. Myślę nad nowymi tematami, muzyką. Podczas pracy nad tą płytą po drodze wypadło mi sporo utworów. Nie kończyłem pracy nad nimi, niektóre nie wydawały mi się wystarczająco dobre. Normalna sprawa. W międzyczasie się ożeniłem, przez jakiś czas myślałem zupełnie o czymś innym. Taki prawdziwy czas kończenia, dopieszczania tej płyty zaczął się na początku tego roku, gdzieś pod koniec marca wszystko było gotowe. Mogę o tym materiale powiedzieć, że jest to taki przekrój tego, co działo się ze mną nawet nie przez ostatnie dwa, a jakieś cztery lata, choć po ostatniej płycie Kalibra przez półtora roku nie nagrałem żadnego kawałka. Kończąc – po prostu wybrałem to, co uznałem za najlepsze, najlepiej oddające mnie.

Na pewno zdajesz sobie sprawę, że Twoja solowa płyta była jednym z najbardziej dyskutowanych wydarzeń, które... długi czas się nie wydarzały. Śledziłeś te wszystkie plotki, dywagacje i dyskusje?

Cha, cha, tak, zdaję sobie z tego sprawę, coś tam do mnie trafiało, ale ja ogólnie nie zwracam uwagi na takie rzeczy. Generalnie nie zależało mi na tym, żeby wykorzystywać swoją popularność czy zachować medialną ciągłość wydarzeń związanych z Kalibrem. Zależało mi przede wszystkim na tym, żebym ja był z tej płyty zadowolony, bo to jest dla mnie najważniejszy wyznacznik. Były momenty, w których bardzo zbliżałem się do wydania, ale teraz cieszę się, że jednak wtedy do tego nie doszło, bo z całości materiału odpadły kawałki, o których teraz myślę, że nie chciałbym, żeby się ukazały.

Mówisz o tym, że nie zależało Ci na zachowaniu ciągłości wydarzeń związanych z K44, jednak nazwa Kaliber pojawia się na okładce płyty.

Oczywiście, pojawia się. Nie wypieram się tego, co robiłem i gdzieś chcę to zachować. Współtworzyłem Kaliber na ostatniej płycie w dużej części i chcę, żeby ludzie, którzy go pamiętają, poprzez okładkę mogli skojarzyć to, sięgnąć po to. Chcę też, żeby ludzie wiedzieli, że to się nie zakończyło. To nie jest do końca Kaliber, ja – tak jak jest to napisane – reprezentuję Kaliber 44.

Z pewnością jest w Polsce spora grupa ludzi, która posłuchałaby nowych nagrań Kalibra. Tymczasem Joka za Wielką Wodą...

Ja też należę do tej grupy. Jeżeli Joka kiedyś będzie chciał wrócić, to mam nadzieję, że zrobimy coś. Nie potrafię jednak odpowiedzieć, co planuje Joka i jak ułoży się jego przyszłość.

A potrafilibyście zrobić płytę „korespondencyjnie"?

Mamy ze sobą stały kontakt, zaprosiłem Jokę na płytę, ucieszył się, bardzo chciał coś nagrać, ale, jak mi powiedział, po nierobieniu nic przez tyle czasu, uderzył w niego idealizm i co coś napisał, to nie wydawało mu się to dobre, nie spełniało jego oczekiwań. Co mu posyłałem bealy, to mówił mi, że chce czegoś jeszcze lepszego. Żeby Kaliber po czterech latach milczenia brzmiał po prostu doskonale. W pewnym momencie zaczęły mnie gonić terminy i już nie było czasu. Wiem jednak na pewno, że przynajmniej jakiś pojedynczy kawałek z Joką powstanie, bo cały czas mamy przepływ informacji między sobą. Co do zrobienia „korespondencyjnie" całej płyty, to nie wiem, czy byłoby to fajne. Trzeba się widzieć, wspólnie wymyślać, rozmawiać o tym cały czas, robić kawałek razem od podstaw.

DAB

No to wiemy już mniej więcej, co dzieje się w Ameryce... A co dzieje się na południu Polski, w Twoich rodzinnych stronach? W pewnym momencie można było obserwować ofensywę śląskiego rapu, teraz jakoś to ucichło.

Cały czas coś się dzieje, mnóstwo jest podziemnych składów, sporo jest koncertów. Ja ostatnio żyję na zmianę w Katowicach i Krakowie, więc nie jestem tak do końca na bieżąco, ale wiem, że scena wciąż działa.

A coś Ci wpadło ostatnio jakoś tak szczególnie w ucho z polskiego hip-hopu?

Podoba mi się Sistars, widziałem parę koncertów, przesłuchałem płytę. Cieszę się z solowego albumu Numera, też chwilę na nią czekaliśmy. Tedzik, wiadomo, jestem fanem i popieram jego działalność. Mówiąc ogólnie, wchodzę w produkcje sprawdzone, nagrywane przez emcees, których szanuję.

W naszej rozmowie w pewnym momencie padło hasło „pieniądze". Czy człowiek, który na polskiej rapscenie jest od wielu lat, jest uznawany za jeden z jej symboli, może utrzymać się z tej muzyki?

Nie liczmy już tych lat, che, che... Wiesz, uważam, że skoro kiedyś powiedziało się „a", to trzeba być konsekwentnym. Skoro robię to tyle lat, to teraz nie za bardzo widzę powód, by rzucić to i zacząć robić coś innego, by zarabiać pieniądze. Tu ten czynnik pieniędzy musi występować. Jesteśmy profesjonalistami i za swoją pracę musimy otrzymywać wynagrodzenie, uczciwe wynagrodzenie. Da się z tego żyć, jest to moje jedyne źródło utrzymania. W tym przypadku gwarantem sukcesu jest utrzymanie ciągłości grania koncertów. Wiadomo, że jak się siedzi na dupie i nic nie robi, to tych pieniędzy nie będzie. Jest tak, że jakoś da radę – jak by nas jeszcze bardziej wpuścili do telewizji, wtedy pojawiłoby się więcej tantiemów, więcej zaiksów, można by w końcu powiedzieć o pełnym spokoju.

A jaka będzie przyszłość rapu w Polsce, myślisz o tym czasem?

W pewnym momencie skończy się boom polskiego rapu i pewnie pojawią się jakieś nowe, popularne gatunki. Ale myślę, że rap przetrwa. Hip-hop jako kultura, w całej swojej olbrzymiej postaci, nigdy nie zostanie do końca zaakceptowany przez popularne media, bo niesie ze sobą treści niechciane – przekleństwa, jaranie jointów, dupeczki, imprezy, ogólnie balangowy tryb życia. Telewizja zasadniczo woli „I love you baby" i tego typu farmazony, co widać od lat. Ale część hip-hopu pewnie wejdzie w kanon muzyki popularnej, choć może to być niestety ten hip-hop bardziej ugładzony, ocenzurowany. Jest to jednak głos młodych ludzi i on musi być słyszalny. Myślę, że ci, którzy dobrze wpasują się w część muzyki popularnej, zawsze znajdą swoich odbiorców. Choć pewnie część ich też stracą.

OK. To teraz powiedz mi na zakończenie naszej rozmowy – kim jest AbradAb?

AbradAb to koleś z Baku Baku To Jest Skład i jego płyty warto posłuchać, bo robi dobry polski hip-hop.

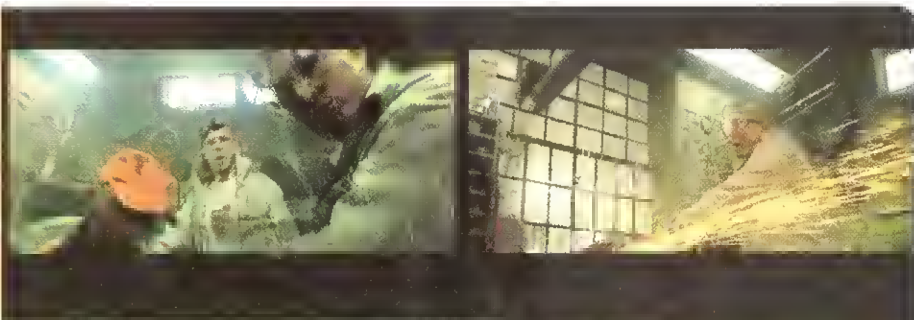
Ostatnie słowo?

Pozdrowienia dla wszystkich słuchaczy polskiego hip-hopu.

:.rozmawiał Kowal:.
.:foto Ula Tarasiewicz:.

NOWE KLIPY

RED ANT FILMS



Siema!

Wakacyjne klimaty wprawiły radosną twórczość w odrętwienie. Poprzednie miesiące przynosiły wiele fajnych klipów, przełom czerwca i lipca to raczej plama. Zobaczyliśmy sporo klipów o wyrównanym, przeciętnym poziomie. Nawet sporo pracy włożono w wiele z nich, ale pomysłu nie odkryliśmy w nich żadnego. To, co zostało do opisania, to elementy, fajne efekty, montaż czy faktura. Chyba warto w tym miejscu powiedzieć coś o funkcjach, które wykonują wytypowani ludzie. Koleżkostwo to pierwszy element, który zabija dzieło. Jeżeli jest problem, to nie można tego tolerować. Lepiej przerwać zdjęcia, zanim taśma pójdzie do kosza. Scenariusz i scenopis powinny przypominać na planie po co tu się znaleźliśmy. W sytuacji, kiedy plan jest niedostatecznie przygotowany, albo jakiś czynnik zawodzi, nieaktualny scenopis daje nam bazę, na podstawie której tworzymy wariację. Bez bazy wariacja udaje się niezwykle rzadko i jest to albo absolutny geniusz, albo kompletny przypadek – czyli nie zawodowstwo. Jak się można pożegnać z niefunkcyjnym funkcjonariuszem działu np. scenografii: siadamy spokojnie przy krawężniku bokiem do niefunkcyjnego, schylamy nisko głowę, po chwili łapiemy się za nią, powtarzając słowo „kurwa", bez pauz. Nie mówimy szije tylko kurwa, kurwa, kurwa. Jeżeli nie ma reakcji, mówimy nie patrząc na niefunkcyjnego i mówimy, co się tak kurwa patrzysz... Coś musi odpowiedzieć, niezależnie od tego, co to będzie, mówimy: lepiej się już kurwa patrz i znacząco wyjmujemy telefon komórkowy z kieszeni wykonując kilka nieznanych niefunkcyjnemu skrótów klawiszowych.

To taki żarcik. Ważne jest jednak trzymanie na planie pewnego reżimu, który owocuje i na montażu można powiedzieć: jest materiał.

LIBER i MARIAN „..."

Fajne efekty znaleźliśmy w klipie Libera i Mariana. Nie mówimy o pierwszym ujęciu, bo jest raczej oklepane i przypomina raczej reklamówkę programu do montażu, po którym wmontowano słabe zdjęcia raperów. W kilku sekwencjach pojawiają się natomiast fajnie zaadoptowane proste myki maskujące część obrazu. Założone w kilku kolejnych etapach dają ciekawą przestrzeń. Scena walki jest mocno naciągana, mimo że bardzo dobrze zmontowana, w pewnym momencie trzeba się zdecydować, czy szyjemy jawną sztucznością i ją wtedy podkreślamy, albo udajemy do końca. Tu tak jakoś ani tak, ani tak, niby ona tym mieczem prosto tam w niego, a jednak jakoś nie na śmierć, a on ginie. Za to ginie całkiem fajnie i tamten, co był przywiązany, to się od słońca w jakąś szarańczę zamienia i no odlatuje, hej. Trochę ładnie a trochę już gdzieś to widziałem. Teraz tak kombinuję, że to może pastisz. Ciemny jestem, bo jak na pastisz, to nie wiem z czego tu się wyśmiewacie, koledzy. Pozdrawiam!

POKAHONTAZ „Master"

Faktura w klipie Pokahontaz „Master" wyciąga cały urok na powierzchnię. Dobrze zmontowane, w rytmie zmiany wypełnień postaci wykluczowanych z obrazków i naniesionych na inne. Brzydkie obrazki trwają dostatecznie krótko, żeby ich nie zauważyć, pełen wypas, można by powiedzieć, gdyby nie ta koszmarna monotonia. Od początku do końca obserwujemy te same patenty bez żadnych modyfikacji. Ciężko zorientować się, która część klipu. Słabiutko z reżyserią, każdy utwór potrzebuje refrenu po to, żeby był jakkolwiek przyswajalny. Jeśli brakuje pomysłu, to nawet zwykła czerń jest rozwiązaniem – ekstremalnym, ale to tak jak pauza w muzyce, jest wyśmienitym znakiem przystankowym. Szokuje przez chwilę, ale jeśli jest z wyczuciem wmontowana, daje oddech i oddziela części. Ludzkie oko wbrew pozorom szybko się męczy i trzeba dać mu odpocząć. Więcej obrazów będzie zapamiętanych, a one w mózgu budują całość – sorry, ale ja tej całości nie wyczułem.

ZIPERA „Do roboty"

No to co? Do roboty. Trochę spóźniony, ale już się ogarniam. Zipera naciera z nową produkcją. Klip nie powalił na kolana, ale na pewno zwrócił uwagę. Teledysk opiera się na wielokrotnym przewinięciu tekstu wprost do kamery, pozbawiony został zawiłych historyjek fabularnych jak i efektów specjalnych – to dobrze? Nie mam pojęcia jakby wyglądał z tymi elementami, ale taki, jaki jest też jest fajny. Co tak naprawdę w tym klipie jest fajnego? Miejsce jest fajne i to na pewno jest bardzo ważne, bo wyobraźcie sobie Zipów na kolejnym dachu, podwórku, czy na ulicy. Byłoby to nie do zniesienia, a tak „fajne miejsce" rozwiązuje zagadkę, co mnie zainteresowało. Oczywiście, że samo miejsce nie wystarczy, aby klip przyciągał uwagę, jeszcze pozostaje sprawa bohaterów, którzy powinni umieć się dostosować do miejsca akcji. Tak też się stało, ponieważ nie wyobrażam sobie Muńka, Pono, Korasa, a już na pewno eleganckiego Fu pracujących w takich warunkach. A jednak, Fu szaleje z diaksem, Koras ze spawarką, a Pono całkiem nieźle ogarnia kowalski młot. A tak właściwie co robi Muniek? Cwaniak, przekłada papierki i goni do roboty. Do roboty wziął się również montażysta tego klipu, szybki montaż, bit podkreślony zatrzymaniami i nawet nie przeszkadza, że raz jest dym a raz go niema. Dla mnie dobra, dobrze wykonana, nieskomplikowana robota.

SISTARS „Sutra"

Nie jest to supernowość, ale dopiero RedAnt zdobył kopię klipu, coby go przejrzeć wnikliwie. Utwór robi furorę, a klip zamieszanie w mediach. Mówią: „taki drastyczny", „...więzienie i przemoc...". I faktycznie, historia dzieje się w kobiecym więzieniu, gdzie życie nie jest lekkie. Cały klip jest bardzo przemyślany. Ujęcie po ujęciu buduje klimat historii wśród charakterystycznych statystek w rolach więźniarek.

Klip powstał w jednym z nieczynnych szpitali w Warszawie. Miejsce to idealnie oddało klimat pustego, zimnego i obdartego z uczuć więzienia, a w zasadzie niektórych jego pomieszczeń. Zielone zasyfiałe kafelki, duże umywalki i olbrzymie pralki, długie korytarze, wielkie kotły i stalowe regały i oczywiście piosenkarki więźniarki. Siostry śpiewają, a pomiędzy tymi ujęciami pozostałe więźniarki piorą ciuchy, gotują albo tańczą. Można by pomyśleć, że klip zrobiła jakaś męska szowinistyczna świnia – co tylko jedno miejsce dla babek widzi – ale nie, to kobieta. My wiemy która, ale nigdy nie reklamowaliśmy nikogo więc i teraz tego też nie zrobimy...

Pojawia się też męska część SI SKŁADU w rolach odwiedzających, adwokatów i obsługi technicznej więzienia, gdzie najlepszą fuchę prysznicmena ma Bartek. Oprócz „słodkiej" (sztucznej i niepasującej RedAnt) sceny, gdzie przy kotłach tańczą więźniarki, jest scena molestowania współosadzonej, o której można było usłyszeć w różnych mediach. Czy scena ta jest aż tak bardzo drastyczna, jak o niej mówiono, to każdy musi sam ocenić.

Troszkę mi ten obraz podjeżdża No Doubt „It's my life", tyle że robi mniejsze wrażenie. Może to wina światła, które nie do końca oddaje klimat, może siostry mało się wczuły aktorsko, a może czepiam się, ale coś mi tu tak do końca nie trybi.

Jednak klip ten RedAnt gorąco poleca wszystkim, którzy go jeszcze nie widzieli, bo jest naprawdę dobry i „wyróżnia się z tłumu".

Zakończymy obrazicznie.
Do zobaczenia...
.:RED ANT:.



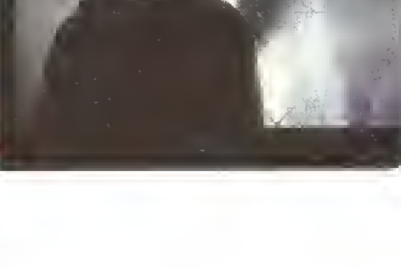












KRS ONE „Wiedza to władza doskonała nad prawie każdym"



„Step into a world where hip-hop is me"
(krok do świata, w którym hip-hop jest mną)

Początek lat 70., Bronx. Upalne lato dawało się wszystkim we znaki, dzieciaki rozkręcały wszystkie okoliczne hydranty i uciekały piszcząc przed zirytowanymi sprzedawcami, którym wcale się ta zabawa nie podobała. Młodzi byli tak wykończeni pogodą, że jakakolwiek aktywność ruchowa ponad umknięcie w cień wykraczała poza ich możliwości. Z każdej ocienionej ławeczki dobiegały dźwięki funku emitowane przez olbrzymie „przenośne" boomboksy. Tymczasem na jednej z ulic pewien czarny chłopak, który okazał się później jedną z legend hip-hopu, eksperymentował właśnie z dźwiękiem. Nazywał się Kool Herc, a jego instrumentem były dwa gramofony. To, co robił z muzyką przyciągało z okolic mnóstwo zajaranych freestyle'owców, którzy przypominali bardziej protestanckich kaznodziejów niż obecnych MC's, oraz tancerzy, którzy właśnie odkrywali zupełnie nowy sposób poruszania się do rytmu nazwany później electric boogie. Traf chciał, że pewien mały chłopiec, Kris Parker, oglądał wszystkie te wydarzenia z okien swojego bloku. Po kilku latach sam zapragnął stać się częścią nowego ruchu, który tak prężnie rozwijał się na jego dzielnicy.

Rozpoczął od elementu, który wydawał mu się najprostszy, czyli od malowania. Już jako KRS-one razem z chłopakiem o ksywie Zore stworzyli crew Down to Bomb. Podpatrując golowe prace Phase 2, CIA, czy Stay High starali się zamalować każdy szary mur. To właśnie na tym etapie Kris zrozumiał w pełni ogólną niechęć afroamerykańskiej społeczności do policji.

„Criminal Minded" vs. „Spiritual Minded"
(nie dosł. *umysł przestępczy kontra umysł uduchowiony*)

W pewnym momencie stwierdził, iż chciałby powiedzieć światu coś ponad kilka liter wymalowanych na budynku i zaczął ćwiczyć swoje umiejętności rapowe. Połowa lat 80., jedno z wielu schronisk dla bezdomnych w Nowym Jorku. Choć większość ludzi przebywała tu poszukując schronienia dla ciała, KRS próbował raczej znaleźć schronienie dla duszy interesując się żywo ideami ruchu Hare Kriszna opiekującego się schroniskiem. To właśnie tu poznał Scotta LaRocka, z którym stworzył Boogie Down Productions – zespół, do którego przylgnęła etykieta gangsterskiego i hardcore'owego. Pierwszy singiel „Crack attack" wydany w 86 oraz mający premierę rok później pierwszy album „Criminal Minded" wskazywały na to, iż tych dwóch raperów zamierza serwować słuchaczom wyłącznie teksty obfitujące w seks, przemoc i narkotyki, choć już w tytułowym utworze z debiutanckiego krążka KRS mówił o sobie „nauczyciel". Jeszcze wtedy Kris nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo prorocze są owe krótkie wzmianki.

Dopiero brutalne morderstwo Scotta skłoniło KRS'a do zmiany światopoglądu. Od 1988 roku do 1992 cztery kolejne albumy BDP wyznaczały powolną ewolucję - od gangstera do prawdziwego nauczyciela, nie demagoga wykrzykującego puste hasła, a bardzo racjonalistycznie podchodzącego do sytuacji pedagoga. Na jednym z ostatnich albumów Boogie Down można znaleźć tekst „Drug Dealer", który oddaje idealnie ówczesne podejście Krisa do zagubionych dzieciaków z getta: „Czarny dilerze narkotyków, musisz zmądrzeć/ zorganizować swój biznes, by rosnąć w siłę/ jeśli zamierzasz sprzedawać crack nie bądź idiotą/ odkładaj pieniądze na szkołę (...) w latach 30. i 40. dilerami nie byli czarni/ tylko Żydzi, Irlandczycy, Włosi czy Polacy/ teraz życie dla nich jest lepsze/ sprzedają swetry (...) a zaczynali od dilowania i mordowania ludzi". Kontrowersyjna, ale znacznie bardziej skuteczna droga do tego, by ukazać czarnoskórym przestępcom pewne mechanizmy i zasugerować zmiany mogące ich wyrwać z marginesu - to była wówczas broń Krisa. Kiedy rozpoczął karierę solową definitywnie wkroczył na ścieżkę nauczyciela. Nigdy nie porzucił ostatecznie swoich niekonwencjonalnych metod nauczania. Poczynając od gorzkiej refleksji nad mechanizmami władzy „What kinda world"- „Nie ma czegoś takiego jak rząd/ są tylko ludzie rządzący ludźmi/ ludzie pomiatający ludźmi...", poprzez krytykowanie służb porządkowych - tu za przykład może służyć jeden z kultowych utworów – „Sound of da police", po uświadamianie ludziom, że rap to jeden ze środków przekazu – „Rymy Równa się Obecne Życie Młodzieży" („R.E.A.L.I.T.Y."), i nie trzeba się go bać – „Rappaz R. N. Dainja" uświadamiał kolejne pokolenia dorastające w tyglu metropolii, już nie tylko Stanów Zjednoczonych, ale i całego świata. Jego karierę można przyrównać do tytułów dwóch płyt – jedna to wydana jeszcze pod szyldem Boogie Down „Criminal Minded", druga to mająca premierę w 2002 roku „Spiritual Minded". Sam pogłębiając swoją wiedzę stał się żywym przykładem dla własnych tekstów i udowodnił, iż rozwinięcie jego ksywki „Knowledge Reigns Supreme Over Nearly Everyone" (czyli „wiedza to władza doskonała nad prawie każdym") to nie jest tylko dopasowanie mądrze wyglądających słów do przypadkowych liter.

Jako raper z długim stażem i ugruntowaną pozycją KRS nadal pamiętał o 4 elementach, z których wywodzi się hip-hop. Stworzył świątynię – Temple of Hip-Hop, organizację zrzeszającą raperów, dj'ów, b-boyów oraz graffciarzy z całego świata, pomagającą osiągnąć korzyści duchowe lub materialne z hip-hopu. Kris nie zapomniał też, że jedną z podstaw hip-hopu jest zdrowe współzawodnictwo, a świadectwem niech będzie jego ostatni głośny konflikt z Nellym. Ten melodyjnie rapujący o niczym człowiek z plastrem na twarzy do tego stopnia sprowokował weterana sceny, że Parker nagrał rewelacyjny singiel „Clear Em Out", w którym towarzyszy mu Tone Def.

Reggae wirus

Choć KRS był jednym z klasycznych raperów, zawsze miał słabość do jamajskich brzmień. Sama natura zresztą obdarzyła go szorstkim, charyzmatycznym i głębokim wokalem nadającym się zarazem do rapowania, jak i do toastingu. Choć nigdy nie zszedł ze ścieżki klasycznego hip-hopu, często wykorzystywał patenty zaczerpnięte rodem z jamajskich utworów (czy to podśpiewując w charakterystyczny sposób, czy specyficznie intonując, bądź rozkładając akcenty, czy przyspieszając wokale). Chętnie współpracował także z wykonawcami związanymi ze sceną ragga. Jednym z pierwszych był Mad Lion, który towarzyszył Krisowi w utworze „Wannabeemcez" z albumu KRS--ONE, a następnie pojawił się razem z Shaggym i Parkerem w numerze „Ey-yo! (the reggae virus)" z soundtracku do filmu „Caught up".

Jak pokazały kolejne kolaboracje, również na polu współpracy z reggae'owcami KRS nie stronił od kontrowersji. Z jednej strony przyjął zaproszenie od Shabba Ranka – tworzącego lekkie, łatwe i przyjemne piosenki dj'a (przypomnijmy, że dj'e rapują, a płyty puszczają selektaz), który jako pierwszy Jamajczyk otrzymał nagrodę Grammy. Z drugiej wystąpił w duecie ze Spragga Benzen – charczącym hardcore'owcem nawołującym do rasizmu i nienawiści, którego występy najczęściej kończone były nie z powodu wyczerpania repertuaru, a przez zadymy pod i na scenie.

Epilog

Jak widać KRS to postać niezwykle barwna i chociaż jest już prawdziwym weteranem posiadającym na koncie ponad 13 albumów, (w tym najnowszy – „D.I.G.I.T.A.L." miał premierę w tym roku) nadal jest aktywny, a otoczenie zamiast go frustrować, jak to często bywa z ludźmi związanymi niemal od zawsze ze sceną, napędza go tylko i motywuje do dalszych działań. Wciąż freestyle'uje, wciąż potrafi znaleźć sposób, by dotrzeć do młodzieży i wciąż reprezentuje prawdziwy hip-hop z godnością mówiąc „I'm a true school cat, and I'm proud of that" – jestem trueschoolowym (czy, jeśli ktoś woli z-prawdziwej--szkoły) kotem i jestem z tego dumny.



.:Wiedźma Cessya (CS):.



Dwa światy?

Panie, Panowie, jesteśmy świadkiem historycznego zbliżenia! Przez lata nie bardzo wiedziano jak podejść do hip-hopu, był kukułczym jajem na scenie bez jaj. Określano go jako przejściową modę, zajawkę blokersów w pękawkach, a nawet kontynuację disco polo. Dziś okazał się na tyle stabilnym elementem muzycznego krajobrazu, że zyskał wsparcie szerokiego grona artystów reprezentujących inne gatunki: punk, reggae, rock, jazz, muzykę elektroniczną, pop. Oczywiście, można wątpić, czy artyści zrobili to z szacunku dla raperów i ich producentów czy może raczej po to, by zwrócić na siebie uwagę i zdobyć nową publiczność – bo chociaż zespoły spoza Płocka sprzedają się gorzej niż parę lat temu, hh wylewa się na nas zewsząd. Motywacje możemy tylko odgadywać, ważniejsze jest to, że zrobiono pierwszy krok ku temu, by muzykę postrzegać jako całość.

Liroy Ewenement

Największą liczbę znanych nazwisk zdecydowanie przyciągnął Liroy. Złożyło się na to wiele czynników – sprzedaż „Alboomu", medialność i otwartość jego autora, coraz lepsza ręka do beatów. Szerzej na ten temat na www.slizg.com.pl za miesiąc, brak miejsca pozwala tylko wymienić listę współpracowników: Grzegorz Skawiński (O. N. A, Kombi), Litza (Acid Drinkers), Glennskii (Blenders), Lipa i Śmigiel (Illusion), Mika Urbaniak (córka słynnego jazzowego skrzypka i saksofonisty, który grał m.in. z Milesem Davisem i Quincym Jonesem, położył fundamenty pod Fusion i Acid Jazz), Mietek Szcześniak, Janusz Stokłosa (autor muzyki do „Metra"), Grzegorz Markowski (Perfekt), Zbigniew Hołdys, Janusz „Yanina" Iwański, Kayah, Golden Life, Kukiz. Dalej na liście zasług w cementowaniu muzycznych światów mamy Vienia i Pelego, którym wspólne płyty z serii „Autentyk" dały szansę odbić od ciężkich klimatów Molesty i otworzyć się muzycznie. Vienio: „Działamy jak drapieżnik – wybieramy ofiarę i osaczamy. Nie chodzimy od osoby do osoby, pytając, czy może z nami coś nagra. Wiemy, czego chcemy i kto może być podatny. Przeprowadzamy selekcję, a potem uderzamy". Hasło „Molesta" zaczęło być przepustką na głodne prawdziwości, ciekawe głosu osiedli salony, kontakty stały się łatwiejsze. Ofiar polowań jest więc sporo: Tomek Lipiński, Andrzej Smolik, Kasia „Novika" Nowicka.

Kochaj Lipę

Zaczęło się od Lipińskiego, obecnego na scenie od 25 lat weterana, lidera Tiltu i Brygady Kryzys. To gitarzysta, wokalista i kompozytor (również muzyki filmowej), który zasłynął dzięki punk rockowi przyprawionemu szczyptą reggae. Dziś uważa punk za rzecz martwą, ale kodeks wartości pozostał: w muzyce najważniejsza jest dla niego szczerość, uczciwość i prawdziwość, poważnie podchodzi do motywu walki z systemem. Takie dobrze odbiorcom hh znane ideologiczne postrzeganie muzyki, niechęć do polskiej rzeczywistości i niespokojna dusza wiecznego eksperymentatora musiały go zbliżać do twórców „Autentyku" „Jestem fanem Molesty razem i osobno (...), nie lubię Fisza, lubię Kaliber, Paktofonikę i parę mniej znanych ortodoksyjnych ekip" – deklaruje. „To, co my robiliśmy na przełomie lat 70. i 80., używając najbardziej wówczas nośnego medium, oni robią dokładnie to samo dzisiaj, używając swojego medium. Dlatego jest mi to tak bliskie, aczkolwiek stylistycznie uprawiamy różne gatunki muzyki, ale ten crossover jest takim dowodem na to, że jesteśmy bardzo blisko siebie". Lipiński dograł refren i gitary w „Każdy chce kochać". Dziwny to numer, Vienio na dobrym beacie miesza celne, plastyczne obserwacje z potwornymi ogólnikami, w to wszystko wchodzi weteran z flegmatycznym, pasującym na niedzielną mszę wokalem totalnie kontrastującym z własnym bezkompromisowym wizerunkiem i twardo pojechanymi przez mc zwrotkami. Na drugim „Autentyku" mamy część drugą, czyli wersję z dodaną nawijką Pelsona.

Elektroniczny Wilk

Kolejny z vipów współpracujących z rapowym duetem, Andrzej Smolik mówił: „Muzyka jest jedna – style i podziały są sztuczne, służą tylko nomenklaturze". Znamienna jest też inna wypowiedź: „Chciałbym też dostać propozycję wyprodukowania kogoś bardzo zdolnego, kto myśli młodziej ode mnie". Został więc upolowany, pojawienie się na „Autentyku 2" było poszukiwanym nowym doświadczeniem, czymś świeżym, a zarazem kolejnym pomostem pokoleniowym. Artysta narzeka, iż „nie ma tej tradycji ciągłości muzycznej. Młodsze pokolenia nie szanują starszych i vice versa, bo starsi dla młodych są estradą, a młodzi dla starszych pajacami, którzy nie potrafią grać i śpiewać". Widać, że wie, co mówi – z jednej strony produkuje zapomnianego przez długi czas wokalistę Krzysztofa Krawczyka, z drugiej pojawia się na albumie hiphopowym, swoje utwory daje do zremiksowania Waco i Emade, nazywając ich „świetnymi". Oczekuje tylko dwóch rzeczy: „otwartości i oświecenia muzycznego". Ważne jest również to, że Smolik nie jest kompozytorem, w jego wypadku sięga się po słowo „producent". Używa elektroniki m.in. po to, by „mieć substytut fortepianu tanim kosztem", stosuje sampling, układa na komputerze linie perkusyjne jak jak rap beatmakerzy i nie trzeba mu na tym polu niczego tłumaczyć. Z klawiszowca Wilków przeistoczył się w najważniejszą twarz polskiej muzyki elektronicznej, stworzył i wypromował nową jakość. O „melodyjnej, nastrojowej, a momentami nawet nasyconej beatami i loopami" muzyce pisała Polityka, która przyznała mu swoją nagrodę. „Sen na jawie" wzdychała jedna z fanek w Internecie, komplementując kojące, wielowarstwowe kawałki.

Feat. Novika

„Ciepłe chilloutowe brzmienia, jakie robi Smolik, bardzo mi się podobają. Przy nagrywaniu „Autentyku II" pomyśleliśmy, że warto by było coś z nim nagrać. Z Andrzejem znaliśmy się z imprez, on jest otwarty (...) Przyszedł ze swoim klawiszem do studia i nagrał melodyjki. Potem Kaśka Nowicka dograła wokale. Nie chcieliśmy takiego typowego „ciepłego" kawałka, Andrzej zrozumiał, o co nam chodzi, i myślę, że wyszedł utwór dosyć hardcore'owy" podsumowuje współpracę Pele. Trzeba pamiętać o nieco innym obliczu Smolika znanym z dwóch płyt Nosowskiej – tam również nie był tak miękki i spokojny jak zazwyczaj. „Ej" jest drapieżne i syntetyczne, stonowano je tylko na refren. Tutaj niespodzianka: Novika wykonuje refren, ale i zwrotkę. To głos bez oszałamiającej skali, choć magnetyczny. Wokalistka porusza się zazwyczaj po dźwiękach, na które swoją radiową działalnością wykreowała koniunkturę, sprawiając, że pojęcia takie jak Bristol przestały kojarzyć się młodym tylko z zajęciami ZPT. „Ej" jednak nie ma z tym nic wspólnego, również tekstowo jest inną bajką: Nie dość, że Kasia śpiewa po polsku, to raperzy wpasowali ją w erotyczny dialog, i to w roli „suni z górnej półki". „Wielu mnie ostrzegało, że może się to spotkać z nieprzychylną reakcją. Po czym załamał mnie totalnie mój własny chłopak, który stwierdził, że to dla nich będzie większym obciachem, że współpracują ze mną, „dziewczynką z telewizji", a nie dla mnie. I nie żałuję" – twierdzi artystka. Mniejsze dylematy mieli Cool Kids of Death: „Nagrywając kawałek z Molestą nie mamy nawet cienia poczucia zaprzedawania jakiś ideałów. Poza tym tajnie jest kiedy okazuje się, że mimo pochodzenia z dwóch rożnych światów muzycznych i chyba nie tylko, bardzo łatwo znajdujemy wspólny język" – tłumaczą.

Fajne dzieci śmierci i revolty

Kuba zarzeka się, że hip-hop odbiera „jako jeden z niewielu autentycznych przejawów muzyki młodzieżowej". Nagrany z Vieniem „Hardcore" – drugi singiel z ich drugiej płyty, jest do przesady szorstki, brudny i hałaśliwy, niczym spreparowany argument do odpierania zarzutów o to, że życie CKOD w Łodzi jest za wygodne, by odczuwali jakikolwiek hardcore, a ich bunt dyktuje tylko marketing. Nawet jeśli, to oba albumy są na tyle mocne i ożywcze, by uciąć dyskusje. Do nich prowokuje raczej Sweet Noise, który długi czas był ciężko, metalowo grającym zespołem darzonym szacunkiem za granicą, a w Polsce znanym tylko gronu pasjonatów, dziś zaś jego lider przypomina krzyżówkę Keitha Flinta i Michała Wiśniewskiego. Wymienił grupę fanów na inną, choć liczniejszą. Zdumiewa fuzją grafomanii z nieprawdopodobnie naiwnym i napuszonym idealizmem. Fakt, że pierwszy singiel promujący ostatnią płytę jest z Peją, drugi zaś z Edytą Górniak daje pole do popisu złośliwym, ale oba numery muzycznie są bardzo zgrabne i bardzo przebojowe (Peja zaskakuje nie tylko tym, że ma niższy głos od Edyty – jego flow na tle gitar brzmi przedobrze). „Powiedziałem Peji, że on jak i my teraz jesteśmy na szczycie. Że przejdziemy do historii. Połączymy hip-hop z rockiem. Zrobimy to z klasą i będzie to coś wielkiego" – informuje Glaca w tradycyjnie pewny siebie sposób. „Jeden taki dzień" jako manifest jest żaden, ale brzmi dobrze i spełnia wymagania hitu. Na „Revolcie" są też inne hiphopowe akcenty – skrecze Kostka, beat i zwrotki OSTR'a, podkłady LA, Magiery. Oby również je doceniono.

Chłopaki nie płaczą

„Nie popieram tylko gloryfikowania przemocy, a poza tym to hip-hop jest ok. Mówi prawdę, jest muzyką podwórka, nie do końca doskonałą, ale prawdziwą, stąd jest mi bliska, to to samo, co punk 20 lat temu, tyle że punk miał swoją antykomercyjną ideologię" twierdzi Muniek Staszczyk. „Szwagierkolaska" pokazała jego sentyment do miejskiego folkloru, szemranych środowisk, bandyckiego kolorytu ulicy. Zipy zaś to pomost między przemysłowym Służewcem a mrocznymi kamienicami Śródmieścia Południowego, esencja klimatu Warszawy, postmodernistyczna kontynuacja hymnów Grzesiuka i brukowego romansu Tyrmanda. Nic więc dziwnego, że „Do Roboty!", unia lidera T. Love, Pona, Fu i Korasa wyszła bardzo naturalnie i sprawdza się: kontrolowany chaos beatu podnosi ciśnienie, zawsze daleki od tego, co nazywalibyśmy „dobrym wokalem" (ale nadrabiający osobowością i tekstami) Staszczyk pasuje ze swoim wejściem o „robotniczym życiu", „piciu", i „rzucaniu kamienia z przyzwoleniem", tradycyjny brak dyscypliny w trzymaniu się tematu u Zipery nie przeszkadza. Są jednak członkowie T. Love, których z rapem łączy więcej. Sidney Polak na swoje solo zaprosił Trzeci Wymiar („reprezentanci zajebiście trudnego pokręconego flow, który mnie bardzo kręci") i Pezeta. „Podoba mi się jego styl rymowania" stwierdza perkusista, z czasem zaś nawet kompozytor i tekściarz. Relacja jest bliższa, niż można by myśleć: „Ostatnio trochę mu pomagam, bo zaczął studiować dziennikarstwo. Na pierwszym roku miał zrobić wywiad z kimś znanym i zrobił wywiad z Muńkiem. Wstydził się w ogóle do Niego zadzwonić (...) Jestem dla niego jak dobry wujek, mówię mu - Pamiętaj, rymuj, graj koncerty, ale nie zaniedbuj szkoły". Pezet pojawia się w „Radio Warszawa" i hitowym „Otwieram wino", którego refren niebezpiecznie pachnie UMC, ale lekko reggae'ujący rytm, umiejętnie wykorzystana gitara i staranna wieloplanowa aranżacja odpędza złe skojarzenia. To raczej profesjonalny pop na miarę XXI wieku.

Słonie na sznurowadłach

Mało kto pamięta, że z T Love nagrywał również Fisz („Softkultura"), gdyż jego udział to bardziej „wyziewy z ust", treści jest jeszcze mniej niż w kawałku z Kodeksu. Obaj bracia Waglewscy mają teraz mniej niż luźny związek z hip-hopem (Emade trzyma w nim jeszcze projekt z Ostrym), Tworzywo Sztuczne odbiło w inną stronę, w Bassisters Orchestra współpracują z indywidualnościami pokroju Mazolewskiego, Trzaski, Bunia (producent lo-fi). Nazwać tych ludzi awangardą, to powiedzieć za mało – stanowią kastę maniaków, co przeszła przez większość gatunków muzycznych, tworzy więc nowe oddając się improwizacjom. Trzaska, kojarzony głównie ze Ścianką, grał z Mazolewskim w grupie Miłość. Przewinął się przez nią Leszek Możdżer, genialny pianista (i autor remiksu Grammatikowego „Każdy ma chwile"; żaden element w nim nie współgra i i na żadnym nie można się skoncentrować), którym przypomniał się właśnie specyficzną płytą – wrzucił do fortepianu parę przedmiotów, by zmienić jego brzmienie i zagrał na nim motywy z Davisa i Tymańskiego. Liderem zespołu był tenże Tymański, multinstrumentalista, autor powieści „Chłopi 3", członek bandu Kury (płyta „Polovirus" błyskotliwie wyśmiała całą scenę muzyczną), wydawca poniekąd hiphopowego zespołu Killa Familla, słynącego z opowieści o jeżdżeniu śmieciarką, Piasku na piasku, i skreczy na magnetofonie szpulowym. Miłość zapisała się w historii światowego Jazzu dużymi literami, nagrała nawet 2 płyty z cenionym trębaczem Lesterem Bowie. Życzę tego Bassisters, ostrzegając jednocześnie, że naprawdę nie wszyscy wytrzymają przy ich nagraniach dłużej niż minutę.

Dusza

Łatwiejsze w odbiorze jest Lari Fari, przedsięwzięcie Haema, częstochowskiego DJ'a i producenta (Ideo, Ego). Parę lat temu postanowił on zrobić płytę z ambitnym r'n'b, napisał teksty, wyszukał wokalistkę, wyprodukował podkłady, skorzystał z pomocy instrumentalistów i raperów. O samej wokalistce jest już co napisać – Paulina Kujawska kończyła wydział jazzu i muzyki rozrywkowej w Katowicach, po czym współpracowała choćby z Ewą Bem. Wśród instrumentalistów należy wyróżnić dwóch kolejnych mieszkańców miasta świętej wieży – Janusza „Yaninę" Iwańskiego i Mateusza Pospieszalskiego. Obaj panowie byli członkami jazz-rockowej potęgi końca lat 70. – Tie Break, obaj grali ze Staszkiem Soyką, obaj są wszechstronnymi multiinstrumentalistami i żarliwymi katolikami. Ten pierwszy, to jak mówi „skończony kontrabasista", ale przede wszystkim tytan gitary – pomysł na Lari Fari musiał mu się podobać, ilustrował bowiem dźwiękiem prostą, emocjonalną poezję Twardowskiego i Poświatowskiej. Ten drugi, został przez internautę określony jako „wirtuoz saksofonu o bardzo ciekawym głosie i temperamencie stu brazylijskich tancerek samby", ale to również kompozytorem i aranżer. I członek Voo Voo, formacji Wojciecha Waglewskiego, który o ile nie zaraził fascynacją do hiphopu, to na pewno wpoił przyjacielowi jego tolerancję. Tak więc znakomici muzycy spotkali się z rymami Pezeta, Dizkreta, Ego, Żywego Srebra. Rezultat był dobry, choć niedoceniony. Przygotowano grunt na później.

Hiphopotopop

Wszelkie koneksje między reggae a hip-hopem w rodzaju „Zion" – kawałka Dużego Pe i Darka Malejonka (filar kultowego Izraela) znajdziecie w arcie parę stron obok. O obliczonych na zamieszanie projektach w rodzaju Tede – Kukulska już pisaliśmy i nie ma się co powtarzać – niby na „Notesie" jest Zdzisława Sośnicka, ale tylko wysamplowana za zgodą. Co dalej? Kazik pojawia się na Aro, ale w remiksie własnego utworu, wciąż opartego na typowym dla piosenek Kultu refrenie. Raper z Dziećmorowic dorymowuje tylko zwrotki pożyczając styl. Jakby ktoś wolał jednak oryginalnego Sokola w wersji light, powinien sięgnąć po fonograficzne dziecko Kayah – „15 minut projekt", niezłą próbę robienia drum'n'bassu przy użyciu żywych instrumentów. Szykują się czasy niemniej ciekawe niż u Pratchetta. „Zrzynam z produkcji mojego syna, jak się da. Hip-hop rytmicznie i brzmieniowo jest fascynujący i cały czas się zmienia" deklaruje Waglewski. Mówi to z uśmiechem, ale dotarł do sedna. Coraz więcej osób zaczyna myśleć jak zerżnąć, lub jak się podłączyć. W telewizyjnych szopkach Małgorzata Ostrowska śpiewała cover Warszalskiego Deszczu, Kombi wykonywało song Libera. Chęć współpracy z Jeden Osiem L zadeklarowała niezniszczalna Maryla Rodowicz, Tatiana Okupko z Blue Cafe dawno przebąkiwała w tekstach choćby o „zespole co w nazwie dwie czwórki ma". Po wygraniu eliminacji do Eurowizji, poszła zaś z miejsca pogratulować Sistars. Cóż, Smolik stwierdza, że jego progresywną dla Polaków muzykę na zachodzie określono by jako pop. To słowo nacechowane jest nad Wisłą pogardą, tymczasem hip-hop przyczynił się i będzie przyczyniać się coraz mocniej do stworzenia nowoczesnego popu. Dobrzy muzycy będą starali się na tym zarobić i z czasem zacznie wychodzić im to lepiej, niż wykreowany i wyprodukowany przez czołówkę muzyków sesyjnych Funky Filon. Uwolnimy się z ery chrypiących dziadków i babć w skórzanych wdziankach. Na niekomercyjnym biegunie też widać ekspansję – alternatywa i buntownicy eksperymentują z hh z ciekawości, poeci mieszają się z raperami na slamach, występują razem na elitarnych rautach.

Jak więc do tego wszystkiego podchodzić? Ostrożnie i nieufnie, ale z należytą dawką dumy.

.:Flint (CS):.
.:foto Dominik Pawlak:.
(na zdjęciu Zipera i Muniek Staszczyk)

Wykorzystałem krótkie fragmenty wywiadów z Gazety Studenckiej (Vienio i Pele), Muzy (Smolik), www.bmg.pl (Smolik, CKOD), www.muzyka.interia.pl (Lipiński), www.kobieta.interia.pl (Novika), www.rockmetal.pl (Sweet Noise), www.independent.pl (Sidney Polak) oraz zapis chata ze strony www.t-love.art.pl (Muniek).

BAS

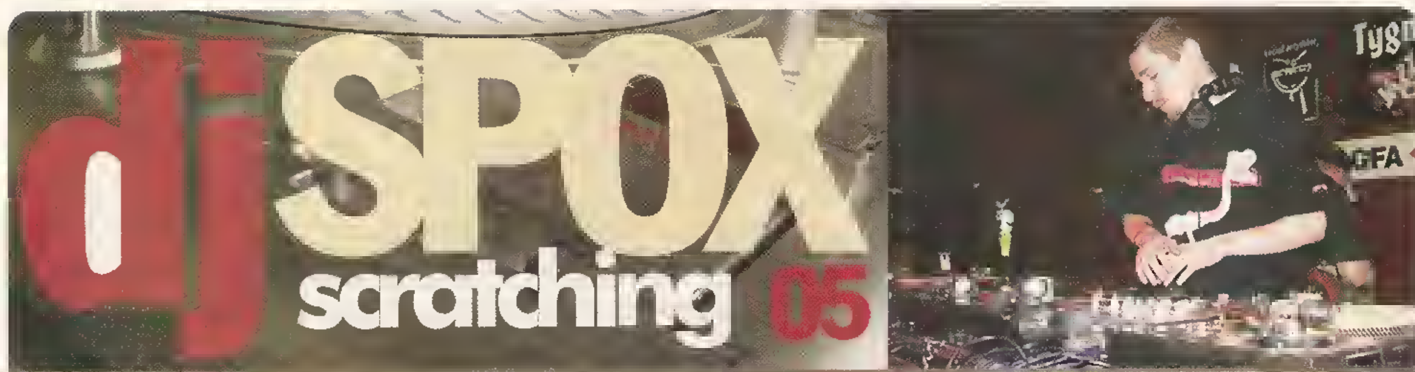


gandzia, dready, Jah

Basa pamiętamy ze słynnego „Protestu". I chociaż z Igorem współpracuje cały czas, wydaje się, że to coraz mniej hiphopowy artysta. Jego świat to kultura rasta, którą reprezentuje ciałem (dready to np. symbol przymierza), duchem oraz muzyką.

Powiedz, jak doszło do tego, że zainteresował Cię rastafarianizm?
To było jakieś 10 lat temu – początki palenia marihuany wśród moich rówieśników. Pewnego dnia, kiedy paliliśmy sobie stuff, ktoś puścił Boba Marleya i powiedział: „zobacz, ten koleś pali, posłuchaj, jak śpiewa". Zainteresowałem się tym typem i później zacząłem zgłębiać filozofię Marcusa Garveya czy poglądy braci rasta z wyspy.
Słuchałeś głównie reggae?
Lubię niektóre rapowe rzeczy, ale słucham głównie reggae. Zawsze było najważniejsze, ponieważ ich teksty są mi najbliższe. Pokrywają się z tematyką moich wierzeń i najlepiej je rozumiem.
Powiedz, na czym ta ideologia polega?
Chodzi o pozytywne podejście do życia. Przestrzegamy zasad pięcioksięgu Mojżeszowego, a nasza trójca święta składa się z trzech osób: Proroka, czyli Marcusa Garveya, kapłana, czyli właśnie Księcia Emmanuela Charlsa Edwardsa, i żywego wcielenia Boga na ziemi: Jego Imperialnej wysokości Hajle Sellasjego. Marihuana służy nam do medytacji – medytacja jest najgłębszą z możliwych inspiracji.
Co dla Ciebie jest w rasta najważniejsze?
Odnalazłem w tym siebie i swoją filozofię życiową. Zawsze patrzyłem na świat w pewien sposób i kiedy okazało się, że moje spojrzenie jest bardzo zbieżne z ideologią rastafariańską, automatycznie stałem się jej wyznawcą. Bardzo mi pomogła: nie piję alkoholu, nie jem mięsa... Uspokaja mnie ta wiara. Pomaga mi w spokojniejszym patrzeniu na wszystko.
Jaki jest pogląd rasta na alkohol?
„Gandzia to spokój, alkohol to szaleństwo".
Wcześniej pewnie piłeś?
O, bardzo poważnie. Byłem wręcz uzależniony, ale, jak mówiłem, zrezygnowałem już z usług alkoholu. Bo alkohol jest rzeczą wymyśloną przez system, przez Babilon, po to, żeby ogłupić ludzi. Marihuana pomaga jaśniej patrzeć na świat. Myślisz wolniej, ale intensywniej, dochodząc do głębszych wniosków. A po alkoholu? Robisz mnóstwo głupich rzeczy. Nie twierdzę, że nie wolno pić w ogóle. Marley też pił do obiadu, zdarzył mu się kieliszek wina. Najgorsze jest chlanie, totalne menelenie, po którym ci odbija i robisz głupie rzeczy (sam pewnie takie robiłem). To paranoja: niszczy mózg, niszczy człowieka, do niczego dobrego nie prowadzi. A gandzia uspokaja i pozwala spojrzeć na świat realnie.
Domyślam się, że to wręcz pewien kult.
Jest dla rastafarian absolutną świętością, telefonem do Najwyższego. Ja np. palę tylko naturalną marihuanę, którą sam sobie wyhoduję. Nie chcę ścierwa z ulicy, z Holandii, jakichś skunów zmodyfikowanych genetycznie i wypełnionych chemią.
Jaka jest różnica?
Mnie nie zależy na tym, żeby się zajebać, tylko żeby coś z tego wynieść. Kiedy zapalę skuna kupionego u dilera, nie jestem w stanie nic zrobić, ponieważ czuję się odcięty. W momencie, kiedy zapalę czyste ziele, mogę normalnie funkcjonować. Skończyłem studia, mam tytuł magistra – w niczym mi nigdy marihuana nie przeszkadzała.
Wielu ludzi pewnie dziwi się, jak w Polsce można być rasta.
Jamajka jest bardzo płodną wyspą, na której rodzi się wielu dobrych artystów, ale oni wszyscy zostali na nią przesiedleni z Afryki, tak jak my zostaliśmy przesiedleni do Europy w czasach rzymskich. Dlatego jestem biały – musiałem się dostosować do klimatu, który tu panuje. Nie mogę być czarny, jest to ewolucyjnie niemożliwe, jeśli od tysięcy lat mieszkamy w Europie północno-wschodniej. Ale kolor skóry nie jest żadną przeszkodą do zgłębienia danej filozofii i poznania Najwyższego. Repatriacja – owszem, trzeba powrócić do Afryki, ale trzeba do niej powrócić mentalnie. Europa, cały ten system, jest Babilonem, jest złem, a Afryka to nasz Syjon, ziemia obiecana. Ale nie mógłbym się tam przenieść, bo nie dałbym rady przystosować się do warunków. Jestem biały, byłoby mi za gorąco, już jest dla mnie trochę za późno (śmiech). Ale mentalnie mogę tam cały czas powracać.
Jest to możliwe, kiedy otacza Cię taka, a nie inna rzeczywistość?
Trzeci świat jest wszędzie. Ostatnio rozmawiałem z Frenchmanem i powiedział mi, że wyznacznikiem tego, jaka jest w danym kraju sytuacja, jest to, gdzie stoją prostytutki. Popatrz, w Polsce prostytutki stoją w centrum miasta. Wiadomo, że nie mieszkamy w lepiankach (chociaż pewnie niektórzy mieszkają), ale bieda i ucisk są wszędzie takie same.
A musi być ucisk i bieda, żeby można było zrozumieć rasta?
Uciśnionym i biednym jest łatwiej, ponieważ daje obietnicę tego, że będzie lepiej. Daje nam świadomość, że jesteśmy narodem wybranym, który teraz cierpi niewolę w ziemi egipskiej, ale kiedyś, po wyjściu stąd, ta sytuacja zmieni się.
W kawałku na IGS'ie rymujesz: „... we łzach Afryka, we krwi Azja".
Cały świat płacze, wszędzie toczy się wojna. Popatrz: Somalia, Sierra Leone, Laos, Kambodża, Czeczenia, Tybet... można by wymieniać. Ciągle rewolucje, ciągle partyzantka i przewroty, zero stabilności jakiegokolwiek systemu. Ludzie giną na marne, przelewają krew bez powodu. Gdzie jest ONZ, organizacja, która powinna próbować załagodzić każdy konflikt? W Iraku stacjonują amerykańscy, brytyjscy i polscy okupanci. Somalia, Kosowo, ciągle dochodzi tam do rzezi. Przykład Somalii: była tam ONZ i nagle się zabrała, bo stwierdzili, że nic nie są w stanie zrobić. Marnują tylko światowe pieniądze.
Jesteś przeciwny wszelkim interwencjom?
Zostawmy każdy kraj w spokoju. Gdyby ktoś dawno temu nie stwierdził, że Afryka jest prymitywna i trzeba ją ucywilizować, teraz nie byłoby tam biedy. Ich odcięto od naturalnych korzeni. Cała siła tkwi w komunalności. Jeżeli coś jest komunalne i tworzy się pewna grupa, plemię, to funkcjonowanie jest wtedy zupełnie inne niż w społeczeństwie babilońskim czyli np. europejskim, w którym panuje kult jednostki. Popatrzmy na Irak. Oni są muzułmanami, dla nich to jest obraźliwe, kiedy ich kraj okupują tzw. niewierni. Amerykanie nigdy nie zrozumieją kultury muzułmańskiej, nigdy! Pomyśl, gdybyś pojechał np. do Iranu i by cię zamknęli za to, że nie masz brody, zrozumiałbyś? A tu przyjeżdża koleś z Iranu i go zamykają, ponieważ z miejsca, za wygląd jest potencjalnym terrorystą. Świat jest dziwny. Ale mimo wszystko jest taki, jaki powinien być. Dajmy spokój, nie okupujmy nikogo. Polska sama była zniewolona: 123 lata zaborów, potem 20 lat wolności i znowu okupacja radziecka (przez 50 lat). Teraz robimy się kolonią Stanów Zjednoczonych. Ja nie chcę współpracy z USA. Uważam, że George Bush powinien stanąć przed Trybunałem Międzynarodowym. Tony Blair również.
Nie upatrujesz we współpracy z Ameryką korzyści?
Partnerzy powinni być równorzędni. To tak, jak w związku: jeżeli ty próbujesz kierować kobietą, albo ona tobą, to sytuacja robi się chora. Sama Ameryka ma oczywiście swoje plusy. Tolerancja. Kiedy spacerujesz po Nowym Jorku, jak byś nie wyglądał, nikt na ciebie nie zwróci uwagi. Ale akurat tych dobrych wzorców, kultury w stosunku do innych ludzi nie czerpiemy.
Reggae to twoje korzenie, a jednocześnie robisz hip-hop. Jak to łączysz?
Hip-hop, jungle, drum'n'bass, breakbeaty – to wszystko wywodzi się z reggae. Hip-hop narodził się w Afryce. Opowiadacze chodzili od wioski do wioski i opowiadali historie do rytmu bębnów. To był pierwszy rap. Rap jest w porządku. Mnie nie interesuje to, do czego ja śpiewam, mnie interesuje sam przekaz. Jeśli podkład hiphopowy mi się podoba, też do niego nagram. Ale bardziej pasuje mi rytmika reggae dancehall. W tę stronę idę.
Powiedz, w jakim stopniu przejmuje Cię sytuacja Polski?
Jest dla mnie bardzo ważna. Mimo tego, że jestem rastafarianinem, jestem Polakiem. Mamy takie powiedzenie: „nie pytaj mnie, skąd pochodzę, bo jestem rasta". Ale widocznie Jah chciał, żebym się tu narodził. Śpiewam głównie po polsku, o Polsce, o tym, co się tu dzieje i dlaczego się tak dzieje. Krytykuję ten kraj, ten rząd i ten system, bo on cały czas mnie dotyczy.
Gdzie upatrujesz szansy na poprawę sytuacji?
Po co nam parlament? Po co rozwinięta biurokracja? W Dąbrowie wybudowali Urząd Miejski za ileś tam miliardów złotych, a przecież za te pieniądze można by wyżywić biednych przez całą zimę. Ludzi, którzy nie chcą pracować, bo im dobrze, jak piją wino, trzeba zostawić. Ale są tacy, których życie kopnęło w dupę i oni nie potrafią dać sobie rady sami. Tymczasem rząd pomaga biednym jeszcze bardziej zbiednieć.
Zarymowałeś kiedyś, że nie pójdziesz głosować w ich wyborach. Zmieniło się coś?
Myślałem cały czas, że to są czyjeś wybory. Ale pewnego dnia obudziłem się i stwierdziłem, że to jest mój kraj i mam jakiś wpływ na władzę. Nawet, jeżeli nie wybiorą kandydata, którego ja bym chciał, żeby wybrali, zawsze mam spełniony pewien obowiązek: byłem, zagłosowałem i wiem, że nie zrobili tego bez mojej wiedzy. Niestety, zawsze jest to wybór mniejszego zła. Ale głosowałem w eurowyborach. W referendum unijnym również.
Za wejściem?
Tak. Należy się jednoczyć. Chcę, żeby Europa się jednoczyła tak, jak chcę, żeby kiedyś to samo stało się z Afryką. Pierwszy prezydent Ghany Kwame Nkrumah chciał stworzenia Stanów Zjednoczonych Afryki. I chciałbym zobaczyć kiedyś Afrykę zjednoczoną, wspólną, wolną od biedy.
A chciałbyś się wyprowadzić z Polski?
Trudno mi powiedzieć. Ja po dwóch tygodniach zaczynam tęsknić. Niby nie podoba mi się moje miasto, ale kiedy wyjeżdżam stąd na 2 tygodnie, zaraz chcę wracać.
Powiedz, co z Twoją płytą, którą zacząłeś nagrywać u IGS'a?
Termin się nieco odsunął, mam inne projekty: 13 Chilli Pół Fuksa (marzec 2005, Doperacja), Ushat Sound System. Współpracuję z Przemasem (Emmanul Home Studio). Płytę natomiast zacznę nagrywać w marcu przyszłego roku. Jeszcze do niej nie dorosłem. Współpraca wciąż jednak trwa. W tej chwili wychodzi „Na Klucz" – zajebista składanka, będą tam moje kawałki. I mam nadzieję, że na następnych również. Uczyłem się rapować u Jajonasza, ale szlif zdobyłem w IGS'ie. I zawsze będę mu wdzięczny.

.:rozmawiał Keb (Czyste Słowa):.
.:foto Małpa:.



Witam wszystkich zainteresowanych tematem dj'ingu na łamach miesięcznika Ślizg. Na początku muszę przyznać, że pisząc pierwszy artykuł nie spodziewałem się, że Wy (czytelnicy) zechcecie czytać moje przemyślenia, a Oni (redakcja) zdecydują się na dalszą współpracę. Wynikiem takiego zaskoczenia jest to, że absolutnie nie przygotowałem sobie żadnej linii tematycznej i czasem w artykuły wkradał się lekki chaos. Może to i dobrze zresztą...

Do rzeczy. Nadal nie będę zajmował się operacjami gramofonowymi, jak to dobrze ujął mój przyjaciel „... potraktuj to jak naukę sztuk walki, pierwsze pół roku bez uderzenia kogokolwiek..." przekładając na ludzki, o samych technikach skreczowania jak najpóźniej. Najpierw podstawy, sprzęt, historia, kultura. Tym razem postaram się opisać kilka dat i wydarzeń z hiphopowo – dj'skiego świata.



Pominę tutaj daty wynalezienia gramofonu, pierwszego utrwalenia dźwięku na płycie, pierwszej imprezy z użyciem takich urządzeń itd. Datą, od której zacznę jest rok 1972. Wtedy właśnie firma Technics wprowadza na rynek „stereofoniczny odtwarzacz płyt winylowych o napędzie kwarcowym model SL 1200". Dokładnie tak. Nasz poczciwy technics ma już 32 lata i nie zamierza żegnać się z tym światem. Raz na jakiś czas przechodzi lekki retusz (patrz modele 1210mk2, 1210mk3, 1210m5g pro), ale cały czas jest absolutnym liderem, jeżeli chodzi o gramofon dla dj'i.

W roku 1973 Dj o pseudonimie Kool Herc gra w Bronksie imprezę w takim stylu, że ludzie nie bardzo wiedzą, jak to coś nowego nazwać aż do... roku 1974, kiedy to Dj i MC Love Bug Starski zaczynają nazywać rodzącą się kulturę mianem hip-hop. A dalej już poszło.

W tym miejscu chciałbym się zatrzymać na chwilę. Może niewielu z Was o tym wie, ale na początku całego hiphopowego świata byli dj'e. I to nie Dj Premier, czy Dj Q-bert z całym szacunkiem dla obu. Poszukajcie, poczytajcie a przede wszystkim posłuchajcie dokonań Grandmaster Flasha, Dj Red Alerta, Jazzy Jaya, Grand Wizard Theodora czy Afrika Bambaaty. Trochę powinno Was to zasłonować, pokazać nowe drogi w myśleniu o imprezach, muzyce, kulturze hiphopowej. Może pewna część z Was zrozumie wreszcie rolę dj'a w hip-hopie, dostrzeże to, że jesteśmy równie ważni, jak występujący w świetle jupiterów MC's. Być może publiczność zacznie słuchać, co dj'e mają do przekazania od siebie na imprezach i zacznie szanować tych, którzy na to zasługują chociażby umiejętnościami, czy innym doborem kawałków. Może wreszcie doczekam się cudu, że gdy w kawałku, który zagram będzie okrzyk „Make some Noooise!!!" (ewentualnie MC powie „zróbcie hałas") to publiczność zareaguje i zrobi ten p*&%$ny HAŁAS!!! To samo jest przy wszelkich innych tekstach skierowanych na podgrzanie atmosfery w klubie (przykładowo „All the Ladies in da House Make Some Noise", „Throw Your Hands In the Sky and Wave'em From Side To Side", „Clap Your Hands Everybody" itd). Jest tego naprawdę sporo we wszelkich imprezowych kawałkach, ale niestety ciężko jest przekonać publiczność do jakiegoś innego udziału w imprezie, niż przestępowanie z nogi na nogę często nie do rytmu (to się w skrócie nazywa taniec). Przez szereg lat grania imprez zauważyłem, że publiczność nauczyła się tak ze trzech refrenów (w tym nieśmiertelnych „eeee must be the money" i „hey, dirty"). W sumie to i tak dobrze, ale byłoby naprawdę ciekawiej, jakby się trochę bardziej wczuć w imprezę. W końcu na pierwszych imprezach hiphopowych to właśnie wspaniała interakcja dj'a z ludźmi na parkiecie była największą frajdą dla obydwu stron i to właśnie był ten ogień nakręcający imprezę coraz mocniej. No cóż poczekajmy, hip-hop coraz bardziej rośnie w siłę. Dobra, powróćmy do naszych dat.



Specjalnie zatrzymałem się, aby jako tako opisać imprezy, ponieważ teraz przyszła pora na bardziej kluczową datę dla mnie. Wyobraźcie sobie... Rok 1974... Bronx... Jedno z pięter w bloku z brązowej cegły... Młody chłopak gra w słuchawkach na swoim zestawie, nie wiedząc, że ma jednocześnie włączone głośniki. Podkręca muzykę na tyle głośno, że jego matka zmuszona jest interweniować i podczas, gdy ona wzburzona tłumaczy synowi, że jak ten nie ściszy muzyki, to połamie mu igły, on nie chcąc stracić rytmu gry przytrzymuje palcem płytę i rusza nią do rytmu. Matka na niego krzyczy, ten dziwny dźwięk w słuchawkach, mama krzyczy... ten dźwięk... mama... Ten Dźwięk!!! Ten młody chłopak to Grand Wizard Theodore, który właśnie odkrył skreczowanie. Pomyślcie sobie, jak historia potoczyłaby się, gdyby matki Theodore'a nie było w domu, lub gdyby ten zatrzymał płytę na fragmencie ciszy... Na początku skrecze były tak kosmicznymi dźwiękami, że ludzie czekali często przez pół imprezy tylko na to, aż dj zacznie skreczować i dopiero wtedy podnosili największy aplauz. Powiedziałbym, że teraz się to mocno zmieniło. I szczerze mówiąc nie wiem, czy lepiej byłoby tak jak kiedyś (biorąc pod uwagę, że DOBRE skreczowanie jest naprawdę czymś godnym uwagi) czy lepiej jest jak teraz gra większość dobrych dj'i starając się nie wrzucać skreczy zbyt głośno i zbyt często ze względu na to, jaką opinię skreczowaniu imprezowemu wyrobili wszyscy ci dj'e pragnący się popisać nikłymi umiejętnościami. Kolejną datą godną uwagi jest rok 1981, gdy wychodzi nakładem Sugar Hill Records pierwsze nagranie, które oparte jest na skreczach – „The Adventures of Grandmaster Flash on the Wheels of Steel". Wszyscy zaczynający dj'e powinni sięgnąć po ten kawałek, aby zobaczyć jak zaczynało skreczowanie, jak zaczynał turntablism. Jakie triki były wtedy popularne i jak można było z prostych trików ułożyć naprawdę wspaniałą kompozycję, jaką jest ten utwór.



Kolejna i tak naprawdę ostatnia, ważna, oldschoolowa data to rok 1983, kiedy to na światło dzienne zostaje wypuszczony kawałek wybitnego muzyka jazzowego Herbie Hancocka (na zdjęciu) „Rockit", gdzie znaczącą rolę grają skrecze na słowie „fresh" wykonywane przez Grandmixera D. S. T. Dla tych, którzy zastanawiają się skąd wzięły się dwa najczęściej skreczowane dźwięki w hip-hopie (wspomniane wcześniej „Fresh" i „Ahhh") powiem, że... wiem, ale zostawię Wam przyjemność znalezienia tych dźwięków samemu. O, to konkurs zrobimy, bo jeszcze nie było. Dla pierwszej osoby, która wyśle mi maila z dobrą odpowiedzią, skąd w oryginale są te dwa słowa – niespodzianka (tylko mi adres napiszcie pocztowy moi drodzy.)

Przy okazji, jeżeli ktoś ma jakieś pytania, sugestie, to proszę bardzo adres djspox@umc.pl. Co do kawałka „Rockit", to pozwolił on wyjść skreczowaniu poza hip-hop. Jako, że teledysk do tego kawałka był grany znacznie częściej niż teledyski hiphopowe wtedy, sporo ludzi miało szansę usłyszeć skrecze po raz pierwszy. Najlepszym przykładem jest to, że Q-bert, Babu, Faust, Craze, Mixmaster Mike i wielu innych wymienia ten kawałek jako pierwszą porcję skreczy usłyszaną w życiu. Jak wykręciło to ich psychikę chyba wiadomo. Tak naprawdę są to chyba najważniejsze daty w historii turntablismu, możliwe, że pominąłem kilka kwestii, ale pewien zarys jest nakreślony. Z nowszych dat to na pewno rok 1995, gdy ukazuje się w wytwórni Bomb Hip-Hop pierwszy w całości turntablistyczny album/składanka „Return of the DJ vol 1" czy rok 1997, kiedy to wychodzi w Asphodel Records pierwszy turntablistyczny album „X-pressions" grupy X-Ecutioners. Od połowy lat 90. wzrosł zainteresowania gramofonami, dj'ami jest tak olbrzymi jak nigdy. Nie ma w tej chwili klubu na świecie, gdzie nie grają żywi dj'e. Aby wymienić wszystkie daty, nowinki sprzętowe, płyty, wydarzenia, ludzi nie starczyłoby miejsca w całym miesięczniku, więc nawet nie próbuję. Przytoczę na koniec słowa, nad którymi wieeeelu dj'i powinno się głęboko zastanowić. Autorem tego najbardziej celnego stwierdzenia jest dj z LA – Egyptian Lover, który startował w ekipie dj'skiej Uncle Jam's Army razem z Dr Dre: „What Is a DJ If He Can't Scratch?"

.:Spox:.

rap francuski


Rohff


OFX

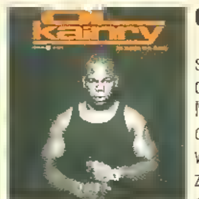
Za sobą mamy już dobre pół roku 2004, a co za tym idzie mnóstwo płyt, które ukazały się we Francji. Żebyście nie pogubili się w tym wszystkim, dziś krótki przewodnik po najważniejszych premierach pierwszej połowy 2004.



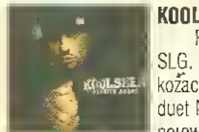
OFX – „Roots"
Zapewne większość z was kojarzy grupę Saian Supa Crew, to właśnie z jej szeregów wywodzą się Feniksi i Vicelow czyli OFX. Album „Roots" to pozycja, która powinna zainteresować nie tylko fanów rapu – mieszanka styli to chyba już element rozpoznawczy SSC, a łatwość z jaką panowie czerpią z różnych gatunków i styli, zmieniają flow czy tematy poruszane na płycie (m.in. kultura czarnych, kobiety, śmierć, narkotyki i wiele innych) jest godna pozazdroszczenia. Płyta jest naprawdę dobra, ale od przeciętnego słuchacza wymaga poszerzenia muzycznych horyzontów. Jako jedyna płyta z tego zestawienia, płyta jest dostępna w Polsce, tak więc warto ją sprawdzić. Pozycją obowiązkową jest też kawałek „ONVI 2" z teledysku, którego nie ma na płycie. Polecam!



RIM K – „L'Enfant du Pays"
Rim K to filar grupy 113 i ekipy Mafia K'1Fry. Pochodzi z Algierii i dumnie reprezentuje Vitry-sur-Seine położone na południu Paryża (departament 94). Po świetnych płytach z kolegami doczekaliśmy się wreszcie jego pierwszej solówki – „L'Enfant du Pays". Co na niej? Przede wszystkim mistrzowski singiel a zarazem świetny teledysk „Boozille", a także sporo dobrych numerów utrzymanych w klimacie, który znamy z jego poprzednich produkcji – nie zabrakło tu więc elektronicznych wygrzewek („Gt Hall 13" ze 113), ulicznych klasyków („Le Couloir De La Mort", „Raging Bull") czy arabskich rytmów („Dans La Tele D'un Jeune Beur", „L'Enfant du Pays" w którym pojawia się też legenda muzyki rap – Khaled). Do tego wszystkiego bonusowe DVD, co sprawia, że „L'Enfant du Pays" to zdecydowanie pozycja godna uwagi nie tylko wśród fanów Mafii K'1Fry.



OL KAINRY – „Les Chemins De La Dignite"
Ol Kainry swego czasu był jednym z odkryć francuskiej sceny. Niegdyś członek grupy Agression Verbale, dziś główny wykonawca wytwórni Nouvelle Donne. Na swoim koncie ma już 2 solowe płyty (EP „En attendant" i album „Au dela des Apparences" – oba wydane w 2001), a także wspólny projekt FACTOR X z kolegami z wytwórni: Kamnouze i Jango Jack. Nic dziwnego, że ostrzyłem sobie zęby na tę płytę, szczególnie po świetnym pierwszym singlu „De Park Hill a 91 Pises" w którym gościnnie pojawia się nie kto inny jak Raekwon z WuTang Clan. Niestety „Les Chemins De La Dignite" jako całość zawodzi – parę dobrych numerów (godne odnotowania featuringi Agression Verbale i Soprano z Psy 4 de la Rime) to za mało, gdy ma się w pamięci numery takie jak choćby „Smatch Ca" (z Buckshotem) z poprzedniej płyty, szkoda...



KOOL SHEN – „Dernier Round"
Po recenzję tej produkcji zapraszam do czerwcowego SLG. W skrócie: świetny powrót połowy NTM, na naprawdę kozackich instrumentalach wysmażonych przez niezawodny duet Madizm & Sec. Undo. Całkowicie słusznie album uhonorowano tytułem złotej płyty.

CHIENS DE PAILLE – „Sincerement"
Chiens de Paille czyli Sako i Hal to duet rapersko-producencki z Cannes. Po 3 latach od debiutanckiej płyty „Mille et un fantomes" ci podopieczni Akhenatona (IAM) wypuszczają na światło dzienne kolejne dzieło – „Sincerement". Pierwsze, co rzuca się po przesłuchaniu płyty to rozwój muzyczny Hala, którego kompozycje brzmią mniej surowo i mrocznie jak na pierwszym albumie, słychać w nich na pewno inspiracje „Blueprint" Jaya Z. O inspiracje Hova nie trudno posądzić również Sako, szczególnie po wysłuchaniu singla „Mes Yeux D'enfant" przypominającego kawałek „Hard knock life", głównie przez dziecięcy chór w refrenie. Wśród godnych uwagi numerów na pewno znajdują się energiczne „Resistance", „Des Ailes" i „Prisons". Wśród gości prym wiedzie Lyricist, dużo więcej spodziewałem się po kolaboracji z IAM, no cóż, nie można mieć wszystkiego. Na pewno warto sprawdzić ten album, szczególnie jeśli słyszałeś poprzedni.



BOOBA – „Pantheon"
Odejście od 45 Scientific i rozpad Lunatic dobrze nie wróżył tej produkcji. Jednak Booba wziął sprawy w swoje ręce i razem ze swoją ekipą 92I stworzył własny label – Tallac Records. „Pantheon" to drugi po „Temps Mort" solowy album Booby, kolejny obok którego nie można przejść obojętnie. Booba znów pokazuje nową definicję tego jak powinien wyglądać hardkorowy rap w roku 2004. 13 numerów wyprodukowanych m.in. przez AnimalSons czy duet Kore&Skalp, znów pokazuje bezkompromisowość tego MC, którego nie sposób nie nazwać skurwysynem na mikrofonie, który sam nie boi się nazwać „Numerem 10" (jak najlepsi napastnicy) w Paryżu. Gościnnie oczywiście najbliższa ekipa Booby czyli 92I – Nessbeal, Mala, Brams, Sir Doums, a także dość zaskakujący featuring gwiazdy dancehallu Wayne Wondera w bardzo udanym numerze „Alter ego". „Numero 10", „Tallac", „Baby" czy „Mon son" to na pewno najmocniejsze momenty tej produkcji, która całkowicie zasłużenie pokryła się już złotem.



ZOXEA – „Dans la lumiere"
Nie ukrywam, że z tą produkcją wiązałem spore oczekiwania. Zoxea to jeden z moich ulubionych mc, jego pierwsza solówka „A mon tour de briller" podobnie jak wszystkie płyty grupy Les Sages Poetes de la Rue, często goszczą w moim odtwarzaczu. Udane maxi „King de Boulogne" podsyciło tylko mój apetyt. Niestety na „Dans la lumiere" przyszło mi się zawieść. Co z tego, że Zoxea jest świetnym mc, co wielokrotnie potwierdził (jak choćby ostatnio na albumie Kool Shena), skoro odbił w trochę złym kierunku. Początek płyty sprawił, że złapałem się za głowę z myślą o najgorszych koszmarach, skąd on wytrzasnął te instrumentale? Na całe szczęście w drugiej połowie albumu sytuacja się poprawia, gdy cykające połamańce zostają zastąpione przez klasyczne brzmienia. Niestety wrażenia z początku płyty nie pozwalają z czystym sumieniem postawić tej produkcji obok pozostałej dyskografii autora, a szkoda, gdyż biorąc potencjał Zoxea, a także dobrą formę gości (Kool Shen, Sinik, Nysay) była szansa na coś naprawdę wielkiego.



ROHFF – „La Fierte Des Notres"
Rohff to jeden z członków ekipy Mafia K'1Fry, pochodzi z Komorów i na swoim koncie ma 2 solowe albumy – „Le code de l'honneur" i „La vie avant la Mort" (zawierający singiel „Qui est l'example", który rozszedł się w ponad 800 tys. egzemplarzy!) i niezliczoną ilość featuringów na przeróżnych albumach i mixtape'ach. Premiera 3 płyty Rohffa odkładana była parę razy, poszerzyła się liczba producentów (początkowo całość miał produkować Denaun Porter – producent mega-hitu 50 Centa „P.I. M. P.") i gości (m.in. Expression Direkt, Kery James, J. Mi Sissoko, Wallen, Kayna Samet, Intouchable...), aż w końcu 21 czerwca na półki sklepowe trafił podwójny album „La fierte des notres". Wśród 30 numerów zawartych na tej płycie, znajdziemy wypadkową tego, co znamy z poprzednich albumów – czyli mieszankę hardkorowych brzmień z elektroniką, śpiewanych refrenów i przede wszystkim świetnego głosu i flow, którym włada Rohff. Na pewno warto sprawdzić ten album. Jak to zwykle ma miejsce przy dwupłytowych wydawnictwach, mamy dwa razy większą możliwość na trafienie dobrych numerów, warto więc we własnym zakresie skompilować sobie wersję jednopłytową z najlepszych numerów, wtedy ta płyta powala. Pewny kandydat do tytułu złotej płyty.

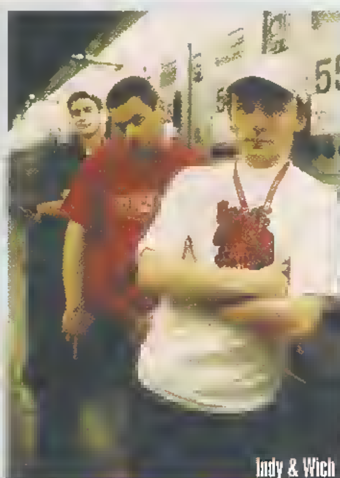


SINIK – „En Attendant l'Album"
Sinik to bezapelacyjnie największe objawienie na francuskiej scenie ostatnimi czasy, tak więc w moim zestawieniu nie mogło zabraknąć i tej pozycji, choć jest to „tylko" mixtape poprzedzający jego długograjacy album „Les Mains Sur Le Coeur", który ujrzy światło dzienne pod koniec roku. Na „En attendant l'album" znajdziemy 13 numerów, z których część mogliście usłyszeć wcześniej (m.in. „No Time" z płyty Zoxea czy teledyskowy numer „Dis Leur De Ma Part"). Całość naprawdę powala – świetne bity, dobre featuringi (wspomniany wcześniej Zoxea, a także Dosseh i Pit Baccardi) i niesamowity potencjał, jakim włada na mikrofonie Sinik sprawiają, że obok „Les Mains sur le coeur" na pewno nie będzie można przejść obojętnie. Jeśli masz możliwość, koniecznie sprawdź tę płytę!

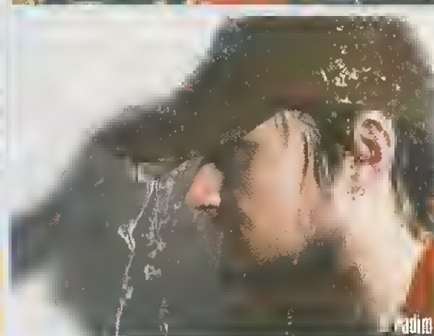
Jak zwykle czekam na wasze komentarze i sugestie, piszcie maile na: tymek@rapfrancuski.pl

.:Tymek:.


Esoteric


Indy & Wich


WWO, foto: Pedro


Vadim

HIP HOP KEMP

W dniach 13-15 sierpnia nad jeziorem w czeskim mieście Hradec Kralove odbędzie się trzecia edycja największego festiwalu hiphopowego Europy Środkowej i Wschodniej – HIP HOP KEMP 2004.

Jeśli mielibyście podać pierwsze skojarzenia z Czechami, w powstałej liście hasła typu „knedliki", „rohlik", „dobry tani browar" czy ostatnio „Pavel Nedved" byłyby prawdopodobnie znacznie wyżej od skojarzeń związanych z rapem. Być może niedługo się to zmieni, gdyż organizowany po raz trzeci festiwal Hip Hop Kemp zdaje się zdobywać rangę jednej z najważniejszych wielkich imprez muzycznych w klimacie hiphopowym nie tylko w Europie, ale także i na świecie.

Poprzednie dwie edycje odbyły się na terenie kompleksu basenów na otwartym powietrzu w czeskiej miejscowości Pardubice. Genialny w swej prostocie pomysł ściągnięcia kilku tysięcy fanów hip-hopu na długi sierpniowy weekend nad wypasione baseny, okazał się strzałem w dziesiątkę. Do Pardubic zjechało się odpowiednio 3500 (edycja 2002) i ponad 7000 osób (2003), by przeżyć najlepszy imprezowy weekend wakacji.

Główną atrakcją Hip Hop Kemp są oczywiście koncerty. Na poprzednich edycjach obok czołówki niezależnego rapu z całego świata (zagrali m.in. DJ Vadim, Mr Lif, Akrobatik, Five Deez, Looptroop, K-Otix, Indy & Wich), wystąpiła także polska reprezentacja – grupy Grammatik i Pezet/Noon. Ciepłe przyjęcie Polaków potwierdziło tezę o dużej popularności polskiego rapu u naszych południowych sąsiadów.

Wyjątkowo otwarci na zawieranie nowych znajomości przy piwku, jointcie i rapie byli zarówno sami Czesi, jak i przyjezdni z innych państw – głównie Słowacji, Węgier i Niemiec. Dzięki temu na imprezie panował niepowtarzalny, pozytywny klimat sprzyjający międzynarodowej integracji, zarówno z wyluzowanymi ziomami, jak i z pięknymi słowiańskimi dziewczętami. Do tego dochodziły jeszcze słońce, baseny, tanie jedzenie i picie oraz przede wszystkim dobra muzyka. Te trzy dni nieustannej imprezy często były później wielokrotnie określane jako „impreza życia", „najlepszy weekend wszechczasów" czy „raj na ziemi".

W tym roku nadarzy się okazja, by uczestnicy poprzednich edycji powtórzyli swoje doznania, a nowi przyjezdni zaznali hiphopowej zabawy, o której krążą legendy. Trzecia edycja HIP HOP KEMP odbędzie się na nowej miejscówce – na Kempingu przy Srebrnym Jeziorze w Hradec Kralove. Samo miasto jest oddalone około 30 km od przejścia granicznego w Kudowie, więc z polskiego punktu widzenia położenie jest świetne. Tym razem dla spodziewanej na 12-15 000 osób widowni zagrają m.in. Dj Vadim z Rosyjską Perkusją, Lootpack, Promoe (Looptroop), Demigodz, 7L & Esoteric oraz polska reprezentacja w składzie O.S.T.R. i WWO.

Trzydniowy relaks nad jeziorem będzie obfitował w wiele atrakcji. Na terenie festiwalu stanie sześć scen i namiotów muzycznych, w których będą odbywać się koncerty, zawody didżejskie (warto wspomnieć, że odbędzie się tam czeska edycja ITF), całonocne imprezy, oraz różne pokazy (breakdance, zośka, teledyski, filmy o rapie etc). Skaterów powinna ucieszyć dostępna dla wszystkich rampa, nie zabraknie także opcji typu flatland dla BMX-ów. Jeśli rap uznać za grę, to obok licznych obiektów sportowych na terenie kempingu znajdzie się też „boisko" dla undergroundowych raperów – specjalna scena Open Mic Stage, na której każdy niezależny emce będzie mógł zaprezentować międzynarodowej publiczności swoje kawałki, freestyle czy beatbox. Rok temu Polacy w tego typu spontanicznych bataliach radzili sobie całkiem nieźle! Dodatkową atrakcją będzie jam graffiti – pomalowana zostanie ściana o wymiarach 60m długości i 2m wysokości.

Rosnąca w siłę z każdą edycją reprezentacja polskich fanów dobrego hip-hopu w tym roku także nie powinna zawieść. Najbardziej napaleni kupili bilety już na trzy miesiące przed samą imprezą! Jeśli chcecie wybrać się na niepowtarzalny hiphopowy weekend w zajebistym gronie, spędzić trzy doby najlepszej imprezy (zarówno podczas koncertów, jak i na całonocnych afterparty na wielkim festiwalowym polu namiotowym), nic prostszego! Na teren festiwalu Hip Hop Kemp organizowany jest transport autokarowy z Krakowa, Warszawy i Wrocławia, więc nawet dojazd i powrót z Kempu mogą być spędzone w fantastycznej atmosferze. Trzydniowe bilety wstępu na festiwal kosztują odpowiednio 105 pln w lipcu i 120 pln w sierpniu.

Wszystkie przydatne szczegóły na temat festiwalu, wykonawców, noclegu, dojazdu oraz biletów znajdują się na oficjalnej polskiej stronie promocyjnej festiwalu pod adresem www.hiphopkemp.pl. Wszelkich informacji udziela też zajmujący się promocją HHK w Polsce Radek Miszczak – 502 642 894 / info@hiphopkemp.pl

Zapraszamy wszystkich do Czech na imprezę życia!

Magazyn Ślizg objął patronat nad festiwalem HIP HOP KEMP 2004.

.:foto materiały organizatorów:.

w następnych numerach Ślizgu...

MYSTIC CUP Praga OWAL
Polski Rap: Prawdziwa Historia - kolekcji ciąg dalszy
CNE rozmawia z Seanem Paulem i DJ'em MUGGSEM
TEKA PETE ROCK EVERLAST
niezwykłe kino JIMA JARMUSCHA ONAR
Wrześniowy numer Ślizgu już 20 sierpnia u Was!





7 SECONDS

MŁODZI AŻ DO ŚMIERCI

Na początek kilka zasad ogólnych. Można wygłaszać słowa mądrości pod postacią prostych i nieskomplikowanych komunikatów. Można grać muzykę melodyjną i przystępną, a zarazem ostrą i radykalną. I wreszcie można pozostać młodym, nawet gdy metryka czyni z ciebie podstarzałego tatuśka.

A jeżeli uważasz te zasady za nierealne, to pragnij nierealnego i bierz przykład z członków 7 Seconds.

HAŁAS Z PUSTYNI

Tak jak w rasowym westernie, ta historia zaczyna się na odległym Zachodzie, wśród piasków Nevady. No, prawie wśród piasków...

7 Seconds powstało w Reno, w pierwszych dniach 1980 roku. Sprawcą całego zamieszania był miejscowy chłopak, Kevin Marvelli, który nauczywszy się gry na gitarze odsłuchując pierwszą płytę Ramones, postanowił założyć własny zespół. W roli basisty obsadził swojego młodszego brata, Steve'a, a do składu zwerbował jeszcze jedną parę rodzeństwa: Toma i Dima Borginho. Wszyscy przyjęli odpowiednio brzmiące pseudonimy i od tej pory Kevin podpisywał się Kevin Seconds, Steve – Steve Youth, perkusista Tom – Tom Munist, a wokalista Dim – Dim Menace. Niedługo później obowiązki śpiewaka przejął Kevin. On też wymyślił nazwę dla zespołu, zapożyczając ją z powieści „Dzień szakala". Swój pierwszy koncert 7 Seconds zagrało w marcu 1980 roku w barze dla motocyklistów. Publika składała się z trzydziestu osób, z których – jeżeli wierzyć Kevinowi – co najmniej dwadzieścia było gotów obić twarze młodym muzykom.

Jeszcze w roku powstania, Sekundy popełniły pierwszą taśmę demo „Drastic Measures". Nagrana podczas próby na zwykły magnetofon, kaseta nadawała się do wszystkiego, tylko nie do słuchania. Z zarejestrowanej rok później demówki „Socially Fucked Up" dało się już wyłapać jakieś dźwięki. Trzeci nielegal, „Three Chord Politics", nagrywany był już na dwuścieżkowym magnetofonie, więc słuchanie taśmy nie groziło ogłuchnięciem.

EKIPA W WOJENNYCH BARWACH

7 Seconds w krótkim czasie stało się w rodzinnej Nevadzie tym, czym w Waszyngtonie było Minor Threat. Sekundy wcieliły się w roli akuszerów sceny hard core na Południowym Zachodzie USA. A ponieważ każde środowisko potrzebuje co najmniej jednej osobowości na tyle charyzmatycznej, by pociągnąć za sobą innych, scena w Nevadzie znalazła swojego animatora w osobie Kevina Seconds. Wokół Sekund skupiła się grupa wiernych fanów, którzy utworzyli hardcore'owe crew w Reno.

„W Reno cokolwiek skierowanego do młodzieży nie miało warunków rozwoju" – ubolewał Kevin – „Stan Nevada opiera się na hazardzie i zarabianiu pieniędzy, a wspieranie dzieciaków jest ostatnią rzeczą, jaką ktokolwiek ma na względzie. Wszyscy mieliśmy całkiem fajnych rodziców – nie buntowaliśmy się przeciwko rodzinie. Buntowaliśmy się przeciwko otoczeniu, które było bardzo zaściankowe. Idąc po ulicy często mogłeś zostać pobity za to, że masz krótkie włosy. I często tak się działo".

Fakt faktem, że w Reno, po koncertach hard core nie należało zapuszczać się w boczne uliczki, bo groziło to konfrontacją z uzbrojonymi w kije baseballowe osiłkami. Lokalna załoga mimo to rosła w siłę, a wszystkie ciężkie doświadczenia jedynie konsolidowały ekipę i przydawały jej waleczności. Z czasem znakiem rozpoznawczym crew z Reno stały się barwy wojenne malowane węglem drzewnym pod oczami, noszone także na scenie przez Sekundy.

Tak jak wiatr roznosił dookoła piasek z pustyni, tak i rozprzestrzeniał się hard core, którego głównym prorokiem w Nevadzie było 7 Seconds.

POZYTYWNA SIŁA

Przełomowym zdarzeniem w historii zespołu było pojawienie się jego utworu, „Fuck You America" na legendarnej dwupłytowej kompilacji „Not So Quiet On the Western Front". Dla wydawcy tegoż albumu, wytwórni Jello Biafry z Dead Kennedys, Alternative Tentacles, hardcore'owcy z Reno nagrali swoją debiutancką EP-kę „Skins, Brains & Guts", z okładki której wyzierała mało wyjściowa fizjonomia ex-wokalisty, Dima Menace.

Wkrótce potem Sekundy, podówczas grające jako trio: Kevin – Steve – Troy Mowatt zarejestrowały album „United We Stand" z siedemnastoma piosenkami zagranymi w ekspresowym tempie 24 minut. Płyta nie doczekała się premiery z powodu problemów wydawcy i na wiele lat powędrowała na półkę (ukazała się dopiero w 1991 roku jako „Old School").

Pierwszą prawdziwą demonstracją możliwości 7 Seconds okazał się więc LP „The Crew" (1984). W międzyczasie Sekundy przeprowadziły się z Reno do Sacramento, dokooptowały do składu gitarzystę Dana Pozniaka i związały się z wydawnictwem BYO Rec. prowadzonym przez muzyków Youth Brigade.

„The Crew" musiało wstrząsnąć hardcore'ową Ameryką. I wstrząsnęło. Na debiutanckiej płycie 7 Seconds umiejętnie połączyło szybkość, agresję i melodię. W prostych, nastawionych na konfrontację tekstach, Kevin propagował pozytywne idee Straight Edge, wnosząc do sceny rozsądek, wrażliwość, odpowiedzialność i kreatywność. Sekundy stały się też jednymi z najgorętszych protagonistów kultu młodości.

Album zasłużenie przeszedł do historii jako przebojowy zestaw młodzieńczych hymnów (18 utworów, niewiele ponad 20 minut), idealnie nadających się do wspólnego odśpiewywania z publiką (stary dowcip głosił, że fani 7 Seconds przychodzą na koncerty z namalowanym na dłoniach nie „X" – symbolem Straight Edge, lecz „0" – aby pamiętać refreny piosenek).

„The Crew" zapoczątkowało swoistą trylogię, uzupełnioną później przez: nagraną w 1985 roku pod okiem Iana MacKaye z Minor Threat płytę „Walk Together, Rock Together" (15 utworów, 29 minut) i o rok młodszy album „New Wind" (14 utworów, 39 minut).

Drugi wymieniony krążek sygnalizował pewne zmiany w brzmieniu Sekund, przynosząc piosenki o bardziej wygładzonym brzmieniu. Jak przyznaje Kevin: „Od czasu „New Wind" chcieliśmy usprawnić się muzycznie i pójść w inną stronę. Ja natomiast chciałem czegoś więcej niż prosty krzyk. Zawsze kochaliśmy stare nagrania, ale uważaliśmy, że pora spróbować czegoś nowego".

HARDCORE'OWE U2

Eksperymenty z „czymś nowym" zakończyły się połowicznym sukcesem. Wydany w 1988 roku album „Ourselves" okazał się rekonesansem w rejony alternatywnego rocka, gdzie wygładzone brzmienie i sprawny warsztat wyrugowały dawną werwę i młodzieńczy zapał. Nazywani do tej pory „hardcore'owym U2", 7 Seconds mogli mienić się już zaledwie klonem U2. O tyle sprawnym, co nie wybijającym się ponad przeciętność.

Kolejne płyty, „Soulforce Revolution" (1989) i „Out the Shizzy" (1993) to produkty niemal pop punkowe. Przyjemne w odbiorze, lecz bez znanego z wczesnych nagrań ładunku energii. Choć przyznać trzeba, że mimo całego ułagodzenia, Sekundy nie dały się upupić. Jak tłumaczył Kevin: „Moim zamiarem było granie melodyjnej mocnej muzyki, która miała coś do powiedzenia. Nie chciałem tego głupawego badziewia, które grała większość zespołów, zwłaszcza na Zachodnim Wybrzeżu. Zespoły „umuzykalniały" się, co samo w sobie było dobre, ale obierały kierunek zupełnie odległy od brzmienia hard core wczesnych lat 80.".

W 1995 roku Sekundy uraczyły wiernych fanów retrospekcją „alt. music. hardcore" zbierającą nagrania ze starych EP-ek. W tym samym czasie zespół przypomniał sobie o korzeniach i nagrał „The Music. The Message", na którym to krążku powrócił do grania ponaddźwiękowych piosenek – melodyjnych petard trwających po minucie z kawałkiem.

Alleluja! Oto 7 Seconds znów hałasowało aż miło!

GENERACJA „OLD SCHOOL"

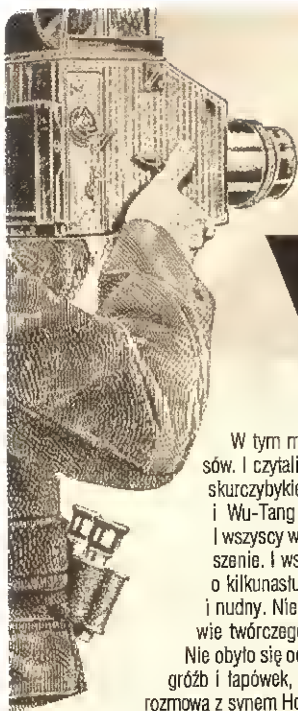
Kevin Seconds nie przypomina już aparycją chudego chłopca, jakim był w 1980 roku. Sylwetka już nie tak szczupła, twarz nieco naznaczona upływem czasu, wzrok wspomagają okulary. To, co najważniejsze pozostało jednak niezmienione – dusza pełna pasji, a serce wciąż po właściwej stronie. Kevin nie stracił też nic na kreatywności – oprócz śpiewania w 7 Seconds udziela się w różnych projektach ubocznych – ostatnio nagrał razem z Mattem Skibą z Alkaline Trio płytę z piosenkami akustycznymi, pojawia się też jako juror na skate'owych konkursach.

Tymczasem po wakacjach ma ukazać się nowa płyta 7 Seconds, grającego od dobrych paru lat w składzie: Kevin (wokal) – Steve (bas) – Troy (perkusja) – Bobby Adams (gitara). Pora najwyższa, bo ostatnia studyjna produkcja legendarnych hard core'owców, „Good To Go" miała premierę pięć lat temu. Potem zespół sprawił jeszcze fanom prezent w postaci koncertowego „Scream Real Loud" i jakby zapomniał o tym aspekcie muzycznej aktywności, jaką jest praca w studiu.

Nowy album jest już nagrany, ochrzczony „Take It Back, Take It On, Take It Over!", zawiera 17 piosenek i trwa 28 minut. Słowem – powrót do dawnych norm. Pewne jest też to, że w tę płytę wiecznie młode Sekundy włożyły wiele emocji. Tych im nie brakuje. Metryki może nie są dla nich łaskawe, ale ostatnią rzeczą o jakiej myślą weterani z Reno to narzekanie na łupanie w krzyżu. Etyka, jaką wyznawali ponad 20 lat temu, trzyma ich w dobrej formie i pozostaje nadal aktualna. „Wciąż mamy te same ideały. Wciąż wierzę w to, co zawsze mówiłem" – deklaruje z zapałem nastolatka Kevin. Na koncertach z kolei wciąż wykrzykuje z siebie słowa największego bodaj hymnu 7 Seconds, „Young 'Til I Die": Nie chcę dorastać / Nigdy się nie zestarzeję / Wolę pracować od dziewiątej do piątej niż pić, żeby przeżyć / Zamierzam pozostać młodym aż do śmierci!

Hard core najlepszym środkiem zaradczym na starzenie się?

.:Sebastian Rerak:.





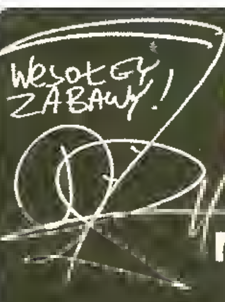
Marlon Wayans

Bóg nam to wybaczy

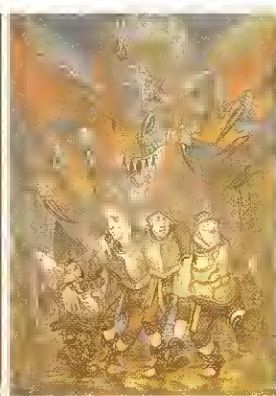
W tym miejscu mieliście teraz czytać artykuł o klanie Wayansów. I czytalibyście, gdyby tylko autor nie był najbardziej leniwym skurczybykiem pod słońcem. „To familia większa niż Zip Skład i Wu-Tang razem wzięci. I wszyscy pracują w showbiznesie. I wszyscy wyglądają podobnie. I wszyscy znają się jak własne kieszenie. I wszyscy mają te same geny i poczucie humoru. Artykuł o kilkunastu niemal identycznych postaciach musiałby być długi i nudny. Niech więc jeden przemówi za wszystkich!" – w przypływie twórczego geniuszu pomyślał autor. Jak pomyślał, tak zrobił. Nie obyło się oczywiście bez wykonania setek telefonów, maili, próśb, gróźb i łapówek, ale dopiął swego. I chyba lepiej trafić nie mógł. Oto rozmowa z synem Howella i Elviry, bratem Damona, Shawna, Keenena Ivory'ego, śp. Dwayne'a, Kim, Nadii, Elviry, Diedre i Vonnie, kuzynem Craiga, ojcem Shawna Howella i Arnai Zackary, wujkiem Damona Jr., Michaela, Cary Mii, Kylii, Jolie Ivory Imani, Keenena Ivory'ego Jr., Nalii, Belli i Damiena. Przed Wami Marlon Wayans!

Proszę pogratulować ojcu i jednocześnie złożyć wyrazy współczucia matce.
Za co?
Ojcu za niespożytą potencję, a matce, bo dawać światu nowego Wayansa co 10 minut, nie może być łatwo.
(śmiech) Niech cię szlag! To było dobre, naprawdę dobre! Ale zaraz, czekaj, mam rozumieć, że masz już dość Wayansów?!
Skądże. Zastanawiałem się tylko, jak to możliwe, żeby w jednej rodzinie ulęgło się tylu komików?
(z poważną miną) Chodzi o to, że podczas każdego jednego bzykania tata mówił mamie sprośne żarty.
(śmiech) Metoda, jak widać, skuteczna. Jednak z dziesięciorga rodzeństwa największą karierę zrobiła Wasza czwórka, z tym że Damon jakby samodzielnie, a ty wespół z Shawnem i Keenenem. Zgodzisz się?
Tak. Ale nie chodzi o to, że nie chcielibyśmy pracować z Damonem, a on z nami. Zrobiliśmy przecież wspólnie kilka filmów. Po prostu tak wyszło, że od jakiegoś czasu on pracuje nad swoimi projektami, my nad swoimi. I jest ok, wspieramy się nawzajem. Może to kwestia tego, że Damon jest spośród nas największym indywidualistą, nie wiem. Kocham tego czarnucha, ale odkąd pamiętam, najbliżej trzymałem się z Shawnem i obaj ponad wszystko wielbiliśmy Keenena. Dla mnie i Shawna od zawsze był wzorem, wielkim bratem przed którym czujemy respekt do dziś. Byliśmy jedynymi świadkami, gdy tracił dziewictwo (śmiech).
Słucham?
Keenen ciągle nam to wypomina. Pewnego wieczoru siedział z nami jak zwykle w charakterze niańki. Shawn miał wtedy 3 lata, ja byłem jeszcze w pieluchach. Położył nas spać i poszedł do innego pokoju z dziewczyną. Rozebrali się, położył się na niej i już zaczyna przystępować do akcji, gdy nagle słyszy za plecami jakiś szelest. Odwraca się, a tu w drzwiach stoją mali braciszkowie i z otwartymi ustami obserwują przebieg akcji (śmiech).
Na planie filmowym też was teraz niańczy?
Na pewno nie traktujemy go jako „normalnego" reżysera, ciągle jest dla nas wielkim bratem. Z tym, że teraz pozwala sobie na dużo więcej. Zapomnisz linijki – dostajesz cios na klatę. Ale zawsze go słuchamy. Zawsze.
Jak dzielicie się pracą przy wspólnym pisaniu scenariuszy?
Zazwyczaj to Shawn wymyśla całą ideę filmu. Jest w tym geniuszem, większość filmów, jakie zrobiliśmy, powstało według jego pomysłów. Ja jestem najlepszy w wymyślaniu zabawnych dialogów i popieprzonych postaci. A Keenen nie ma sobie równych w zebraniu tego wszystkiego do kupy, skleceniu w jednolitą całość.
Ostatnio zagrałeś w „Ladykillers", który właśnie wszedł na ekrany polskich kin. Jaka jest różnica między graniem u własnego brata a u Coenów?
Keenen jest czarny a Coenowie biali. A poważnie – Coenowie wiedzą wszystko już zanim zaczną kręcić, mają dokładnie rozplanowaną każdą scenę i ściśle się tego trzymają. Keenen też wie, czego chce, ale pozwala na większą improwizację. U nas na planie bawimy się do tego stopnia dobrze, że czasem specjalnie zwlekamy, obijamy się, wygłupiamy, byle tylko dłużej kręcić.
Bracia nie są zazdrośni, że coraz częściej wyłamujesz się ze spółki na rzecz współpracy z innymi twórcami? Najpierw Aronofsky, teraz Coenowie...
Są zazdrośni jak jasna cholera. Shawn i Keenen niespecjalnie lubią robić coś, czego nie da się podczepić pod markę „Wayansowie". Powiedziałem więc tym głąbom tak: są dwa wyjścia. Praca „na zewnątrz" naszej spółki może naszej marce pomóc albo zaszkodzić. Coenowie są świetnymi reżyserami, więc to akurat może nam tylko pomóc. I dopiero wtedy braciszkowie mi przyklasnęli. Rozumiesz – bycie częścią czegoś większego zobowiązuje. Czy popełnię błąd ja czy ktoś inny z nas – nieistotne – zapisuje się on na konto Wayansów. To trochę stresujące, kiedy wiesz, że nie możesz niczego spieprzyć. Ale i w pewnym sensie nobilitujące.
Więc nie możesz niczego spieprzyć?
Dokładnie. Chociażby dlatego, że bracia nieźle skopaliby mi wtedy dupę...
A „Dungeons & Dragons"?
Nie, przesłań, to był cios poniżej pasa! „Dungeons & Dragons" to był wypadek, przysięgam. To znaczy myślę, że Courtney Solomon poradził sobie jak na reżyserski debiut całkiem dobrze. Problem w tym, że nie dano mu budżetu „Władcy pierścieni" i smoki działały tu tylko wtedy, gdy ciągnęło się za sznurki (śmiech). Ale to była fajna zabawa i nie jestem wściekły, że w tym uczestniczyłem. Przyjaźnię się z Courtneyem do dziś. Tak naprawdę nigdy nie możesz przewidzieć efektu końcowego. Nigdy. I doświadczenie reżysera niekoniecznie musi mieć z tym coś wspólnego. Zrobiłem dobry film z Coenami, którzy działają w branży z powodzeniem od kilkunastu lat i zrobiłem równie dobry „Requiem dla snu" z Darrenem, dla którego był to dopiero drugi film.
Wielu krytyków twierdzi, że „Requiem..." jest twoim najlepszym filmem. Planujesz jeszcze w najbliższej przyszłości występować w dramatach?
Konkretnych propozycji na dziś nie mam, ale jak najbardziej planuję. Wiesz co jest zabawne? Role dramatyczne są dla mnie o wiele łatwiejsze od komediowych. Wszyscy mamy w sobie ból. Płakać, a co za tym idzie, wzruszać, jest łatwo. Rozśmieszać to jest – to jest dopiero sztuka! Paradoksalnie, komedia jest najbardziej niedocenianym gatunkiem. Myślę, że ci od Oskarów nigdy tego nie pojmą, ale tak naprawdę jest. Spójrz – wielu wspaniałych komików zostało z czasem wspaniałymi aktorami. A czy kiedykolwiek jakiś wspaniały aktor został wspaniałym komikiem? Nie przypominam sobie.
Wracając do „Ladykillers" – byłeś jedynym kandydatem Coenów do roli Gawaina?
Nie. Scenariusz trafił do mnie poprzez mojego agenta. Spodobał mi się, więc pobiegłem na casting, gdzie usłyszałem od sekretarki: „Jesteś czarny? To podaj nazwisko i wchodź". Wszedłem, przedstawiłem swoją wizję postaci, Coenom się spodobało i dostałem rolę. Setki zgromadzonych tam osób, w tym np. Ludacris, nie miały tyle szczęścia. Przykro mi (śmiech).
Sądziłem, że z takim dorobkiem nie musisz już chodzić po castingach.
W tym biznesie jest tak, że jeśli naprawdę zależy ci na roli, musisz odłożyć ego na bok i wziąć się do roboty. Kimkolwiek byś nie był, a... (zawiesza głos na dłuższą chwilę i kontynuuje z komicznie brytyjskim akcentem) pragnę przypomnieć, sir, że mimo uderzającego podobieństwa, nie jestem Seanem Connerym. Zły adres (po tych słowach pada jakiś zupełnie nieprzetłumaczalny żart o małpie w domu (!?), choć uśmiałem się z samej mimiki Marlona). A poważnie – nie przejmuję się tym, że czasem trzeba ruszyć dupę i pokazać, ile jesteś wart. Nie każdy musi znać i lubić moje filmy. Wysiadywanie na castingach uczy pokory, skromności. I świetnie, bo wszyscy naprawdę wielcy ludzie byli skromni. Jezus, Ghandi, Martin Luther King...
(śmiech) To ci dopiero skromność, przyrównywanie się do nich!
A czy powiedziałem, że już jestem na tej liście? Poczekajmy jeszcze parę lat...
Masz jakieś szczególne, wymarzone role, które chciałbyś zagrać?
Od dawna marzę o zagraniu Boba Marleya. Albo Jimmy'ego Hendriksa. A najlepiej obydwu.
Podobno miałeś grać Robina w „Powrocie Batmana", to prawda?
Tak, ale ostatecznie Tim Burton zadecydował, że w filmie jest już za dużo postaci. Obiecał mi jednak, że zagram w kolejnej części, ale wiesz jak to się potem potoczyło. Tim zrezygnował, a Schumacher upatrzył sobie do tej roli Chrisa O'Donnella. Nie żałuję. Powiem tylko tyle, że dwa pierwsze „Batmany" bardzo mi się podobały (śmiech).
W swoim najnowszym filmie, który zrobiłeś z braćmi, grasz... białą laskę.
„White Chicks" to szalenie zabawny film, praca przy nim była czymś niesamowitym. Gramy z Shawnem dwóch detektywów prowadzących śledztwo w sprawie porwań bogatych, snobistycznych dziewczyn z Hampton. Dla dobra śledztwa musimy się przebierać za takie białe laski. To naprawdę świetne kino wakacyjne. Widziałeś trailer? Mów co chcesz, ale charakteryzacja mnie powaliła. Jest lepsza niż w „Agencie XXL", przeszła nasze najśmielsze oczekiwania.
Jak przygotowywaliście się do ról?
Wzorowaliśmy się siostrach Hilton. Poważnie. Poza tym oglądaliśmy „Seks w wielkim mieście". No i kilka razy umawialiśmy się z białymi dziewczynami. I wtedy wszystkie siostry w L. A. patrzyły na nas jakby chciały powiedzieć: „Oni też się sprzedali? Najpierw Sidney Poitier, potem O.J. Simpson, teraz Wayansowie?" (śmiech). Myślę jednak, że Bóg nam to wybaczy.
Ma poczucie humoru?
Pewnie. Najlepsze.
A jak myślisz, co Ci powie, gdy pewnego dnia staniesz u bram niebios?
Wiem, że dużo nagrzeszyłeś synu, ale pakuj dupsko do środka, bo trzeba rozkręcić tę imprezę!

.:rozmawiał Dobry Piotrek:.






Terry Pratchett

Przez kosmiczną pustkę sunie dostojnie olbrzymi żółw A'Tuin. Na jego skorupie stoją cztery potężne słonie, na grzbietach dźwigając płaską planetę... Oto Świat Dysku, jedyny w swoim rodzaju. Świat magii, niezwykłych wydarzeń i jeszcze bardziej niezwykłych bohaterów.

Ziemia jest okrągła i płaska jak placek – myśleli w zamierzchłych czasach ludzie, dopóki mózgowcy w rodzaju Ptolemeusza nie obalili ich poglądów, dowodząc, iż nasza rodzima planeta jest kulista. Ponad 1800 lat po Ptolemeuszu angielski pisarz i humorysta Terry Pratchett napisał książkę „Warstwy wszechświata", w której kosmiczna wyprawa badawcza odkrywa płaską planetę. Ta powieść nie jest jeszcze częścią „Świata Dysku", jednak dała autorowi do myślenia i wkrótce powstał „Kolor Magii", który dał początek jednej z najciekawszych i najpopularniejszych serii fantasy na świecie.

Swoją drogą określenie „Świata Dysku" jako fantasy jest niedopowiedzeniem. Pratchett potraktował wykreowany przez siebie świat jako pole do parodii nie tylko seryjnie tłuczonych książek o barbarzyńcach, smokach i magach. W swoich powieściach zawiera tyle elementów składowych, że po przeczytaniu kilku odcinków cyklu można zacząć się zastanawiać, jak on to wszystko pomieścił w głowie. Co więcej, sporą część wydarzeń mających miejsce na Dysku, stara się w naukowy sposób objaśnić. Powstały nawet dwa tomy „Nauki Świata Dysku" (jeden ukazał się także w Polsce), napisane przy współpracy wykładowców akademickich.

Świat wykreowany przez Pratchetta jest niemal kompletny, odkrywamy go jednak po kawałku. Autor nie popełnił grzechu wielu współczesnych pisarzy fantasy, którzy połowę pierwszego tomu kolejnej magicznej sagi poświęcają na historię, genealogię, geografię i inne fakty dotyczące tworzonych przez siebie krain. Nie przegina z ilością bohaterów i lokacji, więc czytelnik nie potrzebuje słowniczka imion i nazw. A jednak z kolejnych tomów wyrasta świat bogaty, przemyślany, zaludniony arcyciekawymi postaciami. Różnorodność miejsc, w jakich toczy się akcja książek, od największego miasta Dysku Ankh-Morpork, poprzez równiny Quirmu, aż po tajemniczy Kontynent Przeciwwagi, mogłaby wywołać zazdrość u większości współczesnych pisarzy fantasy. Również pratchettowscy bohaterowie to galeria równie bogata, co barwna. Większość z nich przewija się zresztą w kolejnych tomach cyklu: tchórzliwy i nieudany mag Rincewind, podstarzały Cohen Barbarzyńca, czarownice z Babcią Weatherwax na czele, ekipa straży miejskiej Ankh-Morpork (ludzie, krasnoludy, wilkołak, troll, golem oraz kapral Nobbs, który jest człowiekiem i ma na to dowód na piśmie). Trudno sobie wyobrazić kolejne tomy Świata Dysku bez takich postaci jak Śmierć (i jego nieodłączny pomocnik, Śmierć Szczurów, czyli Ponury Piskacz), orangutan Bibliotekarz czy Gardło Sobie Podrzynam Dibbler (sprzedawca niejadalnych kiełbasek i pasztecików z Ankh-Morpork). Kilka z tych postaci zapewne na stałe wejdzie do panteonu najciekawszych bohaterów fantasy.

Nieprzeciętne poczucie humoru Pratchetta pozwala mu na bardzo swobodne żonglowanie rozmaitymi schematami literackimi i popkulturowymi. Do pełnego odczytania jego książek przydaje się znajomość nie tylko kanonu fantasy, ale także Szekspira, rozmaitych mitologii, wszelkiego rodzaju klasyków (od „Iliady" po „Upiora w operze") i ogólne obycie w świecie ikon kulturowych. Odwołań tego typu w książkach o Dysku jest całe mnóstwo i są one, nie ukrywajmy, jedną z najprzyjemniejszych rzeczy w lekturze.

Choć nasz artykuł jest poświęcony Dyskowi, warto też wspomnieć, że Pratchett jest autorem licznych innych powieści, jednak najciekawszą pozadyskową propozycją z dorobku Pratchetta jest napisany do spółki z Neilem Gaimanem „Dobry omen". Niedawno Terry Pratchett po raz drugi gościł w Polsce. Sądząc po tłumach, jakie zgromadziły się na spotkaniach autorskich, jego twórczość cieszy się zasłużoną popularnością. Znalazł też kilka (zbyt krótkich, niestety) chwil, żeby udzielić małego wywiadu do Ślizgu.

Gdy czytałem „Zadziwiającego Maurycego i jego uczone szczury" miałem wrażenie, że jedynym powodem, dla którego ta książka osadzona jest w realiach Świata Dysku, są względy marketingowe. Ale potem pojawia się cudowna scena z Maurycym i Śmiercią... I w końcu nie wiem, co sprawiło, że zaczął Pan pisać książki o Dysku, ale przeznaczone dla nieco młodszych czytelników.

Nie jestem do końca przekonany, czy osadzenie akcji powieści na Świecie Dysku wpływa w jakiś wyraźny sposób na sprzedaż. Napisałem przecież wcześniej kilka innych „dziecięcych" książek, które odniosły sukces. Wydaje mi się, że marką jest nazwisko Pratchett, w takim samym stopniu jak Świat Dysku. Natomiast „Maurycy" dzieje się na Dysku z dwóch powodów. Po pierwsze ten świat daje mi pewną wolność i pewne rzeczy będące częścią scenerii Świata Dysku, bardzo przydatne i pozwalające mi wprowadzić niektóre wydarzenia. Na przykład właśnie ta duża scena ze Śmiercią – wprowadzenie go w Świecie Dysku jest o wiele łatwiejsze i bardziej naturalne. „Maurycy" jest zresztą pierwszą z trzech jak dotąd książek ze Świata Dysku, przeznaczonych dla młodszych czytelników. Bohaterką następnych – „The Wee Free Men" i „A Hat Full of Sky" – jest młoda dziewczyna, ale pojawia się też znana z „dorosłej" serii Babcia Weatherwax i jest tam naprawdę ważną postacią. Drugim powodem, może nie tak ważnym, jest to, że dzieci i tak czytają „Świat Dysku", a nowe książki dadzą im łagodniejsze wprowadzenie do jego świata. W Wielkiej Brytanii w latach 50. i 60. tworzyła Enid Blyton (w rzeczywistości pierwsze powieści napisała już w latach 30. – przyp. jd). Pisała dla dzieciaków w różnym wieku: od ilustrowanych książeczek dla dwulatków, po książki dla młodzieży czternasto-, piętnastoletniej. I spodobał mi się pomysł serii, która wprowadzi młodych czytelników do cyklu dla dorosłych. Na razie, jak wspomniałem, napisałem trzy książki, ale mam nadzieję, że kolejne będą powstawały cyklicznie. Mam ochotę poruszyć w nich kilka poważnych problemów, ale takich, które łatwiej „przejdą" w książkach dla dzieci niż dla dorosłych.

Czy chce Pan czegoś nauczyć swoich czytelników? Często porusza Pan problemy związane ze współczesnym światem, jak choćby tolerancja...

No, parę takich lekcji się już chyba w moich książkach znalazło, te dotyczące tolerancji, czy bardziej oczywiste, np. że lepiej być mądrym niż głupim (śmiech). Ale nic nowego tu nie powiedziałem. W Polsce nie ukazała się jeszcze powieść „The Wee Free Men". Na pierwszej stronie tej książki użyłem wyrażenia „susurrus" – to słowo, które sprawia problemy nawet Anglikom. To prawdziwy wyraz, oznaczający rodzaj niskiego szepczącego dźwięku. Jakby to wytłumaczyć... Pomyśl o Królu Arturze i o mieczu w kamieniu. Gdy Artur wyciągnął miecz, otaczający go ludzie zaczęli szeptać i ten wspólny szept to właśnie „susurrus". Spodobało mi się to słowo i postanowiłem je umieścić w książce dla dzieci. Uważam bowiem, że najlepszą rzeczą, jaką można zrobić dla dzieci, to poszerzanie ich słownictwa. Kiedyś pisało się książki dla ściśle określonej grupy wiekowej, a to najgłupsza rzecz, jaką może zrobić pisarz. Cała istota bycia dzieckiem polega na tym, że się dojrzewa i staje dorosłym. Trzeba więc poszerzać ich wiedzę, a nie przekażesz ludziom nowych idei, dopóki nie nauczysz ich nowych słów. Poszerzanie zakresu pojęć jest niezwykle ważne, także w przypadku dorosłych czytelników, bo to pozwala na rozwijanie nowych myśli. Dzieci rozwijają się – w różnych dziedzinach – z prędkością światła, a jeśli możesz im w tym pomóc, to robisz naprawdę dużo.

Świat Dysku jest krainą magiczną, a jednak wielu zjawiskom stara się Pan dać naukowe wytłumaczenie, jak np. w „Piramidach", nie wspominając już o cyklu „Nauka Świata Dysku". Lubi Pan naukę?

Owszem, książki o Świecie Dysku oparte są o magię, ale magia ma w sobie coś naukowego. Lubić naukę, to tak jak lubić tlen. Ona jest czymś, bez czego nie sposób się obejść. Owszem, można powiedzieć, że jest sporo pytań, na które nauka nie potrafi odpowiedzieć. Ale to nie jest wina nauki, ona jest tylko narzędziem do rozwiązywania pewnych problemów. Lepiej powiedzieć, że jest wiele pytań, na które nauka odpowiada i dzięki temu samoloty latają, samochody jeżdżą...

No tak, a jednak mógłby Pan w swoich książkach napisać, że pewne rzeczy się dzieją, bo tak po prostu jest, bo tak działa magia. A jednak daje im Pan często, choćby teoretyczne, ale zawsze, naukowe podłoże.

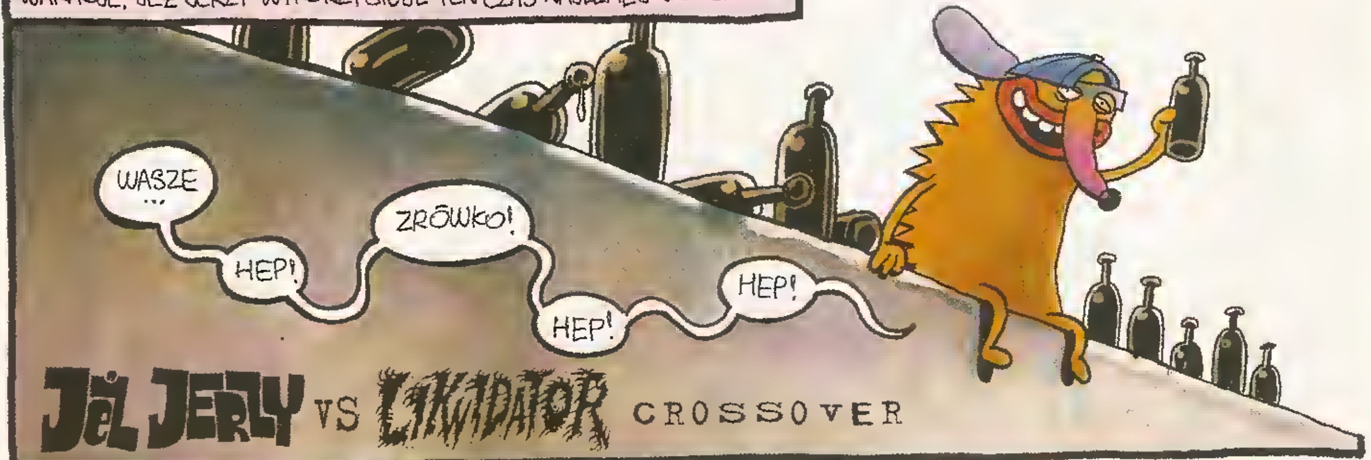
Wydaje mi się, że niektóre dziedziny nauki doszły do tego stopnia, że dla laika mogą się wydawać nieodróżnialne od magii. Jeśli się jeszcze weźmie pod uwagę takie rzeczy jak teorię chaosu, teorię światów równoległych i inne, to w efekcie okazuje się, że nauka porusza takie sfery, o których niegdyś pisarze nawet nie śnili. Świat Dysku po prostu znajduje się w tym punkcie, w którym nauka robi się całkiem dziwaczna.

Którego ze stworzonych przez siebie bohaterów lubi Pan najbardziej?

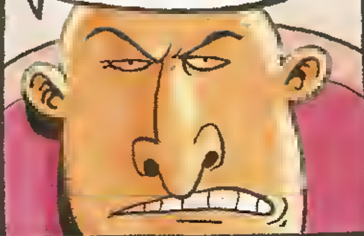
Żadna ze stworzonych przeze mnie postaci, z jednym wyjątkiem, tak naprawdę nie jest bohaterem. I za to właśnie lubię wszystkich. Straż Miejska robi to, za co jej płacą. Wiedźmy robią to, co robią, bo nie wyobrażają sobie innego życia. Jedynie Cohen Barbarzyńca jest bohaterem i traktuje to jak zawód. Najbardziej jednak lubię takie postaci jak Babcia Weatherwax czy komandor Vimes, bo to są postaci kompletne, najbardziej ludzkie. Ale najfajniejsze w ich tworzeniu jest zabawa słowem, zabawa konwencjami. Piszę przecież po to, żeby się dobrze bawić.

.:tekst Kuba Demiańczuk:.
.:foto Robbin Matthews:.
.:ilustracje (c) Paul Kidby:.

TXT: RAFAŁ SKARŻYCKI
GFX: TOMASZ LEŚNIAK

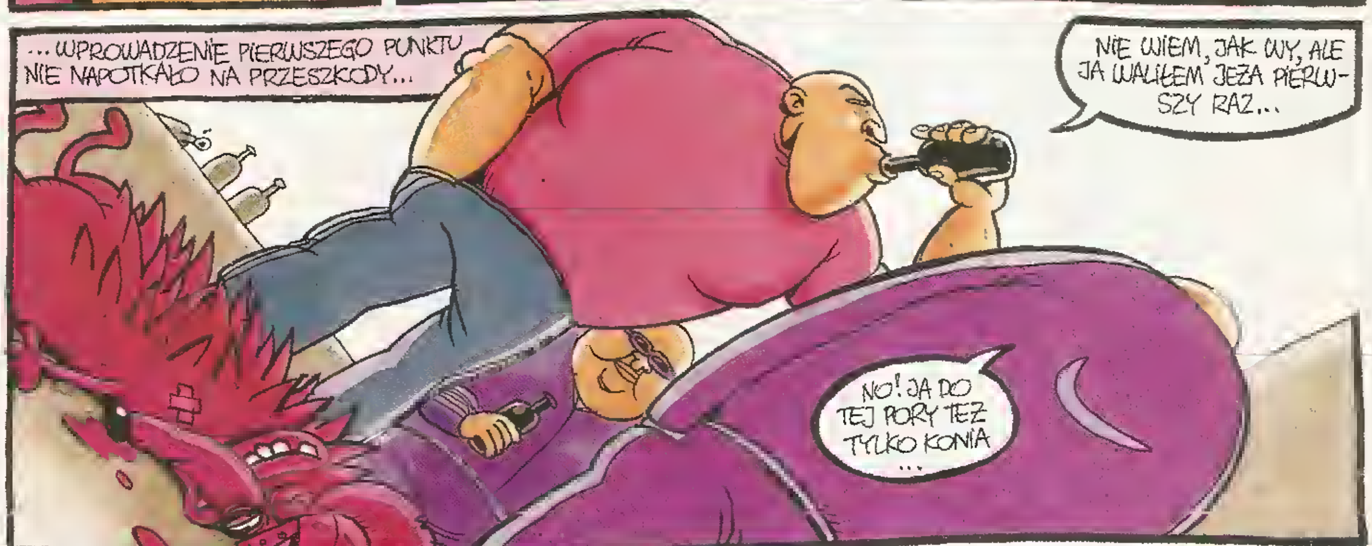




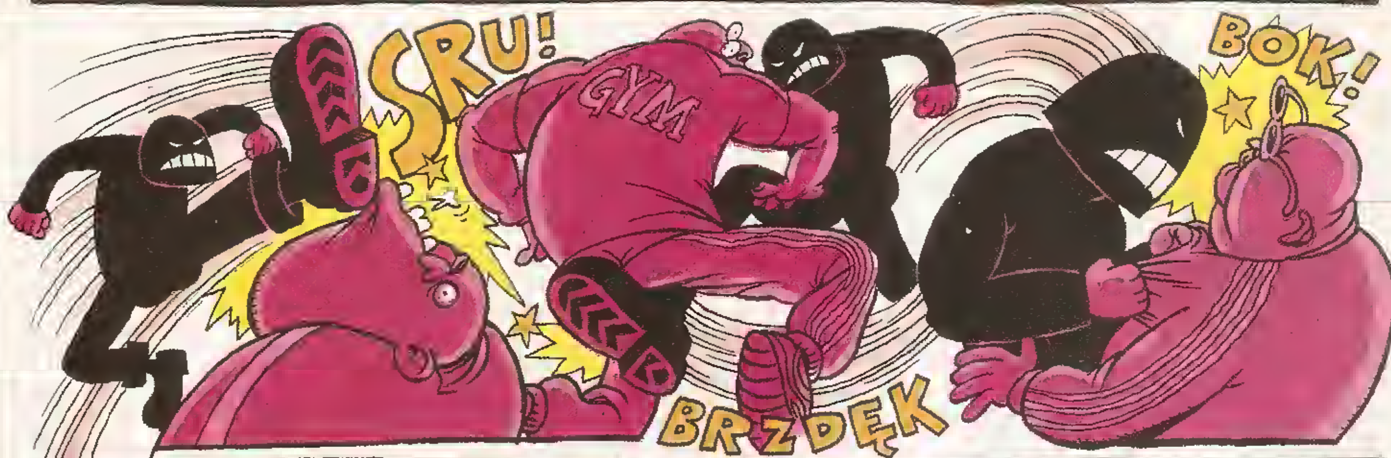


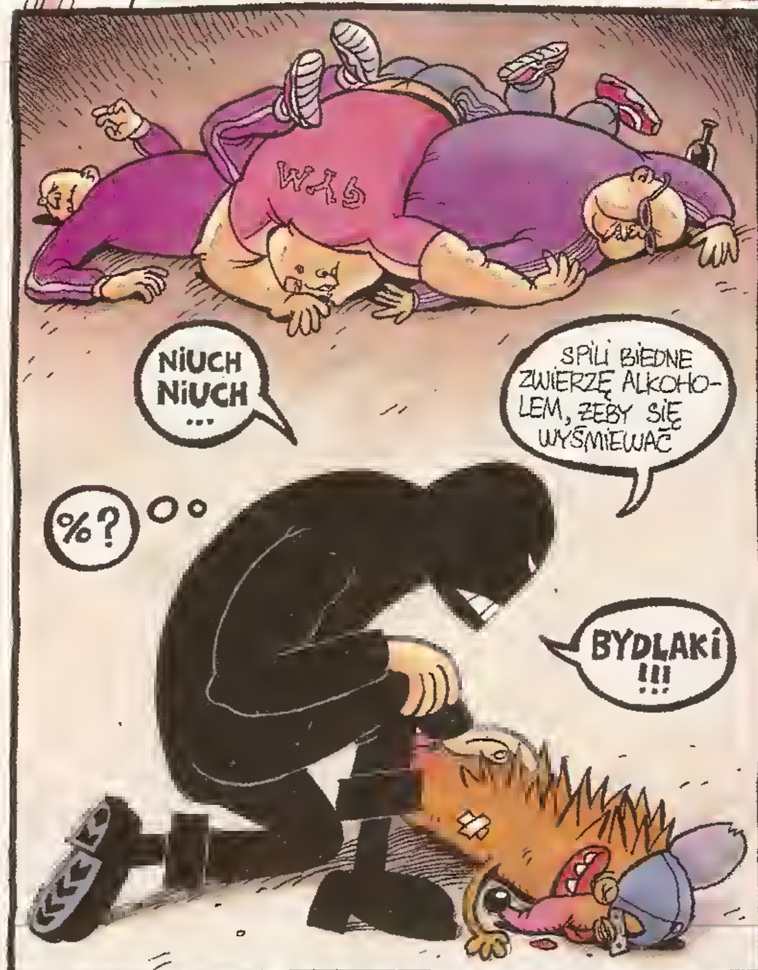














*(DLA NIEWTAJEMNICZONYCH) LIKWIDATOR = EKOTERRORYSTA (POSTAĆ STWORZONA PRZEZ RYSZARDA DĄBROWSKIEGO)













POWRÓT ZAJĄŁ JERZEMU TROCHĘ WIĘCEJ CZASU, NIŻ PRZEWIDYWAŁ, W ZWIĄZKU Z CZYM DO BÓLU ZŁAMANEGO NOSA DOŁĄCZYŁ POTWORNY BÓL GŁOWY, UPIORNY DŹWIĘK SZKLANYCH DZWONECZKÓW ORAZ DZIWNY FLASHBACK ZAMASKOWANEJ NA CZARNO TWARZY (WG JERZEGO MÓGŁ TO BYĆ ALBO LUCYFER, ALBO ŚW. PIOTR), CO ZAOWOCOWAŁO POSTANOWIENIEM O POWAŻNYM OGRANICZENIU SPOŻYWANIA NAPOJÓW WYSKOKOWYCH, CZEGO I WAM ŻYCZYMY...


CBS
CBS

Crazy BerlinerS in effect!

Jeśli w drugiej połowie lat dziewięćdziesiątych byliście już na scenie, być może pamiętacie berlińską ekipę RCB – Religion Called Bombing, która wjechała wtedy do Poznania i Warszawy z soczystymi, srebrnymi literami na linii i na blachach. Pod koniec XX wieku mówiło się, że jest to pierwsza grupa widoczna w całym Berlinie, tzw. „allcity crew", co w tym mieście jest bardzo trudne do osiągnięcia. Lata lecą i oto dla RCB wyrósł następca. Na pozycję „everywhere crew" ostrzy sobie zęby młoda (jak na berlińskie warunki – co oznacza przynajmniej 4-5 lat stażu writerskiego) grupa CBS. Can`t Be Stopped nie przebierają w środkach. W imię misji szerzenia swojego imienia i propagowania stylu – oprócz tradycyjnych writerskich metod, używają wszystkiego czym można zostawić po sobie ślad – plakatów, vlepek, flamastrów, klasycznej farby i wałka, szablonów i innych narzędzi. Miejscówki, w których możecie zobaczyć ich litery CBS czy słynne (żółte przeważnie) rączki, często zadziwiają umiejscowieniem i odwagą potrzebną do ich wykonania. Czasami wydaje się, że goście z CBS, po prostu umieją latać. Sprawdźcie foty.

















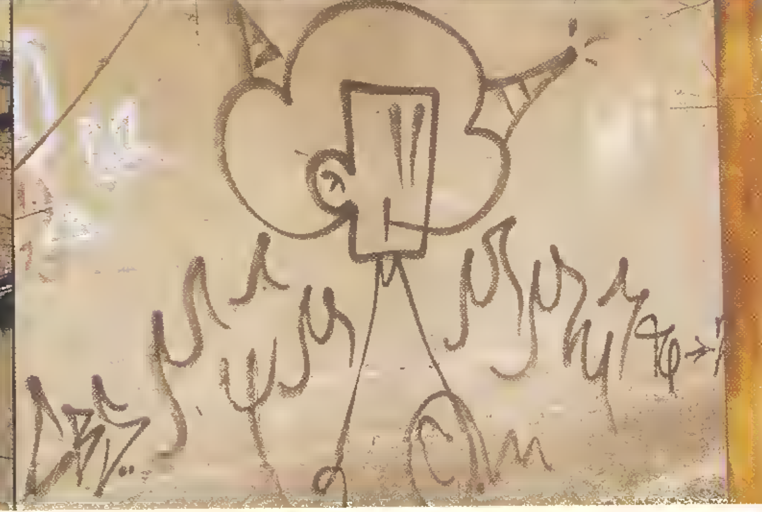

PLATOON
CBS
SUCKURITY




CBS!











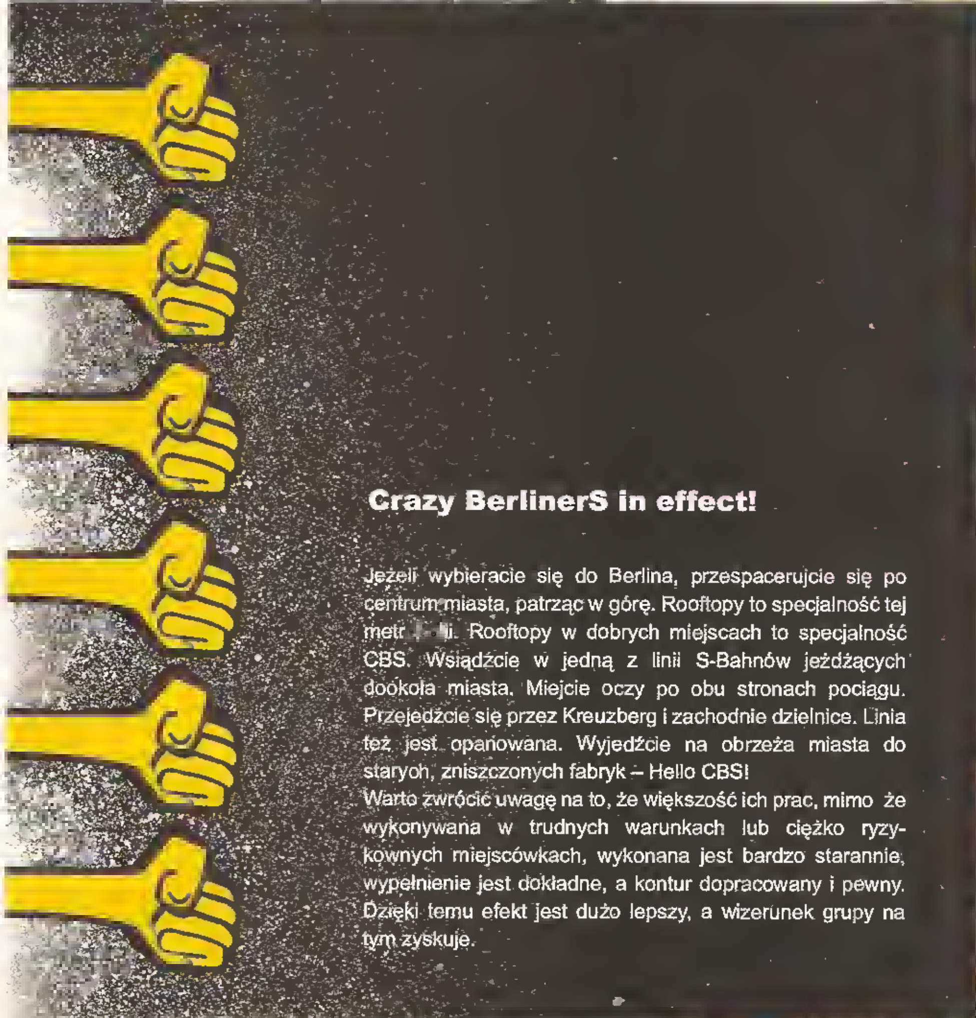






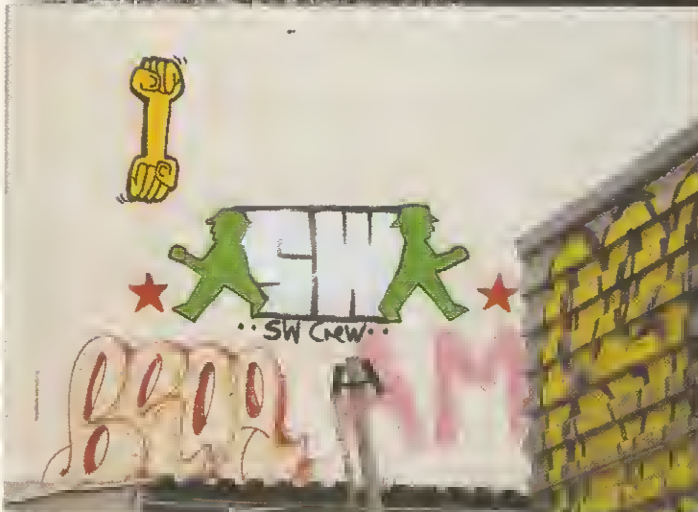


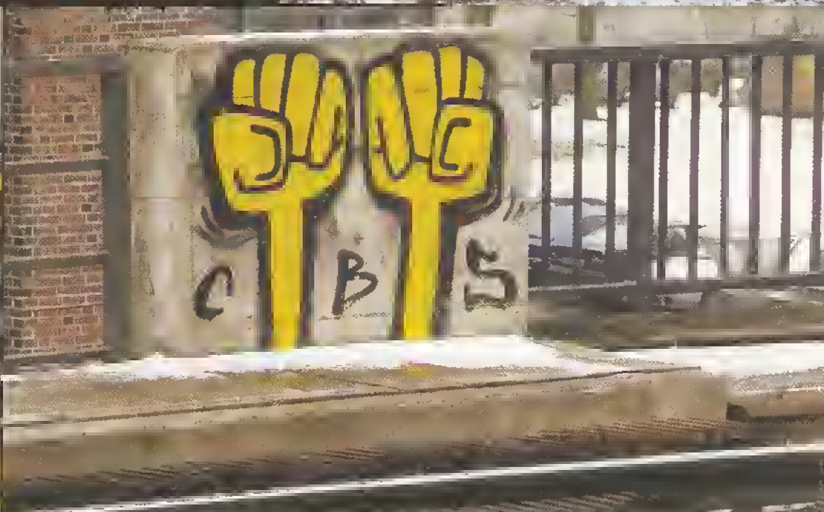




Crazy BerlinerS in effect!

Jeżeli wybieracie się do Berlina, przespacerujcie się po centrum miasta, patrząc w górę. Rooftopy to specjalność tej metr[illegible]li. Rooftopy w dobrych miejscach to specjalność CBS. Wsiądźcie w jedną z linii S-Bahnów jeżdżących dookoła miasta. Miejcie oczy po obu stronach pociągu. Przejedźcie się przez Kreuzberg i zachodnie dzielnice. Linia też jest opanowana. Wyjedźcie na obrzeża miasta do staryoh, zniszczonych fabryk – Hello CBS!
Warto zwrócić uwagę na to, że większość ich prac, mimo że wykonywana w trudnych warunkach lub ciężko ryzykownych miejscówkach, wykonana jest bardzo starannie, wypełnienie jest dokładne, a kontur dopracowany i pewny. Dzięki temu efekt jest dużo lepszy, a wizerunek grupy na tym zyskuje.






Sparkasse




CBS!
RIP


BRITNEY SPEARS
SUGABABES
SCHILLER
SEX AND THE CITY
Unbere
Fahr


CBS




DEN RAHMEN SPRENGEN
CBS

Crazy BerlinerS in effect! Czy napisałem już, że CowBoyS w Berlinie chcą być wszędzie? Pomyłka. Oni już tam są.



Dont try this at home, kids.











boty
eastern europe 2004

Battle of the year East Europe 2004, czyli gimnastyka super sportowa.

W jury zasiedli: Pat, Sancho, Ribo (cała trójka z Niemiec), Floor Killah (Chorwacja) oraz Slogo (Polska). Koncerty zagrali: Projektanci, Grammatik, Tede, Młody beat box oraz Afroob (Wielka Brytania).

Za nami kolejna edycja jakże fejmowej i rozsławionej na cały świat imprezy Bboyowej Battle of the year w wersji wschodnio-europejskiej.

Właśnie, imprezy Bboyowej, ale czy aby na pewno? W tym roku, jak i w poprzednim do Polski przyjechały same słabostki, jeśli chodzi o zachodni Bboying. Ktoś powie, ale przecież Fresh'n Attack to zajebista ekipa, która ma wiele sukcesów. Może i ma osiągnięcia i jest znana z bardzo dobrej choreografii i często udaje jej się wygrywać lokalne, niemieckie eliminacje Battle of the Year, a tak poza tym to niejedna polska ekipa pokonałby ich bez najmniejszego problemu...

Za to co roku do Polski przyjeżdżają same gwiazdy rapowe i pojawia się czołówka polskiego rapu: dwa lata temu mieliśmy Looptroop, rok temu Soundkail, a teraz do Polski przyjechał Afroob. Mieliśmy też znakomitych polskich reprezentantów hip-hopu, jak co roku zresztą, a w tym byli to: Grammatik, Tede oraz znakomity bitboxer, który poruszył całą halę sds-u, trzynastoletni „młody" z Gdańska. Na dekach zagrali „gwiazdorzy" polskiego hip-hopu: Twister i Kostek, którzy i w tym roku mnie rozczarowali, grając w przerwach słabą muzykę – zresztą tak samo grają na zawodach, jest wielu lepszych dj's w naszym kraju, którzy zdecydowanie lepiej zagrali na tej imprezie.

Prowadzącym zawody został jak co roku O. S. T. R, który jest jedynym trafnym wyborem organizatora w dobrze muzyków na tę imprezę. Ostry jest świetnym indywidualistą, potrafi dobrze improwizować, wypełnia przerwy swoim konkretnym freestyle'em, chociaż czasem gubi się w drobnych kwestiach lecz jest naprawdę spoko.

Do udziału w zawodach przystąpiło siedemnaście grup z Czech, Słowacji, Węgier i Polski, które oceniała piątka wyżej przedstawionych sędziów. Każda ekipa miała 6 minut na przedstawienie własnego show. Ekipy zostały podzielone na tzw. „bloki" w każdym bloku znajdowały się cztery ekipy, lecz że było siedemnaście grup i w jednym bloku było o jedną ekipę więcej.

Pierwszy blok i od razu pierwsi reprezentanci naszego kraju, czyli białostocka grupa WHSB. WHSB dostali się na Boty EE, dzięki rezygnacji Stylowej Spółki Społem, która gładko mówiąc, osrała tę imprezę. Ich pokaz to bardzo spokojne show, bez jakichś oszałamiających numerów, które na pewno przydałby się w tym występie. Muzyka, którą wybrali do show była dobra, lekki funk połączony z wstawkami żywszego klimatu, lecz nie zdała egzaminu z tego względu, iż jej częsta zmiana sprawiała, że pokaz zrobił się niespójny. Mimo wszystko, jeśli WHSB chodziło o pokazanie się na tej imprezie z dobrej strony, to w moich oczach osiągnęli to czego chcieli...

Kolejne dwie ekipy to kolejno Czesi ze Stylige Infection oraz Słowacy ze Stylique, nazwy podobne tak samo jak umiejętności. Oba pokazy na bardzo słabym poziomie, bez jasnego pomysłu i oryginalności. Ci drudzy na dodatek padli ofiarą wady organizacyjnej i mieli kłopoty z muzyką (co roku mówi się, że to płyty są złe, a na BOTY International jest cały świat i tam nie mają takich problemów), co na pewno nie pomogło im w pokazie...

Ostatnią ekipą w tym bloku była Spasiba Breakers, która na Boty EE dostała się dzięki rezygnacji z udziału w zawodach ekipy Casel Sałop. Chłopaków z Siedlec jeszcze przed przyjazdem typowałem na faworyta imprezy ale powiem szczerze, spodziewałem się czegoś więcej po ich występie. Mimo wszystko ich show podobał mi się, pokazali wszystkie elementy tańca, było trochę electro boogie, był wykończony power moves oraz, co najważniejsze, dobry styl. Do tego doszła bardzo dobra muzyka oraz solowe umiejętności „młodego", który wyrasta na prze-gracza. Po tym pokazie nie miałem pytań, ich awans do „czwórki" był pewny.

Przerwę między pokazami wypełnił Ostry ze swoim niezawodnym freestyle'em oraz szczecińscy Projektanci, którzy niczym nie zaskoczyli, po prostu polski rap.

Drugi blok otworzył show kolejnych Polaków, czyli Nasa z Koszalina. Pomalowane na czarno-biało twarze i mroczny początek pokazu nie zrobił na mnie wrażenia. Im dłuższy był pokaz, tym Nasa coraz bardziej oddalała się od finałów. Wezyr jak zwykle lepszy w kółkach niż na scenie, Kwiatek z dynamicznym stylem, lecz nie robiącym żadnego wrażenia oraz electro boogie w wykonaniu MEGATROON'a raczej nie było niczym nadzwyczajnym, a uważam, iż w ogóle nie pasowało do reszty pokazu i jedynie go jeszcze bardziej pogrążyło. Do tego doszła słaba muzyka i totalnie zero tańca i oczywiste było, że Nasa nie dostanie się do finałów. Spodziewałem się po nich zdecydowanie więcej, lecz muszę przyznać, że niektóre numery robiły na mnie wrażenie, w wykonaniu Wezyra oczywiście...

Dalej było 2 Ericon crew z Czech, które ze swojego pokazu zrobiło raczej szopkę teatralną, a nie Bboyowy pokaz. Dużo pajacowania na scenie, za dużo motywów z panem kapelusikiem, słabe umiejętności i fatalna muzyka (def cut) wszystko to złożyło się na to, że był to kolejny bardzo słaby pokaz. Kolejna ekipa to Semtex Squad również z Czech, początek z bardzo ciekawym układem-piramidką, a dalej było już tylko gorzej i gorzej... Muzyka z bardzo dynamicznym break beatem zwanym def cut, do której nie dało się tańczyć, raczej jeść piguły na dyskotece.

I tak o to zakończył się drugi blok i nastąpiła przerwa, w której wystąpiła moim zdaniem jedna z największych gwiazd tej imprezy czyli trzynastoletni Beat Boxer „Młody". Ten chłopak dzisiejszego dnia zaskoczył chyba wszystkich ludzi znajdujących się na hali sds-u. Mimo tak młodego wieku wyszedł na scenę, przywitał się ze wszystkim i przez 15 minut odjebał taki show, którego mogliby mu pozazdrościć najlepsi raperzy w tym kraju. Jego krótki koncert powalił mnie wprost na kolana i nie tylko mnie - moja koleżanka Natalia, która robiła reportaż dla francuskiej prasy, również była w szoku.

Pierwsze dwa pokazy w bloku trzecim to kolejne bardzo słabe produkcje z Czech Beat Brothers oraz ze Słowacji Floor Rockers – nie wyróżniały się niczym, bardzo słabe choreografie i do tego źle dobrana muzyka. Trzecią grupą w tym bloku była polska ekipa z Włocławka, czyli Crazy Squad, grupa, która moim zdaniem nie powinna przejść polskich eliminacji. Zaprezentowała nam od początku bardzo przejrzysty i dobry choreograficznie show,





lecz to wszystko za co mogłem ich pochwalić. Bardzo słabe układy grupowe wręcz inspirowane tańcem disco połączone z krokami bitewnymi, które powtarzały się w całym pokazie za każdym razem, gdy grupa robiła wspólne układy... Potwornie duże ilości texasów, zero stylu, zero tańca, sama gimnastyka i do tego power moves, który nie zawsze był wykańczany i raczej nie robił na mnie wrażenia - rzekłbym standard nawet jak na polskie warunki... Cały pokaz ogólnie rzecz biorąc słaby, to nie o to w tym chodzi. Panowie z szalonego składu, radzę wrócić do korzeni i dowiedzieć się, czym naprawdę jest Bboying, bo na pewno nie jest tym co wy prezentujecie...

Out Break to ostatnia ekipa w trzecim bloku, Słowacy przesadzili już na początku pokazu z fatalną muzyką, dalej były ciekawe układy, dopracowane i robiące jakieś tam wrażenie. W pewnym momencie się wkurzyłem i zatkałem uszy, muzyka mnie dobijała, a ich pokaz również – za mało solowych umiejętności, za mało tańca, lecz choreografia była spoko ale to nie wystarczało...

Po tym pokazie nastąpiła przerwa i na scenę wszedł Grammatik z dobrym rapem, który na pewno był jednym z ciekawszych momentów na tej imprezie. Obserwowałem koncert i zauważyłem, że ludzie, którzy dzisiaj przyszli na BOTY, tak naprawdę przyszli tutaj na koncerty i mają serdecznie w dupie to, co dzieje się na parkiecie.

Nim się obejrzałem na scenie była już Nontoper Mielonka, która rozpoczynała tego dnia najlepszy czwarty blok. Początek ich show wywołał u mnie mieszane uczucia, spodziewałem się czegoś zdecydowanie lepszego, solówki wyszły bardzo słabo, chociaż Zachu i tak dawał radę. Dalej było średnio ale konkretne electro boogie zaserwował nam Koza, no i końcówka pokazu udała się Mielonce znakomicie, najpierw gumowy pojechał dobre łączenie power moves, którym wbił się idealnie w muzykę, a do pieca dołożył Opentany, który swoim power moves przeszedł chyba sam siebie. Po tym pokazie w notatkach przy Mielonce napisałem „finał jest"...

Funky crew z Czech miało pecha i jako nie pierwsza ekipa tego dnia padła ofiarą „problemów ze sprzętem" i po kilku próbach rozpoczęcia pokazu zdecydowali się zatańczyć do muzyki dj'a na końcu bloku...

„Ready to Battle, Polska" zapowiada Ostry i na scenę wchodzi ładnie ubrana grupa, skupiona, zaczyna się show... Gitara napierdala, czuję się jak na koncercie metalowym, jestem trochę w szoku, bo dobór takiej muzyki wywołał u mnie negatywne uczucia, zupełnie nie pasowało to do tego, co działo się na scenie... A na scenie widać było tylko słabe układy, brak pomysłu na rozwiązanie pokazu, zdecydowanie za dużo power moves, które były i tak nie wykańczane. Zero tańca, zero stylu, żadnego nowatorstwa po prostu kolejny standardowy pokaz...

No i dzięki bogu na scenę wchodzi Quassit Crew, które daje ostatni show tego dnia, ostatni i najlepszy show, trzeba to podkreślić. Słowacy to zwycięzcy ostatnich dwóch edycji Boty East Europe i po ich pokazie również uważałem ich za finalistów, ale czy zwycięzców...? W ich pokazie nie brakowało niczego, bardzo dobre układy grupowe, dobre roztańczenie, indywidualny styl Romana, który wyróżniał się zdecydowanie spośród całej ekipy. Na końcu pokazu mogliśmy zobaczyć dobry i wykończony power moves i do tego całość była okrojona bardzo dobrą muzyką. Wszystko to złożyło się na to, że Słowacy w moich oczach w finale byli bankowo.

Nastąpiła przerwa, w tym czasie ruszyłem na „zwiedzanie" całego obiektu, ludzie na imprezie mogli już standardowo zakupić pamiątki w gadżetowi (koszulki, smycze, kasety) w cenie powiem normalnej, a tak jako ciekawostkę dodam, że rok temu ceny były większe. Po dłuższej przerwie w końcu ogłoszono wyniki, a sytuacja wyglądała następująco:

W bitwie o trzecie miejsce wybrano dwie polskie ekipy, czyli Nontoper Mielonka oraz Spasiba Breakers, a do bitwy finałowej wytyczono Quassit Crew oraz Crazy Squad. No cóż, po raz kolejny mamy przykład kogo doceniają sędziowie i jaka jest ich wiedza na temat tańca... Bitwa o trzecie miejsce miała raczej charakter potyczki niż prawdziwego battle. Mielonka jakby mocno zdegustowana tym, że nie walczy w finale, nie miała ochoty na bitwę i podeszła do niej treningowo. Spasiba natomiast, dla której walka o trzecie miejsce była na pewno dużym sukcesem, starała się dopasować do Mielonki i próbowała odpowiadać na ich ataki. Bitwę wygrała Nontoper Mielonka i tym samym zajęła trzecie miejsce.

No i to, na co czekali chyba wszyscy tego dnia, czyli wielki finał, Crazy Squad (Polska) vs Quassit Crew (Słowacja). Bitwa to raczej nie była, bardziej pogrom w którym role pogromcy grali Słowacy. Kontrolowali oni parkiet od pierwszej do ostatniej minuty bitwy, Crazy Squad nie był w stanie niczym zaskoczyć Słowaków. Walkę rzecz jasna wygrała ekipa Quassit Crew, która tego dnia była zdecydowanie najlepszą ekipą. Szkoda, że szanowne jury zepsuło nam świetną zabawę, bo bitwy finałowe były bardzo słabe, a lepsze rzeczy zdecydowanie można było zobaczyć w kółkach na sali do rozgrzewek... Podsumowując całą imprezę byłem bardzo zaskoczony słabym, wręcz słabiusieńkim poziomem pokazów.

Po raz kolejny popisał się sam organizator, który tę edycję BOTY EE powinien zaliczyć do bardzo nieudanych. Nie wyeliminował on problemu „skaczącego sprzętu", wybrał dziwne jury, oprawa muzyczna imprezy również pozostawiała wiele do życzenia. Jednym słowem jesteśmy świadkami upadku polskiego Battle of the year. Brak kreatywności i pomysłowości organizatora razi z roku na rok, a polski Bboying „reprezentują" ekipy, które powinny brać udział w gimnastycznych zawodach, a nie w zawodach, które są podobno eliminacjami do Mistrzostw Świata, ale w końcu nie ma co narzekać, mamy przecież mistrza świata juniorów, mamy V i VI ekipę Mistrzostw Świata z 2003 oraz Mistrza Świata w seniorach... Czego chcieć więcej???

Oficjalne wyniki:
1. Quassit Crew (Słowacja)
2. Crazy Squad (Polska)
3. Nontoper Mielonka (Polska)
4. Spasiba Breakers (Polska)

Best Show: Quassit Crew

Pozdrowienia dla Sway, Cookis, boJ, Młody i całe osiedle Elektrownia.

.:Pan Bartosz:.

.:foto: Łukasz Nazdraczew:.

total chaos





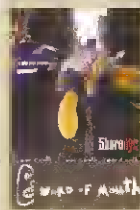
trik miesiąca
Zered Basset / bs. crooks







recenzje skg



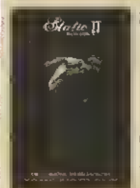
5boro „Word of mouth"

5boro jest małą, niezależna firmą z Nowego Jorku. Pomimo tego, że jest ona niewielka, to ma w swoim teamie całkiem niezłych zawodników (m.in. Aaron Suski i Charlie Wilkins). Całkiem niedawno ukazała się ich druga produkcja pod tytułem „Word of mouth". Kiedy Aaron gościł w Polsce parę lat temu mówił, że wybrał właśnie tę firmę, gdyż nie ma tam żadnych ciśnień odnośnie jazdy. Swoim teamriderom nie każą robić wielkich poręczy i ciągle pojawiać się w gazetach. Firma prowadzona jest dla czystej zajawki i taki właśnie jest ten film. Choć może nie ma tam zbyt dużo tzw. szoków, to widać, że chłopaki z 5boro jeżdżą z prawdziwa pasją i katują miejscówki Nowego Jorku i okolic. Bardzo fajny film.



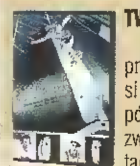
Satori

Filma Satori ma klimat rastalariański, sponsoruje skaterów o tej orientacji. Dlatego w filmie dominuje reaggae i dancehall, podobnie jest z grafikami – też są utrzymane w tym klimacie. To, co cechuje ponadto produkcję video tej firmy, to luz. Takie właśnie mają oni podejście, nie ma tu wielkiego spięcia na wyjebane triki, przeważają stylowe triczki na dużych prędkościach, choć nie można powiedzieć, żeby elegancją jazdy nadrabiali braki w umiejętnościach – co to, to nie. Już pierwszy koleś – Danny Fuenzalida pokazuje, że nie będzie tu opierdalania się, jego sw. 360 flip jest po prostu instruktażowy. Pozostali (których jest cała masa, zarówno starych prosów jak i newcomerów) również podążają tym szlakiem – jeżdżą na ogromnym chillu. W połączeniu z relaksującą muzyką reaggae daje to prawdziwie miły efekt, w ogóle jest to taki miły i pozytywny film o zabawie z deskorolką (do czego i was zapraszam). Występują m.in: Ed Selego, Mat Pailes, Aaron Suski, Tony Cox, Lucian Moon...



Static II

Nie ukrywam, że serce me raduje się, gdy oglądam takie filmy jak ten. Przepełniony on jest najprawdziwszą streetową zajawką. Autor Josh Stewart kontynuuje jazdę Dana Wolfe'a i jego serii „Eastern exposure". Zresztą do współpracy zaprosił tych samych skaterów co Dan, lub podobnie jeżdżących. Mamy więc m.in. Ricky Oyolę, Roba Pluhowskiego, Jona Igei, Freda Galla, Eda Selego, Kenny Reada, słowem nudzić przy oglądaniu się nie będziecie. Dominują miejscówki ze wschodniej strony USA (Filadelfia, Waszyngton, Boston) oraz Londynu. Największą siłą filmu jest pomysłowość w doborze trików i spotów, ani jedne ani drugie nie są przypadkowe. Tacy skaterzy jak Oyola czy Read zawsze dbali o niepowtarzalność miejscówek i do przejazdów wybierają je bardzo starannie. Ostatnie ollie Ricky'ego jest po prostu niesamowite – ogromny lot na przez super długi, naturalny funbox. Nie wiem jak on znalazł to miejsce, ale robi ono wrażenie. Bardzo fajnie ogląda się też sekcję z Londynu – nagrywki stamtąd rzadko pojawiają się w amerykańskich filmach, więc tym atrakcyjniejsza jest ta cześć. Ostatni przejazd należy do Kenny Reada, człowieka który ma prawdziwe unikalny styl. On też nie jeździ na „zwyczajnych" spotach, każda wybrana przez niego przeszkoda ma tzw. „duszę". Gorąco polecam.



TWS „Subtleties"

Transworld skateboarding jak zwykle postarał się przy produkcji nowego video. Ich świeżutka produkcja nosi tytuł „Subtleties" i właśnie ukazała się na półkach sklepów na całym świecie. Schemat filmu jest ten sam co zwykle – do współpracy zaproszono najlepszych wymiataczy i jednego starszego kolesia (którym teraz jest Pat Duffy). Właśnie Duffy rozpoczyna video, już na samym starcie jest ostro – Pat łamie sobie rękę. Jego przejazd jest bardzo dobry, nie jest to może taki szok, jak w czasach pierwszego Plan B, ale zasługuje na uwagę. Brandon Biebel i Brian Wenning pokazują, co to jest deskorolka techniczna na najwyższym poziomie – manuale, grindy, schody – słowem wszystko. Kyle Leeper to był mało znany gość, ale po tym filmie wiem, że coś jeszcze będzie o nim słychać. Robi on takie rzeczy, o których się filozofom nie śniło – np. cab fs. bluntslide. Na koniec pozostawiony został Stefan Janoski - człowiek, który jeździ na dwie nogi tak samo – nie ma znaczenia, czy jest o switch, czy normalnie. Nie będę wymieniał najlepszych trików, bo bym musiał opowiedzieć cały przejazd, wystarczy, że powiem: obejrzeć warto. Oprócz tego w filmie są dwa chaosy, ale i tak uważam, że jest on nieco za krótki.

.:t0i 0i:.

toy story

czyli o Mystic Cup słów kilka...

Nasi południowi sąsiedzi, choć kraj mają malutki i bez dostępu do morza, to potrafią organizować zajebiste zawody. Wie o tym każdy, kto był choć raz na Mystic Cup. Szczególnie ostatnie imprezy były popisem czeskiej organizacji i konsekwencji w dążeniu do upragnionego celu. Impreza ta z roku na rok jest coraz lepsza i ściągają na nią pielgrzymki z całej Europy Wschodniej. A przecież jedenaście lat temu, gdy z nią wystartowali, nikt chyba nie spodziewał się, że zrobią z tego takie wydarzenie. Dzięki temu cyklicznemu contestowi poziom jazdy w Czechach wzrósł bardzo szybko. Każdego lata przyjeżdżają do nich najlepsi skaterzy z całego świata. Mają więc nasi południowi sąsiedzi od kogo się uczyć. Miejmy nadzieję, że podobnie będzie z naszym Mentorem, choć przyznać trzeba, że w tej chwili trudno będzie zrobić coś o podobnej renomie, przecież Prażanie na ten wizerunek pracowali jedenaście lat i dopiero ostatnio zrobiła się z tego prawdziwa, światowa impreza, a początki jej wcale nie były takie różowe… Biorąc pod uwagę fakt, że kiedy zaczynali, nie było tylu wydarzeń tej rangi w Europie (praktycznie liczyły się wtedy tylko zawody w Munster), a i tak na początku prosi niezbyt licznie odwiedzali stolicę knedliczków.

W zasadzie to nie wiem, od czego zależy ich przyjazd. Przecież Praga oprócz licznych, deskorolkowych atrakcji oferuje jeszcze moc rozrywek innego rodzaju, a mimo to i tak było im bardzo trudno. W tej sytuacji los Torunia, jako miejsca contestu deskorolkowego prawdziwego kalibru z mnóstwem prosów, stoi pod znakiem zapytania. Ale odłóżmy tę sprawę na inny czas, dopiero za kilka lat będzie można się przekonać, co z tego wyniknie. Skupmy się na chwilę nad historią zawodów w czeskiej Pradze…

Pamiętam, jak jedenaście lat temu razem z ogromną ekipą z Warszawy pojechaliśmy na contest do Pragi, gdyż usłyszeliśmy, że ma się tam odbyć impreza, na której przyjazd swój zapowiedzieli najlepsi zawodnicy. Polska ekipa była wtedy drugą pod względem liczby ludzi (zaraz za Czechami, rzecz jasna). Wszystko wyglądało tam inaczej niż teraz i nie mówię tylko o poziomie jazdy…

Po przybyciu na małą wysepkę Stvanice na rzece Wełtawie oczom naszym ukazał się skatepark. Na obecne warunki nie był to żaden wypas, ot kilka prostych przeszkód poustawianych bezładnie. Jednak dla nas, grupki kolesi z Polski, gdzie nigdy nie było toru z prawdziwego zdarzenia, był to raj. Od razu przystąpiliśmy do atakowania różnych konstrukcji. Pamiętam nawet, że nagle spadł deszcz, lecz my dalej jeździliśmy zajarani, nie zważając na te drobne niedogodności. Być może zdziwi was ten fakt, jednak poziom jazdy w Polsce był wtedy dużo wyższy niż u naszych południowych sąsiadów. Polaczki robili triki dużo wyżej, bardziej stylowo, Czesi pozostawali w cieniu ekipy polskiej. Prawdziwy szoł dawał wtedy Stikorama, był on objawieniem tych zawodów. Właśnie, należałoby wspomnieć w kilku słowach na temat składu naszej grupy. Znakomita większość tych kolesi już nie jeździ, a przy deskorolce pozostali nieliczni. Nazwiska najbardziej wyróżniających się ziomów z naszego kraju to: wspomniany wcześniej Stiko, Robert Maksimczyk, Rafał Wielgus (tak, chodzi o znanego obecnie fotografa), Miłosz Solarz, Janek Wróblewski, Marcin Lipski.

Jeżeli ktoś z was był ostatnio na Mystic Cup, to na pewno nie wyobraża sobie, jak wyglądały pierwsze zawody z tego cyklu. Przypominały one swoim rozmachem zwykłą osiedlową imprezkę, na jaką teraz nikomu by się nie chciało jechać dłużej niż 20 minut. Jednak wtedy, gdy wydarzeń tego typu po prostu nie było, dostarczyła ona nam tyle wrażeń, że głowa mała. Dla nas dodatkową frajdą, oprócz jazdy w „profesjonalnym" skateparku, była możliwość popatrzenia na prawdziwych prosów z dalekiej Ameryki. Wtedy wielu z nas zetknęło się po raz pierwszy ze skateboardingiem na najwyższym poziomie. Choć nie było tych profesjonalistów zbyt wielu, to do końca życia będzie to dla mnie wydarzenie, o którym nie zapomnę. Dodatkowym plusem był fakt, że nikt nie sprawdzał tam żadnych wejściówek, nie było wpisowego – kto chciał, ten mógł jeździć. Pamiętam do dziś wszystkich prosów, którzy tam dotarli – byli to Ed Templeton (który wygrał imprezę), Josh Beagle, Steve Berra, Tony Briseno, Gershon Mosley i David Graham.

Rok później, na drugiej odsłonie Mystic Cup zmieniło się wiele. Po pierwsze, organizatorzy postarali się o nowy, zajebisty tor, który był zrobiony specjalnie na tę imprezę. Po drugie, ściągnęli więcej gości zza Oceanu. Według mnie to była najlepsza impreza w historii. Było to połączenie wielkiej, światowej imprezy (wielkie nazwiska plus wielkie triki) z małym, klimatycznym jam session. Wszyscy jeździli razem, nie było podziału na prosów i amatorów, nie było żadnych identyfikatorów, wszystko było na pełnym freestyle'u – nie było nawet trybun. Jednak taka sytuacja była właśnie atutem praskich zawodów, to się wszystkim najbardziej podobało, była to miła odmiana od contestu w Munster, gdzie wszystko zawsze było zapięte na ostatni guzik, do Czech amerykańscy skaterzy przyjeżdżali jak na wakacje – piwko, dziewczyny i w wolnych chwilach deskorolka.

Po dwunastu miesiącach znowu przyjechaliśmy do Pragi na Mystic Cup (w zasadzie to byłem tam na wszystkich wydarzeniach z tego cyklu) i o dziwo nie zobaczyliśmy żadnych większych zmian. Tor był ten sam co w poprzednim roku, z organizacją też nic nie zrobili, a dodatkowo profesjonalni skaterzy nie przyjechali w wielkim gronie. Jednak fakt, że było ich mało, w żadnym wypadku nie obniżył jakości imprezy. Nikt nie narzekał na brak prosów, bo ci, którzy jednak przyjechali, starczyli za dwustu. W tej kilkuosobowej reprezentacji zawodowców byli m.in.: Tom Penny, Donny Barley i nikomu wtedy nie znany młody Kanadyjczyk Rick McCrank. To, co chłopaki pokazali w czasie jazdy, przerosło moje największe oczekiwania. Zwycięzcą został wtedy Penny...

W następnym roku (97) odbyły się czwarte zawody Mystic Cup i najbardziej pechowe dla organizatorów. Choć postarali się oni bardzo, to jednak nie pomyśleli o jednym... Nie wzięli pod uwagę faktu, że może padać deszcz. Plac boju nie był niestety wyposażony w jakiekolwiek zadaszenie i osoby organizujące liczyły na szczęście. O ile w poprzednich latach ono im dopisywało, tak tym razem los był bez litości – lało jak z cebra. Dlatego Czesi postanowili rozegrać zawody na minirampie znajdującej się pod dachem.

Od tej pory na każdym Mystic Cup dach się pojawiał. I właśnie to pojawienie się tej zasłony od deszczu stało się początkiem poważnych zmian w organizacji imprezy. Od tej pory organizatorzy konsekwentnie dążyli do zrobienia wielkich zawodów podobnych do tych z Munster. Mimo tego, że tak się stało, to Mystic Cup nie straciło wiele ze swojego luzackiego klimatu, nadal nie przypominają one igrzysk olimpijskich. Czas pokazał, że contest ten dał dużo Czechom – podniósł on bardzo poziom jazdy u naszych sąsiadów. A Polska nadal tkwi w gronie europejskich średniaków. Pozostaje tylko czekać na to, że Mentor skate session też się tak rozwinie. Mamy czego uczyć się od Czechów...

:101 01:

total chaos

Gra w s.k.a.t.e.

W Polsce coraz bardziej popularna jest gra w s.k.a.t.e. Dlatego skateshop Kamuflage zorganizował zawody w tę prostą zabawę. Na czym ona polega, o tym chyba wie każdy, ale dla mniej zorientowanych przypomnę. Jeden ze skaterów wymyśla jakiś trik i go robi, pozostali muszą go powtórzyć, jeśli komuś nie wyjdzie, dostaje literę „s" – i tak aż do napisu „skate".

Wygrywa oczywiście ten, kto ma najmniej liter. Gra ta doskonale uczy wszechstronności, bo można wybrać dowolne numery, niezależnie od niczego. Warto przy tym pamiętać, żeby zabawa ta nie przysłoniła normalnej jazdy, jest to dobra rzecz na rozgrzewkę.

Zawody zgromadziły dużą liczbę startujących. Rozgrywki były toczone systemem pucharowym, finał odbył się między lokalami spod Witosa, Benkiem i Michałem Zabielskim „Jagą". Startowali m.in. Tomek Kotrych, Krzysiek Poskrobko, Tomek Szkiela, Tomek Milan, Krzysiek Sereczyński, Artur Podgórski, Dominik Jaskóła, Michał Majewski.



Polska lista skateparków

Nazwa - Jutrzenka
lokalizacja - Warszawa
przeznaczenie - deskorolka, rowery, a także wrotki
zadaszenie - jest, tor znajduje się pod namiotem, zimą jazda jest nie do wytrzymania z powodu chłodu
street course - czołówka krajowa, choć wypas to nie jest
materiał - drewno
punkty gastronomiczne i takie tam... - brak
płatny - tak
łączna ocena (od 1-10) - Tampa to na pewno nie jest, ale w Polsce daje radę - 7.



KONTUZJA
Jacek Pawłowski

– odwieczna zmora deskorolkowca. Jeżdżąc na desce cały czas byłem świadom (oraz pełen obaw) tego, iż może nastąpić. Takowe kontuzje omijały mnie przez dobrych 5 lat i zwykle kończyło się jedynie na potłuczeniach i skręceniach. Lecz pewnego zimowo-wiosennego wieczoru moje obawy stały się rzeczywistością. Próbując jakie verial kickflip (tak po prostu, na ziemi) deska odskoczyła uderzając w zakończenie piszczeli już pod kolanem. Noga ma zesztywniała, lecz pomyślałem, że jest to typowa reakcja i po 10 minutach będę mógł kontynuować jazdę. Tymczasem ból nie ustępował, tak więc udałem się do domu z nadzieją, iż rano obudzę się ze zdrową, zdolną do jazdy nogą. Lecz po wyskoczeniu z łóżka o mało nie upadłem na ziemię, ponieważ nie byłem w stanie chodzić, a na nodze pojawił się obrzęk. Udałem się do poradni lekarskiej, gdzie lekarz stwierdził, iż jest to jedynie powierzchowne stłuczenie stawu kolanowego i za 2 tygodnie będę już wstanie normalnie chodzić, biegać a nawet jeździć. Tymczasem po 2 tygodniach okazało się, że stan mojej nogi w najmniejszym stopniu się nie poprawił, w takim wypadku postanowiłem iść do lekarza ponownie. Tym razem inny już lekarz podszedł do sprawy poważniej i od ręki wysłał mnie na prześwietlenie. Pani radiolog w swej opinii napisała "...punkt kostnienia guzowatości piszczelowej lewej z ubytkiem w części środkowej i oddzielonym drobnym fragmentem – cechy jałowej martwicy". Lekarz z miejsca założył, iż na rok mam sobie wybić z głowy jakikolwiek sport (wizja 12 miesięcy bez deski była niewyobrażalnie przytłaczająca). Wtedy z pomocą przyszedł mi mój Dziadek, który jest lekarzem (w tym miejscu chciałbym mu za wszystko podziękować). Zebrał mnie do kliniki ortopedycznej gdzie zbadano moją nogę i stwierdzono, iż stwierdzona martwica nie występuje. Martwicy nie ma, a ból cały czas dotkliwy i niepozwalający na jazdę. Wtedy dziadek zalecił mi robienie sobie ciepłych okładów i łykanie tabletek przeciwzapalnych mających na celu zlikwidowanie powstałego na nodze stanu zapalnego (w okolicach przyczepu mięśniowego). Terapia ta podziałała i po 3 miesiącach w końcu byłem w stanie wyjść na deskę, której brak powoli wpędzał mnie w załamanie nerwowe.

newsy

Od tego numeru powraca dział newsów. Aby nadrobić zaległości niektóre z przytoczonych faktów mogą być nieco przestarzałe.

Zmiany w składach:

Większość firm wzięła w tym roku pod skrzydło nowych, obiecujących skaterów i po prostu ciężko o wszystkich rotacjach powiedzieć coś więcej, dlatego zaraz po prostu wymienię większe firmy deskorolkowe i podam ich składy:

● **Syndrom.** Syndrom konsekwentnie buduje swój team. Do Tomka Milana, Michała Zabielskiego, Kuby Perzyny i Marcina Kurzawy dołaczył pochodzący z Pułtuska Tomek Goławski.

● **Malita.** W rodzinie Mality nie było większych zmian. Powiększyła sie ekipa linii F-15 o młodego Michała Jurasia z Warszawy, który rządził w tym roku na Mentorze. Ponadto powstanie ekskluzywna linia ubrań snowboardowych, za którą odpowiedzialny jest Grzesiek Gajkowski, a w teamie znajdują się m.in. Kalas i Plaster. W innych markach (Fenix i Empire) jest bez zmian.

● **Cortoz.** Jest to stosunkowo nowy brand z Opola. Jednak od początku wystartowali z silnym składem, no bo jak można inaczej nazwać takie osoby jak: Kuba Bączkowski, Przemek Cymbalski, Marcin Tworkowski, Amadeusz Kraj i Paweł Kopczyński. Chłopaki w wakacje wyruszają na podbój Europy, będą gościć w Czechach i Niemczech. Relację z wyjazdu przeczytacie oczywiście w Ślizgu.

Wycieczka ta będzie organizowana wspólnie z firmą **Lando.** Pojadą również chłopaki z ich teamu. A w jego polskim składzie (bo oprócz niego jest jeszcze niemiecki – gościliśmy ich podczas ostatniego MSS) znajdują się: Marcin Majewski, Kuba Bączkowski,Tomek Milan, Marcin Kurzawa, Marcin Tworkowski i ich najnowszy nabytek, Bródno Bej Karol Furmańczyk.

● **System.** Ta popularna sieć dystrybucyjna stworzyła polski team Vans. W tym elitarnym gronie znajdują się: Gutek, Błażej Lewandowski, Jacek Jakubowski, Artur Czerwiwiec i Tomek Goławski.

● **California.** System nie jest jedyną dystrybucją w Łodzi. Jest przecież jeszcze inny potentat – California. Ci również nie próżnują, tylko sponsorują wielkie nazwiska polskiego szołbiznesu. Sa to: Tomek Kotrych (Popwar i Lakai), Benek Kojło (Popwar i Lakai), Bartek Milczarek (Dickies) i Krzysiek Poskrobko (Stereo). California rozprowadza też rzeczy firmy Nervous, więc nie można nie wymienić ich drużyny – Bartek Milczarek, Bartek Czarnecki, Sławek Gliński i Piotrek Kiełb.

● **Pogo.** Ciekawe pomysły miewa Piotr Dabov a.k a. Guga. Jednym z nich na pewno było powołanie do życia projektu pod nazwą Pogo. Będzie to w przyszłości producent desek i ubrań (te już są w ofercie). Do teamu nasz Pioterk wybrał nieprzypadkowe osoby: Bartka Pochylskiego, Mietka, Derina Chałaśkiewicza i Mikołaja Baranowskiego.

● **Brotherhood.** Spis zawodników tej firmy niewiele się zmienił, no może za wyjątkiem odejścia Kuby Bączkowskiego. Reszta pozostała bez zmian. Chłopaki byli niedawno na wyjeździe w Berlinie, skąd przywieźli mnóstwo wrażeń i mają teraz o czym opowiadać kolegom.

● **Realness.** To jest pomysł trzech warszawskich deskorolkowców. Marka ta ma być, jak głosi reklama, zaprzeczeniem biznesowego podejścia do deskorolki. Tworzą ją Tomek Kotrych, Kuba Perzyna i Łukasz Rzeszotek.

● **Altex.** Jest to bardzo prężna firma dystrybucyjna z Poznania. Jej człowiek Piotr Roszak bardzo się stara, aby mieć w swoim gronie najlepszych skaterów. Czy mu się to udaje – sprawdźcie sami i przeczytajcie, co następuje. Team GLOBE: Eryk Gaj (także deski Premium), Kuba Linowski, Krzysiek, Poskrobko, Zbyszek Kaczmarek, Andrzej Skrobanski, team Osiris: Janek Pietruczuk (BMX) i na koniec Powell/ Bones wheels: Jacek Pawłowski. Prawda, że robi wrażenie?

Wydarzenia:

Ostatnimi czasy zawody i różnego rodzaju imprezy mnożą się jak grzyby po deszczu. Poniżej możecie przeczytać wyniki mniejszych contestów, o najważniejszym, czyli MSS przeczytacie osobny materiał. I tak:

Zawody w Krakowie (4 lipca 2004)
1. Boniek Bońkowski
2. Amadeusz Kraj (wywiad na flip.pl)
3. Tomek Warzecha

Zawody w Sopocie (4 lipca 2004)
1. Tomasz Szkiela (Warszawa)
2. Kacper Ustarbowski (Gdańsk)
3. Michał Kulczyński (Warszawa)
4. Maciek Samoraj (Gdańsk)

Zawody w grę w s.k.a.t.e. w Warszawie (11 lipca 2004)
Beniamin Kojło

BMX DIRT JAM w Bielsku-Białej (11 lipca 2004)
1. Daniel „Afro" Bieńkowski (Białystok) – sponsorowany przez firmę PRONG
2. Piotr Wieczorek (Skierniewice)
3. Artur Klawiter (Poznań)

Zawody w Tarnowie (13 lipca 2004)
1. Krzysztof Stasik
2. Grzesiek Górski
3. Maciek Ćwiokowski
4. Tomek Warzecha

Jednak zawody to nie wszystko, żądnych mocnych wrażeń informujemy, że w Polsce gościć będziemy w wakacje teamy: Popwar, Zoo York, Aeon, E's i Osiris. Być może jeszcze wpadnie ktoś niezapowiedziany.

Wydarzenia kulturalno – oświatowe.

Wkrótce powinny się odbyć premiery dwóch polskich filmów deskorolkowych – Garażu i Transmisji. Mówiąc o filmach, nie można nie wspomnieć, że w Internecie pojawiły się już relacje video z MSS. Widziałem dwie i były całkiem, całkiem.

To tyle, w najbliższym numerze przedstawię wam dalszą część gorących newsów i to nie tylko ze skateboardingu, dowiecie się więcej także na temat deskorolki spoza Polski.

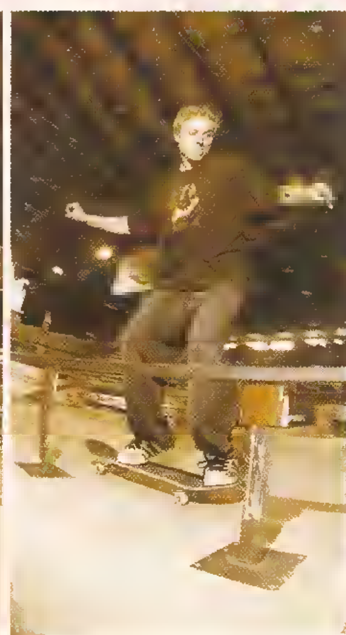
To tylko mały procent tego, co Tomas Vintr pokazał w Toruniu. kick flip croocked.

Mentor Session



Mała rewelacja zawodów: Michał Juraś z croocked grindem





Mentor Skate Session jak co roku przykuło uwagę całego deskorolkowego światka w Polsce. Ta, bez wątpienia najważniejsza impreza w naszym kraju, miała przecież być windą, która zawiezie nasz skateboarding z piwnicy na chociażby europejski parter. Owie poprzednie edycje zawodów w Toruniu spełniły swoją rolę znakomicie, coraz więcej osób ze Starego Kontynentu rozpoznawało nazwę Mentor Skate Session i polskich skaterów tam startujących – stało się to dzięki gościom, którzy przyjechali, aby brać udział w poprzednich zmaganiach. Nic więc dziwnego, że właśnie na temat „kto w tym roku przyjedzie spoza Polski?" toczyły się największe dyskusje. Jak zawsze optymiści widzieli w swoich marzeniach na tegorocznej imprezie McCranka, a pesymiści twierdzili, że poza Polakami nikt nie przyjedzie... Jak było naprawdę, o tym za chwilę.

Piątek, czyli tradycyjny dzień treningów, zwykle bywa na tego typu zawodach dniem zapoznawania się zawodników ze skateparkiem. Często jest to też najlepszy czas na robienie najtrudniejszych trików – nie ma wtedy tyle publiczności i nie jeździ się pod tak silną presją jak podczas przejazdów. Niestety owa reguła nie obowiązywała w tym przypadku. Piątek był najnudniejszym dniem trzeciej odsłony MSS. Polacy, którzy nie jeżdżą często na tego typu obiektach, potrzebują więcej niż tylko kilka godzin na wyczucie przeszkód. Goście, którzy nie stawili się bardzo tłocznie, również nie zachwycali. Na szczęście następne dni zmieniły znacznie to początkowe niemiłe wrażenie.

Warto napisać trochę na temat zmian samego toru. Jeśli chodzi o ogólny wygląd to nie zmienił on się znacznie. Modyfikacjom uległy tylko elementy większych przeszkód. Choć na pierwszy rzut oka nie było to wiele, jednak urozmaiciło to robione triki i nie były one takie same jak rok i dwa lata temu. Dołożono ogromny wallramp z profilowanym najazdem, wydłużono prawie dwukrotnie rurkę na funboksie (tzw. flatbar), do łask wróciła „buda dla psa" – czyli trójkątny murek i wreszcie dostawiono najlepszą według mnie przeszkodę w skateparku, czyli bardzo stromy bank z kątownikiem na górze.

Widzowie, którym znudziło się oglądanie zawodów, mogli wyjść sobie na zewnątrz i pojeździć na torze dla widzów lub wydać ciężko zarobione pieniądze w jednym z wielu stoisk, które tam się wystawiły. Najwięksi dystrybutorzy sprzętu deskorolkowego sprzedawali tam po bardzo dobrych cenach swoje najnowsze produkty.

Wróćmy jednak do bardziej interesującej nas grupy ludzi, czyli do startujących w zawodach skaterów. Na pierwszy rzut oka jeżdżący w skateparku tworzyli bezładną masę. Po bliższym przyjrzeniu się można było wyróżnić kilka grup:

■ Anglicy

Jak zwykle Brytyjczycy nie zawiedli i do Torunia wysłali swoją ekipę. W ubiegłych latach byli oni największymi szołmenami na zawodach, w swojej jeździe preferowali quater pipe'y, omijali z daleka proste podjazdy. Wyróżniali się tym zawsze z całego tłumu. Dużym zdziwieniem był brak w tegorocznym składzie Lee Blackwella, który na ostatnich zawodach prawie stracił życie w czasie wykonywania trików – taki był oddany sprawie. A teraz niestety nie przybył, podobno nie miał kasy na wyjazd, a sponsor niestety nie chciał go wspomóc. Anglicy, choć bez Blackwella, kontynuowali swoją tradycję jazdy po profilowanych kątach, jak zwykle ich przejazdy przypominały jazdę na mini rampie. Najbardziej zapamiętałem małego Rossa Brewera, który śmigał jak szatan.

■ Szwedzi

Mała grupka, w skład której wchodziły trzy osoby – Oskar Oglecki, Enrico Petralia razem z kolegą ze Sztokholmu. Nazwisk dwóch pierwszych polskim skaterom chyba nie muszę przedstawiać, są to przecież osoby, dzięki którym drugie zawody MSS były tak zajebiste. Oskarowi i Enrico tak się poprzednio w Toruniu podobało, że postanowili przybyć jeszcze raz. Niezatrzymywalny Petralia tak jak rok wcześniej świetnie czuł się w całym skateparku, różnica była taka, że zerwał on już ze swoim image'stiptizera i wskoczył teraz w zajawkę na przyfansowanego punka – swoją drogą śmiesznie to wyglądało. Szwedzi niestety nie pokazali niczego nowego, ale mimo tego byli jednymi z lepszych w skateparku.

■ Niemcy

Niemców podzieliłem na trzy grupy, gdyż właśnie w takiej liczbie stawiły się ekipy z kraju naszych zachodnich sąsiadów, i tak można było zobaczyć:

Team Lando aus Deutschland...

... czyli reprezentantów germańskiej drużyny tej firmy. Oprócz Polaków sponsoruje ona też jak widać Niemców i właśnie oni przybyli na podbój toruńskiego toru. Stanowili bezładną, bardzo przypadkowo dobraną grupę. Nie wiem jakie było kryterium doboru teamu, ale wiem, że nie stanowili oni na pierwszy rzut oka zgranej ekipy. Wyróżniali się z nich Bjorn Skowronek, posiadacz polskiego nazwiska, który świetnie czuł się w skateparku i jeździł bardzo wszechstronnie – wykorzystywał wszystko co oferował tor. Oprócz niego zapamiętałem technika Siegfrieda Alexandra i latającego zioma w dresach Mathiasa Burgera.

Tomek Mielcarek crew...

Tomek jest Polakiem mieszkającym w Niemczech i udziela się na scenie deskorolkowej w krajach Unii Europejskiej. Pomaga przy organizacji zawodów, jest sędzią i w ogóle wspiera skateboarding całym sercem. Był on na poprzednich zawodach i w tym roku przyjechał z niezłą ekipą swoich ziomów. Byli oni bardzo dobrze objeżdżeni w skateparkach i mimo że nie odnieśli w decydującej fazie żadnych sukcesów, to wywarli na mnie bardzo dobre wrażenie. Ciekawostką był fakt, że jednym z nich był koleżka, którego poznaliśmy w Barcelonie podczas touru Fenix. Trzecią i ostatnią (ale za to najmniejszą) grupą byli:

Stefan Lehnart z ekipą...

Czyli Dawidem Cymorkiem i Michaelem Simonem. Stefanowi bardzo się podobało w Polsce dwa lata temu, kiedy to zatriumfował na pierwszym Mentor Skate Session i postanowił przybyć do naszego pięknego kraju jeszcze raz. W podróż tę wybrał się z Dawidem, który ma polskie korzenie i świetnie mówi w naszym języku oraz młodym napierdalaczem z Maintz Michaelem. O Lehnarcie nie muszę chyba pisać, że jest prawdziwym wyjadaczem na europejskich contestach, o tym przecież wie każdy, natomiast jego młodsi towarzysze (szczególnie Michael) udowodnili, że nie są tylko tłem Stefana.

■ Czesi

Reprezentanci kraju Karela Gotta i Heleny Vondrackowej, którzy byli rewelacją drugiego MSS, w tym roku przyjechali w mniej licznym składzie. Dopisali Michal Suchopar oraz goszczący na wszystkich zawodach europejskich Tomas Vintr. Ten ostatni to prawdziwa czołówka Starego Kontynentu, jego wachlarz trików jest niekończący się, a to, co robi wykonuje niemalże bez wysiłku. Suchopar jest za to mistrzem techniki i gdyby zawody odbywały się na streetowych miejscówkach, to tacy skaterzy jak on odgrywaliby na nich największą rolę.

■ Polacy

Na koniec pozwoliłem opisać sobie ekipę Polski. Choć wiadomo, że nie stanowili oni jednej grupy, to uprościłem sprawę: postanowiłem opisać najlepszych Polaczków razem.

Oglądając amerykańskie zawody, a w szczególności Tampę, co roku widzimy nowe twarze, które jeżdżą na takim samym poziomie, albo nawet wyższym niż prosi. Tego właśnie brakowało mi na Mentorze. Co prawda było paru dobrze zapowiadających się kolesi, ale naprawdę tylko kilku... Na pewno na uwagę zasługiwali:



Tomek Kotrych, chociaż nie zajął wysokiego miejsca, to zdążył zrobić takie nose grind revert.



Stefan Lehnert w przeciwieństwie do Polaków jeździł też na wallrampie. Rockandroll 180

Wyniki:
1) Tomas Vintr (Czechy)
2) Enrico Petralia (Szwecja)
3) Stefan Lehnert (Niemcy)
4) Oskar Ogłecki (Szwecja)
5) Tomasz Dworzak (Polska)
6) Carl Willson (Anglia)
7) Alexander Siegfried (Niemcy)
8) Michał Juraś (Polska)
9) Barry Dring (Anglia)
10) Łukasz Kondranczyk (Polska)

Best trik wygrał Carl Wilson z Anglii



Mentor Session

Artur Sadowski, Dominik Jaskółka, Łukasz Kondraczyk i Michał Juraś. Tych dwóch ostatnich weszło nawet do wielkiego finału. Oprócz nich była oczywiście tzw. „polska czołówka". Wyróżniali się spośród nich: Tomek Oworzak, Przemek Cymbalski, Karol Furmańczyk, Krzysiek Poskrobko, Gutek... Jednak ten ostatni nie może zaliczyć zawodów do udanych. W piątek, w czasie próby nollie croocked na najwyższym murku, doznał poważnej kontuzji ręki. Skutecznie uniemożliwiło mu to dalszą jazdę.

Tyle tytułem przedstawiania zawodników. Pora teraz na opisanie zawodów. Jak wspomniałem, w piątek na treningach niewiele się działo. Sobota niewiele swoją dramaturgią różniła się od piątku. Był to dzień eliminacji, startowali wtedy wszyscy, którzy się zgłosili, a trzeba przyznać, że niektórzy wykazywali się ogromną odwagą. Bo jak tu inaczej nazwać fakt, gdy koleś nie umiejący podstawowych trików, startuje, w co by tu nie mówić, międzynarodowych zawodach. Ludzie ci nie mieli litości zarówno dla siebie (bo się strasznie poobijali) jak i dla widowni, która musiała to wszystko oglądać. Wiem, że skateboarding jest dla wszystkich i chodzi tutaj o przyjemność płynącą z jazdy, ale ustalmy, że contesty są przeznaczone dla dobrych skaterów. Dla przeżycia przygody i pokazania się ziomalom można wziąć udział w lokalnej imprezie, a nie w największych zawodach w kraju.

Sobota dłużyła się więc niemiłosiernie; startujących w eliminacjach było ponad stu, do tego pierwsza dziesiątka z poprzednich zawodów miała zapewnione miejsce w półfinale, więc udziału w kwalifikacjach nie brała.

Niedziela przyniosła finały i całkowitą zmianę atmosfery w toruńskiej hali Tor Tor. Teraz nie było już miejsca na opierdzielanie się. Albo się pokazywało maksimum możliwości albo odpadało z dalszej gry. Zmotywowani tym skaterzy jeździli dwa razy lepiej niż poprzedniego dnia, pomagała im w tym publiczność, która wreszcie dopisała i prawie wszystkie miejsca na widowni były zajęte. Widzowie mogli wreszcie zobaczyć przejazdy najlepszej dziesiątki z poprzedniego roku. Atmosfera bardzo dopomogła polskiej ekipie, szczególnie młodszej jej części. Wreszcie można było zobaczyć fajne przejazdy rodzimych zawodników, furorę robił mały Michał Juraś, dzięki pewnym trikom, wykonanym na maksymalnym luzie, podobnie było z Łukaszem Kondraczykiem.

Zawsze wiedziałem, że Tomek Dworzak z Krakowa dobrze się czuje w skateparku, lecz nigdy nie zajął dobrego miejsca na zawodach. Tym razem Hołek bardzo,pewnie przedostał się do finału razem z dwójką wcześniej wspomnianych młodszych skaterów. Oprócz nich w najlepszej dziesiątce znaleźli się sami przyjezdni – wszyscy faworyci awansowali dalej – m.in. Lehnart, Vintr, Petralia.

Finały były prawdziwymi popisami jazdy. O zwycięstwie nie decydowało to, czy ktoś miał czysty przejazd czy nie (bo wielu nie popełniło żadnego błędu), ale to, w jaki sposób były wykorzystane przeszkody. Liczyła się pomysłowość i różnorodność trików.

Najlepszym z Polaków okazał się Tomek Dworzak. Z przyjemnością patrzyłem na jego finałowy przejazd – bs lipslide, 5-0 na hubbie, 360 flip przez piramidę, a wszystko zrobione w charakterystycznym dla Hołka miękkim stylu. Udowodnił on tym, że i w Polsce można dobrze jeździć w skateparkach, trzeba tylko chcieć.

Decydująca walka o zwycięstwo rozegrała się zgodnie z oczekiwaniami między Vintrem, Lehnartem i Petralią. Każdy z nich pokazał naprawdę dużo, o kolejności miejsc decydowały ułamki. W rezultacie wygrał nasz południowy sąsiad, drugi był Enrico, a Stefan musiał się zadowolić trzecim miejscem.



Kacper Ustarbowski to koleś, który umie zrobić fs. 180 fakie nosegrind

Ostatnią atrakcją tego dnia był jeszcze konkurs na najlepszy trik. W ciągu trzydziestu minut cała masa skaterów robiła wszystko, aby zrobić swój wymarzony numer. W pewnym momencie było bardzo tłoczno. Polacy nie odstawali od reszty w tyle i też próbowali arcytrudnych sztuczek. Cymbalski atakował hubbę, jednak z nieco gorszym skutkiem niż w zeszłym roku. Wtedy to miał chyba najlepszą serię trików, jaką widziałem w życiu, a teraz skończyło się na kickflipie bs. 5-0. Tomek Szkiela, który był raczej niewidoczny przez całą imprezę, nagle wyskoczył z hardflip late kick flip na piramidzie. Ten numer spodobał mi się szczególnie, bo nie jest typowym dla polskich zawodów – i właśnie coś w tym stylu powinno według mnie wygrać... Z takiego samego powodu zajarałem się tym, co zrobił Benek Kojło – nose slide na hubbie z zejściem 270, dla mnie bomba!!! Pochodzący z Trójmiasta Kacper Ustarbowski upodobał sobie skakanie z półki największego funboksu przez bank, czego efektem był frontside flip. Pochodzący z podobnych rejonów Marcin Kurzawa zabłysnął fakie flipem na tailslide – to jest chyba jego koronny trik.

Oczywiście nasi goście nie próżnowali. Alexander Siegfried zrobił najbardziej niedoceniony trik w tym czasie, czyli nollie bigspin heelflip bs. tail slide. Pod tą długą nazwą kryje się trik kosmiczny. Dał o sobie znać niezmordowany Enrico 540 bigspin flipem przez piramidę. Anglik Paul Griffiths w pewnym momencie instruktażowo wbił się flipem na tailslide i przejechał przez prawie całą, najdłuższą rurkę schodząc w kąt. Reszta Wyspiarzy opanowała quatery i tam próbowała się pokazać z najlepszej strony. Jeden z nich, Carl Willson tak bardzo się postarał, że zrobił trzy trudne triki – fs. flip przez gap między quaterami, frontside to tail na wallrampie i kickflip indy to fakie na największym quaterze. Dało mu to tytuł najlepszego w „best triku". Decyzja ta wywołała trochę kontrowersji wśród publiczności, ale przy tego typu wyborach zawsze ktoś jest niezadowolony...

Prawdziwy best trik padł jednak minutę po skończeniu się czasu. Wtedy to Suchopar po wielu próbach zrobił sw. bigspin heelflip z największego funboksu, szkoda tylko, że nie stało się to troszkę wcześniej...

Podsumowując, trzeba powiedzieć, że tegoroczna impreza wypadła bardzo fajnie, choć na początku się na to nie zapowiadało. Końcowe wrażenie było jednak bardzo korzystne – było więcej widzów, więcej startujących skaterów i wreszcie więcej zajebistych trików niż w zeszłym roku. Dlatego nie pozostaje mi nic innego, jak zaprosić was na przyszłoroczną imprezę.

.:Pc skate:.
.:foto Wojtek Antonów / WZRR:.



Michał Suchopar najpierw zrobił fs boardslide na tej poręczy, a później - podczas best trick - zeskoczył z półki sw. bigspin heelflip.



Brian Brown robi sw. heelflip podczas pobytu teamu Zoo York w Warszawie. foto: Wojtek Antonów/WZRR

ZOO YORK

representin' tha East Coast...

Wi[illegible]mu Zoo York w Polsce jesl dobrym pretekslem do napisania kilku słów na temat historii tej firmy. Dla osób, które orientują się choć trochę w tematyce skateboardingu jest to marka niezwykla. Nie wiem, czy istnieje jakiś inny brand posiadający aż tak wyraźny wizerunek jak Zoo. Korzenie firmy wywodzą się z inspiracji muzyką hiphopową i stuprocentową jazdą uliczną. Paradoksalnie ta „ostatnia ostoja" undergroundu tak naprawdę jest w tej chwili dużą korporacją. To już nie jest la sama firma co przed laty, chłopaki po drodze niestety zgubili to, dzięki czemu byli tak popularni – wiarygodność i image ziomali z Nowego Jorku, ale wszystko po kolei...

Około dziesięciu lat temu, gdy w Stanach Zjednoczonych trwała ogromna dominacja zachodniego wybrzeża, grupka znajomych, których połączył skateboarding, postanowiła udowodnić, że na wschodzie też można stworzyć ciekawy projekt. Faktycznie, wtedy skate business w tamtych stronach praktycznie nie istniał. Siedziby wszystkich firm deskorolkowych znajdowały się w Kalifornii i to właśnie z tamtych terenów wynajdywano skaterów do swoich teamów. Kolesie z takich miast jak NYC, Boston, Filadelfia, Waszyngton, jeżeli tylko dobrze jeździli, od razu przenosili się na zachód, gdyż tylko tam mogli liczyć na dalszy rozwój. Tak było w przypadku takich nazwisk jak: Andy Stone, Pepe Martinez, Bill Pepper. W ich rodzinnych stronach niestety nie było żadnej instytucji, która by wspierała skateboarding, między dwoma wybrzeżami USA istniała ogromna różnica.

Sami więc widzicie, że pomysł na otwarcie firmy w tych okolicznościach był idealny. Zwłaszcza, jeśli miało się na takie przedsięwzięcie pomysł i możliwości jego wykonania. Tego na szczęście chłopakom nie brakowało i w ten oto sposób powstał projekt pod tytułem Zoo York. Grafiki i ogólny wizerunek brandu został osadzony oczywiście w klimatach hiphopowych. W tamtych czasach była tendencja do takich jazd, większość firm miała właśnie taki image, jednak to co odróżniało ich od reszty konkurencji to fakt, że nie poszli oni w tandetę i graficzki dla dzieciaków. Podczas gdy inne korporacje serwowały głównie produkty w krzykliwych kolorach, ekipa Zoo uderzyła w bardzo mroczne klimaty. Obrazki na deskach były właśnie tym stylu. Dominowały takie rzeczy jak zdjęcia ciemnych ulic, metra, wieżowców – i wszystko w nocy. Designerzy bardzo inspirowali się graffiti, zresztą wywodzili się z tych właśnie kręgów. W końcu nazwa zobowiązuje i dalego w grafikach starali się oddać klimat nowojorskiego getta.

Oczywiście sama oprawa artystyczna nie wystarczy, ale tym akurat chłopaki z ZooYork nie musieli się przejmować. W teamie, składającym się z samych ziomków, znajdowali się ówcześni mistrzowie, m.in.: Harold Hunter, Ricky Oyola, Jefferson Pang, Peter Bici. Kolesie ci odróżniali się znacznie od swoich kolegów z Kalifornii, widać było w ich jeździe coś nowego, świeżego. Pomimo tego wokół nich została stworzona mała legenda, gdyż nie pokazywali się zbyt często w deskorolkowych filmach, ale kiedy już pojawiło się zdjęcie, lub film któregoś z nich, można było mieć pewność, że będzie to trik zajebisty.

Zoo York zgodnie z oczekiwaniami bardzo pomógł w rozwoju deskorolki z East Coast. Ich śladem podążyło kilka innych, podobnych inicjatyw i dzięki temu tamtejszy skate business się ruszył. Coraz więcej małolatów zaczęło jeździć, Nowy Jork powoli stawał się deskorolkowym miastem. Dzięki filmom sławna stała się główna miejscówka „Zooyorkowców" – Brooklyn Banks. To tam spędzali całe dnie jeżdżąc i robiąc inne rzeczy, o których nie wypada pisać. Spot ten od razu kojarzy mi się z tamtymi czasami i Haroldem Hunterem, rządzącym na tej miejscówce.

Chłopaki szybko wypromowali siebie i swoje miasto, tam byli niemalże uwielbiani. Nic więc dziwnego, że gdy miał powstać film fabularny o młodych deskorolkowcach z Nowego Jorku nie mogło w obsadzie zabraknąć teamu Zoo. „Dzieło" to miało tytuł „Kids" i odniosło niemały sukces na całym świecie. Na pewno oglądaliście ten film, więc nie ma sensu mówić, o co w nim chodziło. Ważne jest to, że poprzez niego chłopaki bardzo się przylansowali, szczególnie Harold, który grał tam jedną z ważniejszych ról drugoplanowych. Wtedy coś załamało się w ekipie. Nie wiem, czy woda sodowa uderzyła im do głowy, ale wydawało się, jakby stracili pasję do skateboardingu.

Udowodniło to ich video pt. „Mixtape" (1998). Wszyscy, którzy czekali na ten film spodziewali się przełomowych numerów. Niestety, rzeczywistość była bardzo brutalna. Stary team po prostu się wypalił, Harold zrobił się gruby i rzeczy, które miał w swoim przejeździe były nagrane dużo wcześniej, podobnie było z innymi weteranami Zoo – Peterem Bici i Jeffem Pangiem. Film ratował klimat, który idealnie uzupełnił ich grafiki. Triki były przeplatane nagranymi freestyle'ami znanych raperów. Cóż, jednak dobry klimat to nie wszystko...

To był koniec ery Zoo York w pierwotnej postaci, o firmie przestało się mówić. Chłopaki chyba nie umieli sobie poradzić z prowadzeniem interesu, nie brali do teamu żadnych nowych twarzy, a starzy po prostu nie dawali już rady. Pozostały po nich tylko nazwiska. Zoo York wszedł w stan wegetacji, co prawda co jakiś czas wypuszczali swoje video, jednak nie były to tradycyjne filmy gdzie występuje tylko team, tylko były to po prostu produkcje w których występowali skaterzy z Nowego Jorku (nie będący przez nich sponsorowani).

Sytuacja firmy zmieniła się jakiś czas temu, gdy znany potentat odzieżowy Ecko postanowił wykupić Zoo York. Nastały nowe czasy i nowe prawa. Teraz już nie mogło być mowy o obijaniu się. W teamie mogli zostać tylko prawdziwi wymiatacze. Dlatego podziękowano prawie całemu teamowi, a zamiast nich przyjęto nowych riderów – m.in. Zareda Basseta i Briana Browna. Ruch ten był bardzo kontrowersyjny, bo nagle okazało się, że to już nie jest ta sama zajawkowa firma, bo przecież tak naprawdę osoby, które były odpowiedzialne za popularność marki zniknęły z Zoo. Dlatego władze Ecko zdecydowały się, aby Harold dalej był w ekipie (choć w tej chwili nie umie nawet ollie) i stał się jego medialną maskotką. Ale jak sam mówi to już nie jest to samo, teraz kolesie w garniturach decydują o losach firmy a nie oni.

Druga strona medalu jest taka, że team ma teraz o wiele więcej możliwości. Dzięki pieniądzom białych kołnierzyków mogą oni wybierać się na dalekie toury i żyć sobie z jazdy na deskorolce. Jednak to już nie jest ta sama firma co kiedyś...

:PC skate:.



720 cork w takich warunkach i o tej porze? Tylko na imprezie Nokia Totally Board - Saloniki...







Rajderzy bmx dostarczyli dużo emocji, jednak na half pipe rządzili skejciki.

Zima? W lecie? No, tym Grekom chyba się wszystko pomyliło. A może nie Grekom tylko Finom? Czemu Finom? Bo to właśnie fińska firma Nokia organizuje takie szalone projekty, jak cykl imprez Totally Board, na których w najmniej spodziewanych miejscach na świecie rozgrywane są zawody snowboardowe i narciarskie Big Air. Pamiętacie naszą relację z zesztego roku z hiszpańskiej Sevilli? Tam właśnie działo się coś takiego. Wcześniej podobne wydarzenia miały miejsce w Warszawie, Londynie i innych dziwnych jak na zimowe konkurencje miejscach. W tym roku wybór organizatorów padł na greckie Saloniki. Odważny pomysł. Na początku czerwca w Grecji jest normalne lato, 30 stopni w cieniu i palmy na plaży, tak więc w takich warunkach wybudować olbrzymią skocznię, pokryć ją śniegiem i pilnować tego całego bałaganu to nielada wyczyn. Z tym zadaniem dzielnie poradziła sobie grupa austriackich krasnali, sprowadzonych specjalnie z okazji Totally Board grupa.

Drugie zadanie było jednak znacznie trudniejsze i należało do zawodników, którzy mieli sobie fikać ze skoczni. Trzeba przyznać, że zaproszenie do udziału w imprezie dostali prawie sami znani zawodnicy. Ze snowboarderów byli to między innymi: Simon Ax, Marc Andre-Tarte, Martin Cernik, Mathieu Crepel, Giacomo Kratter. Z narciarzy także zjawiła się cała czołówka: Jon Olsson, Henrik Windstedt, Vincent Estorc i wielu innych. Z zadaniem drugim zawodnicy poradzili sobie mistrzowsko, jak to na mistrzów przystało. Snowboard wygrał Jonas Emery, który robił frontflipa jeszcze na najeździe a potem przeogromniastego backflipa. Drugi był młody Francuzik Mathieu Crepel, a trzeci Simon Ax. Pierwsza trójka narciarzy prezentowała się nastepująco: pierwszy Jon Olsson, który zawinął switch 900, a dalej Baptiste Colombe-Patton i Henrik Windstedt.

Naprawdę było co oglądać i podobnego zdania był też tłum ludzi zebrany w okolicach skoczni Nokii. Ludzie krzyczeli, klaskali i dopingowali zawodników, mimo iż sporty zimowe nie są w Grecji zbyt popularne. Rajderom też udzielała się letnia atmosfera i w przerwach między skokami paradowali sobie w kąpielówkach tocząc wojny na pistolety z wodą. Największym szołmenem imprezy okazał się oczywiście Marc Andre-Tarte, który po pierwsze, startował zarówno na desce jak i na nartach, a po drugie, dawał najwięcej autografów, obściskiwał się z dziewczynami i zabawiał publiczność.

Po atrakcjach śniegowych akcja przeniosła się na stojący w pobliżu skoczni half-pipe, gdzie odbyły się pokazy deskorolkowo-bmx-owe. Bmx-owcy pośmigali sobie bardzo fajnie, jednak ludzie oszaleli, gdy w pajpie zaczęli bujać się skejterzy. Byli to Jurgen Horrwath, Renton Millar, Jocke Olsson i największa gwiazda tej imprezy, Sandro Diaz. Jazda na vercie oglądana na żywo jest bardzo, ale to bardzo imponująca, jednak gdy Diaz na koniec swojego przejazdu zawinął czyściutkie 900, wszystkim opadły szczęki, po czym Grecy wzięli Brazylijczyka na ręce i jarali się nim przeokrutnie.

Wieczorem oczywiście było afterparty, na którym rajderzy i inni goście bawili się do białego rana na zakotwiczonych w porcie statkach, gdzie i ja byłem i ledwo żywy do domu wróciłem..

.:pod Różnik:.
.:foto WZRR:.


Marc Andre-Tarte w otoczeniu swoich fanek



Sandro Diaz rozkręca się przed swoją dziewięćsetką.



Simon Ax leci... mega frontflip.

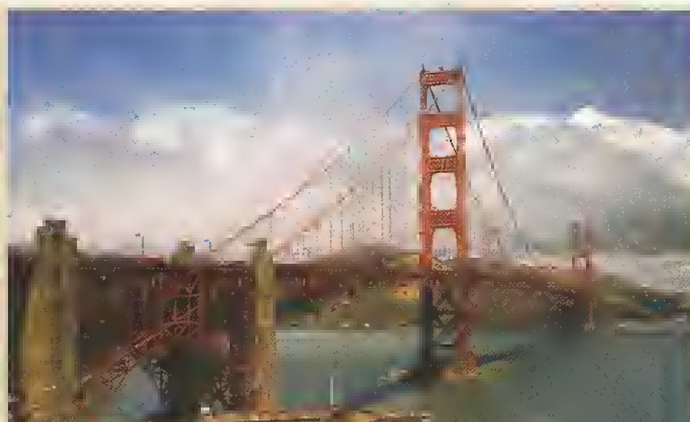

... skocznia Nokii od strony morz...

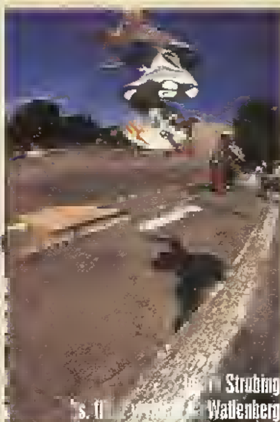


Jeden z najlepszych freeskierów na świecie - Jon Olsson.



widok na Pier 7





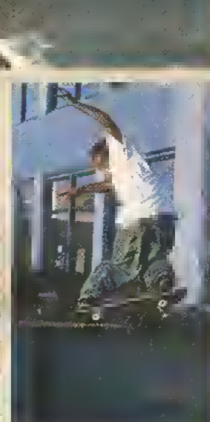
[illegible] Strubing [illegible] s. fl[illegible] Wallenberg



Karl Watson sw. frontside boardslide



[illegible] ebba hideout [illegible] popularne w USA [illegible] e stoppery



Legendy – San Francisco

Embarcadero, Pier 7, Third and Army, Hubba Hideout ledges, Wallenberg – to wszystko nazwy miejscówek znajdujących się w tym samym mieście. Mam nadzieję, że wszyscy wiedzą o jakie miasto chodzi, a jeśli ktoś nie wie, to niech się wstydzi. Spoty wcześniej wymienione są oczywiście w San Francisco, najbardziej luzackim i jednocześnie najbardziej „kulturalnym" mieście w Stanach Zjednoczonych. To tam kiedyś przyjeżdżali hippisi z kwiatami we włosach, to tam zaczynało wiele zespołów punkrockowych (z miastem bardzo silnie związany jest Jello Biafra – ex-lider Dead Kennedys), słowem zawsze było to miejsce, gdzie kwitła tak zwana kultura niezależna. S. F. zawsze według mnie było opozycją do snobistycznego Los Angeles. Nic więc dziwnego, że skateboarding znalazł w San Francisco korzystny grunt do rozwoju. Do niedawna było to najbardziej znane wśród deskorolkowców miasto. W tej chwili stoi ono nieco w cieniu Barcelony, ale i tak nie może zabraknąć jakiejś nagrywki z S.F. w każdym szanującym się filmie.

Kiedy skateboarding nie był tak rozpromowany jak dzisiaj i nie było jeszcze gry „Tony Hawk pro skater", wszystkie najważniejsze rzeczy pochodziły z Frisco. Skaterzy z tego miasta dyktowali wszystkie zajawki, a ktokolwiek chciał zaistnieć w wielkim świecie deskorolki zdążał do tego miasta. Okres lat dziewięćdziesiątych był czasem prawdziwej dominacji tych okolic. W tej chwili aż dziw bierze, że jest inaczej.

Popularność San Francisco zaczęło zdobywać od czasów filmów H-Street. Wtedy skateboarding wyglądał zupełnie inaczej niż teraz, co innego się liczyło, w modzie były zupełnie inne triki i zajawki. Dominowały ollie z grabami, no complye, surfowanie po ulicy. S.F. dzięki swemu położeniu geograficznemu (dużo różnic wzniesień – dzięki temu jest dużo zjazdów z góry – tak jak w słynnym serialu „Ulice San Francisco") idealnie nadawało się do tego typu popisów. Wizytówką miasta stały się zdjęcia prostych ollie w czasie downhillów. Nawet na fotografiach można było poczuć ogromny pęd skaterów. Jeżdżący dla H-Street ciemnoskóry Ron Allen lub Justin Girard z New Deala byli czołowymi postaciami sceny Frisco.

Jeżeli oglądaliście wcześniej wspomniany serial, na pewno nie raz usłyszeliście w nim, że główni bohaterowie jechali w stronę Embarcadero. Pewnie nie zdawali sobie sprawy z tego, że miejsce to rozsławi ich miasto w świecie deskorolki. Jest to (a właściwie było, bo w tej chwili jest ono niedostępne dla skateboardingu) spot – legenda. Tam właśnie narodziła się jazda techniczna na deskorolce. Wszystko stało się za sprawą następnego pokolenia skaterów z S. F. okupujących całe dnie EMB. Fascynował ich zupełnie inny styl jazdy niż oldschoolowo – surfingowy. Ich bardziej interesowały murki i platformy znajdujące się na ich ulubionej miejscówce. Po genialnym pierwszym filmie Plan B „Questionable", który rozsławił Embarcadero, tamtejsza ekipa stała się sławna. Miejsce szybko zostało owiane legendą i na świecie krążyły opowieści o super trikach, które tam padają. Wszystko za sprawą przejazdu Mike'a Carolla nagranego prawie w całości na EMB i jego ziomów z miejscówy – Guya Mariano, Briana Lotti, Jovantae Turnera. Spot ten miał swoje niepisane zasady, istniała tam nawet hierarchia (szefem był James Kelch jeżdżący dla Real Skateboards). Zaraz niedaleko tego miejsca znajdują się legendarne murki Hubba Hideout. Do dziś każdy trik tam zrobiony zasługuje na szacunek. Temat ten poruszył „On video", więc zainteresowanych historią murków odsyłam do ostatniego filmu z tej serii. Popularność spotu spowodowała reakcję ze strony władz miasta. Policja ostro się wzięła za skateboarding na Embarcadero. Deskorolkowcy po pewnym czasie zostali skutecznie usunięci ze spotu. Aby jeszcze dobić skaterów przeprowadzono tam remont i w tej chwili nie nadaje się on do jazdy.

Cała ekipa przeniosła się na inną miejscówkę. Ich celem stał się tzw. „new spot" czyli popularne Pier 7. Obecnie jest to synonim technicznej jazdy w USA. Choć w tej chwili też nie jest zbyt wesoło z policją, to jednak nadal skateboarding tam żyje. Kiedy był okres wzmożonej aktywności ze strony stróżów prawa, kolesie z San Francisco znaleźli jeszcze jedną „główną" miejscówkę. Nazwa jej pochodzi od nazwy ulicy – Third and Army. Znajdują się tam podobnie jak na Pier 7 różnego rodzaju murki. Jednak spot ten nigdy nie miał takiego fame'u jak dwa wcześniej wymienione.

Bardzo ważnym miejscem na deskorolkowej mapie Frisco jest szkoła Wallenberg. Okolice jej stanowią świetny teren do jazdy na desce. Tam właśnie stoją cztery wielkie schody, prawdziwe wyzwanie dla hardcore'owców. O tym jak bardzo są one trudne świadczy fakt, że pierwszy kick flip poleciał tam całkiem niedawno. W maju tego roku zostały zorganizowane zawody na tych czterech kolosach. Dzięki temu trzy nowe numery zostały dołożone do ściany chwały (sw. backside – Daryl Stanton, heelflip – Lindsey Robertson, ls. flip Andrew Reynolds).

Równolegle z jazdą techniczną rozwijała się też tam inna gałąź skateboardingu. Dalej pozostali tam kolesie zainspirowani starymi czasami i konsekwentnie robili swoje. Po stromych i długich ulicach San Francisco szaleli kaskaderzy w rodzaju Chrisa Senna i jemu podobnych. To co ich najbardziej fascynowało (i fascynuje do tej pory) to prędkość i adrenalina. Dla nich wyzwaniem nie jest trudność triku, tylko zmaganie się z potężnymi downhillami.

Bardzo silny wpływ na skateboarding w tym mieście ma ekipa skupiona wokół sklepu Deluxe (czyli Jirmy Real, Spitfire, Antihero i Rassa fibre). Promują oni deskorolkę jeszcze inną, uwolnioną od wszelkich schematów. Dla nich najważniejsza jest sama jazda, a nie triki. Skaterzy z tej ekipy (m.in. Hufnagel, Tommy Guerrero, Shawn Mandoli, Matt Field), to z reguły wielcy indywidualiści, którzy stanowią inspirację dla wielu amatorów „artystycznej deskorolki".

W pewnym momencie jednak stwierdzono, że zbyt dużo pojawia się spotów z San Francisco na filmach deskorolkowych. Faktycznie był czas, że wszyscy skaterzy jeździli na Pier 7 i Wallenberg. Nastąpił kompletny przesyt tym miastem. Zaczęto szukać nowych miejsc w innych częściach świata. Skate video nie są już kręcone na jednej miejscówce. Mimo tego, że sława Frisco już nieco zmalała, to nadal jest to jeden z głównych ośrodków skateboardingu na świecie. Cały czas jest to miasto owiane legendą, tam przecież zaczęło się wiele nowych prądów, tam praktycznie narodził się new school. San Francisco jest prawdziwym uosobieniem historii skateboardingu.

.:Pc skate:.

deskorolka nowa twarz TOMEK MILAN

Ile masz lat?
16 i pół.
Ile czasu jeździsz?
Ponad 3.
Gdzie mieszkasz?
W Rzeszowie.
Masz sponsora?
Mam (Syndrom Gangsta Team, Lando, Mill, Dibo Sex Shop).
Jakiej muzyki słuchasz?
Bratanki. Hehe, żartuję, tak na serio to Metallica, Black Sabbath, muzyka z sv.
Jaki jest twój ulubiony trik?
Nollie crooks, switch fs 360, nollie flip crooks.
Czy żałujesz czegoś w życiu?
Niczego nie żałuję... Na szczęście.
Co cię inspiruje do jazdy?
Filmy sv, zajawka, jazda z kumplami, nowe tricki, itp.
Masz jakąś ulubioną miejscówkę?
Pier 7, Stalin, Muzeum (Barca).
Jaki jest twój stosunek do zawodów?
Nie lubię jeździć w skateparkch i to jest główny powód mojego negatywnego nastawienia do zawodów. A na dodatek nie znoszę jakiejkolwiek rywalizacji. To nie jest sport.
Masz jakieś deskorolkowe marzenia?
Pojeździć z Arto Saarim... Jeździć dla Flip skateboards, hehe. Nie złapać żadnej poważniejszej kontuzji.
Zainteresowania poza deską?
Wieczorne spotkania z kumplami, muzyka, a tak to deska, deska i jeszcze raz deska.
Plany na przyszłość?
Chciałbym skończyć studia, najlepiej fotografię lub architekturę, cały czas przebywać w klimacie deski, założyć rodzinę i własną firmę skateboardową :)
Pozdrowienia.
Szczególnie chciałbym pozdrowić moich rodziców, którzy w dużym stopniu przyczynili się do całej mojej „kariery" deskorolkowej, resztę rodziny, wszystkich kumpli, z którymi jeżdżę, wszystkich kumpli ze szkoły i wszystkich, o których zapomniałem :)


nose manual nollie varial flip out
foto: Wojtek Antonów/WZRR







Jakub Wolcendorf
rowerowe sny

Czy macie czasem dziwne, rowerowe sny? Zamiast kolejnej pokonanej z lekkością mega hopy i sklejonego z łatwością nothinga lub backflipa, siedzicie sobie wygodnie pół metra nad ziemią, z łapami rozwalonymi szeroko na kierownicy. Dziwnie podekscytowani wiatrem na twarzy, podziwiacie widoki i dziarsko kręcicie pedałami.

Ja to widzę tak: zza zakrętu wytacza się wielka, ciężka maszyna. Błyszczący, wypolerowany dłuuuugi na półtora metra widelec. Szeroka kiera, toczone z aluminium rączki. Rasowy slick na szerokiej obręczy, hydrauliczne hamulce tarczowe! pełen wypas! Samochody zwalniają, piesi przystają, opad szczeny ze zdziwienia i z zachwytu.

To zmaterializowane sny Jakuba, rowery – choppery. Lava, kobieca, miękka i z charakterem oraz Chrome ciężki, twardy i piękny, znajomi mówią na niego „sk.... yn", panie w średnim wieku pod sklepem spożywczym, gdzie spragniony jeździec zrobił sobie przerwę, prawią mu komplementy. Ziomy w drodze na pobliski dirt pozdrawiają człowieka, który na co dzień dba o ich rowery.

Jakub, skąd pomysł na rowery – choppery, kiedy złożyłeś pierwszą maszynę, tę, którą trzymasz w piwnicy, kiedy powstała Lava, a kiedy Chrome?
Pierwszy rower powstał około 10 lat temu. Wtedy chciałem mieć rower, który byłby po prostu wielki i długi. Tak powstał Gray. Wtedy nie wiedziałem nawet, że istnieją takie rzeczy jak motocykle choppery. Lava powstała 3 lata temu. To był pierwszy prawdziwy rower – chopper. Tej zimy powstał Chrome. Zbudowanie go zajęło ok. trzech miesięcy. Jest to duży chopper... Warto też podkreślić, że obecne customy (choppery – motocykle) są dziełami sztuki na kołach. W ciągu ostatnich 7 – 8 lat bardzo się zmieniły. Są ręcznie malowane, ręcznie wykonywane od podstaw. Są również niebagatelnie drogie (ok. 150 tys $ za sztukę).

Czy masz już w planach kolejnego choppera?
Tak, w tej chwili zacząłem już budować kolejny rower. Chopper będzie się nazywał Black Joker. Przeważający będzie kolor czarny. Będzie rozmiarów Chrome'a. Pod koniec roku zaplanowana jest budowa kolejnej maszyny, która zainspirowana będzie postaciami i wydarzeniami z komiksu Spawn.

Czy one ci się śnią, czy wymyślasz je na jawie ;) Skąd czerpiesz inspirację do swoich projektów?
Bardzo często niektóre pomysły, idee przychodzą we śnie. Inspiracją moich projektów są komiksy, ale przede wszystkim wykonywane w pojedynczych ilościach motocykle. Czasem w ciągu dnia biorę ołówek, kartkę papieru i szkicuję pomysł, który zaistniał w mojej głowie.

Prowadzisz serwis rowerowy. Jacy ludzie do ciebie przychodzą, jak reagują na twoje rowery?
Nasi klienci są bardzo zróżnicowani, jeśli chodzi o wiek, sprzęt i pogląd na rowery. Dla jednych jest to środek transportu, dla innych rower to zabawka. Serwis rowerowy prowadzę wspólnie z bratem. W większości wypadków to on obserwuje reakcje ludzi i słyszy opinie na temat chopperów. Reakcje są bardzo pozytywne, spontaniczne. Większość naszych klientów zwraca uwagę na to, jak wykonane są szczegóły. Podstawowe pytanie to: „co to jest ta puszka pod siedzeniem? Silnik??? ;)" (w motorach jest to zbiornik oleju).

Czy myślisz o produkcji na zamówienie? Znalazłoby się chyba sporo osób, które chciałyby dosiadać na co dzień jednej z maszyn ze stajni jakoobcycles.
Czasem jadąc na swoim chopperze zastanawiam się, co bym zrobił, gdyby nie był mój a stał tylko w sklepie? Zrobiłbym jedno – zbieram kasę i kupuję go!!

W twoim otoczeniu jest dużo rowerów, nowych i starych. Niektóre to prawdziwe perełki, na identycznym czerwonym trójkołowcu popylałem po parku w 1978;). Skąd ty je bierzesz?
Odwiedzam różne miejsca, w których mogą być takie rowery. Czasem odkupuję je od byłych właścicieli, czasem po prostu je dostaję. Zdarza się również, że zabieram je prosto ze złomu...;)

Dzięki za wywiad i za super przejażdżkę (jeśli jazdę na tym wielkim „sk...nie" można nazwać zwykłą przejażdżką;)

.:text i foto http://feliks.szewczyk.info:.

lowrider





MALEO



Darek Malejonek to od lat czołowa postać polskiej sceny rockowej i reggae. Lider zespołów Izrael, Houk, 2 Tm 2,3, Maleo Reggae Rockers. Jest też współtwórcą Arki Noego, grał m.in. w Armii i Moskwie. Komponuje także muzykę filmową (m.in. do obrazu Mikiego Kaurismaki). Ma na swoim koncie ponad 30 płyt.

W połowie lat 80. był sobie taki kraj, w którym najpopularniejszym gatunkiem muzycznym, obok punka, było reggae, muzyka rodem z maleńkiej wyspy na Karaibach, Jamajki. Największym popularyzatorem tej muzyki był pieśniarz Bob Marley. Nie byłoby w tym może nic dziwnego, poza tym, że kraj ten należał do bloku państw komunistycznych, szczelnie odizolowanych od reszty świata. Większość ludności w większym lub mniejszym stopniu przyznawała się do wiary katolickiej, ale najdziwniejsze było to, że w tym kraju nie było prawie wcale ludności czarnej ani kolorowej – poza nielicznymi studentami – na całym świecie będącej naturalnym odbiorcą muzyki reggae. Na największym niezależnym festiwalu w tym kraju, obok długich włosów metalowców i punkowych irokezów, widać było mnóstwo dreadów w jasnych odcieniach, charakterystycznych dla tej szerokości geograficznej. A były to czasy, gdy na widok dreadmena ludzie przechodzili na drugą stronę ulicy, a babcie żegnały się znakiem krzyża.

Młodzi ludzie zakładali kapele reggae i śpiewali o wolności, politycznym ucisku i Babilonie (teraz chyba należałoby powiedzieć: Matriksie), który musi upaść, bo Bóg Ojciec przyjdzie i upomni się o swoje dzieci będące w niewoli. Kapele miały nazwy bliskie słowiańskiemu uchu: Izrael, Bakszysz, Habakuk, Kultura, Immanuel, Ras, Katarsis, Gedeon Jerubbal, R.A.P., Daab i wiele innych. Nagle pojawiły się festiwale: Reggae nad Wartą, Winter Reggae w Gliwicach, dzień reggae na studenckiej Famie w Świnoujściu i największy, legendarny warszawski Rób Rege, gdzie przychodziło ponad 5 tysięcy ludzi. Odwiedzały ten kraj światowe gwiazdy gatunku: Twinkle Brothers, Misty In Roots, Macka B, Mad Professor, Beniamin Zephaniah. Tak było naprawdę, a ten kraj, jak się domyślacie, to Polska.

Jednak sytuacja materialna muzyków była trudna, dlatego wielu wyjechało za granicę, część z nich zaczęła mieć problemy z narkotykami. Gdy komuna upadła, powstało mnóstwo firm płytowych, także filii olbrzymich światowych korporacji, w których na stanowiskach decydenckich pojawili się ludzie znikąd, często z układów, nieznający polskich realiów. Zaczęto na siłę lansować popową papkę, która przy czynnym współudziale stacji radiowych zepchnęła wszelką niezależną muzę – w tym i reggae – z powrotem do głębokiego podziemia. Nowo kreowane popowe gwiazdki nie miały nigdy publiczności koncertowej, odbiorcy w Polsce nie za bardzo kumali kalki zachodnich gwiazd, więc trzeba było bardzo mocnej promocji. I kółko się zamknęło.

Jednak życie nie znosi pustki, „nagle" pojawił się hip-hop i w stosunkowo krótkim czasie stał się wiodącym gatunkiem muzycznym w Polsce. Myślę, że na temat hip-hopu przeciętny czytelnik Ślizgu ma o wiele większą wiedzę ode mnie, ale może dla kogoś będzie ciekawe spojrzenie z zupełnie innego punktu: muzyka od 20 lat grającego rocka i reggae.

Wydaje mi się, że historia kolejny raz zatoczyła koło. Hip-hop jest dzisiaj dzisiaj takim miejscu, w jakim mogły być punk i reggae w drugiej połowie lat 80., gdyby nie było komuny. Odebrałem hip-hop jako muzykę prawdziwą, niewyrachowaną i świadomą w swoim przekazie – głos pokolenia, które żyje w realiach o wiele bardziej skomplikowanych niż my kiedyś, gdy było proste „my" i „oni", punky reggae party przeciwko systemowi. Pamiętam początki. Przemilczę fenomen popularności Liroya, tego nie kumam do dzisiaj. Pierwszy raz usłyszałem Kaliber, gdy dostałem od nich demówkę (nie pamiętam, 1994 – 95 rok) z propozycją nagrania wspólnego kawałka z Houkiem. Wtedy nic z tego nie wyszło, ale pamiętam, że byłem pod wrażeniem autentyczności przekazu. Pamiętam też z tamtych czasów późniejszego Wujka Samo Zło, który był stałym bywalcem koncertów Houka. Ale naprawdę wielkie wrażenie zrobił na mnie album Waca „Świeży materiał", który dostałem od DFC. Pomyślałem wtedy, że to jest to! Dobre muzycznie i super przekaz. Większość kawałków mówi prawdę o życiu tych ludzi, pokazuje, że można żyć godnie, w zgodzie ze swoim sumieniem w tym „świecie bez kolorów". To jest dla mnie najważniejsze: poważne traktowanie życia, a nie śpiewanie o pierdołach, ubrane w nudno – wymiotną szatę politycznej poprawności. Od tego momentu stałem się fanem polskiego hip-hopu i cieszę się, że przeżywa właśnie swój złoty czas, rozwija się muzycznie, poszerza horyzonty, czerpie inspirację z innych gatunków.

Ale widzę też niepokojące symptomy amerykanizacji, zbytniej autokracji niektórych raperów. Średnio przepadam za odmianą rozrywkową, bounce'ową, ostatnio coraz popularniejszą. Ale tak to jest, gdy na horyzoncie pojawia się poważna kasa, to od razu roi się od ludzi, którzy krążą wokół zjawiska. Ale to, co najbardziej cieszy moje serce, to fakt, że hip-hop odkrywa i otwiera się coraz bardziej na reggae i jego różne mutacje: dancehall, ragga, dub. To nie szkodzi, że niektórzy zaczną od Seana Paula. Potem wielu wejdzie głębiej. DJ Feel-X ma już swój styl, jest DFC, Mustatari. Prawie każdy wykonawca za punkt honoru stawia sobie umieszczenie na płycie co najmniej jednego kawałka ragga. I jest scena dancehallowa: Marika, Frenchman, Reggaenerator, Pablo Pawo, Duże Pe, Mista Pita i inni. W ostatnich dwóch latach grałem z moją kapelą, Maleo Reggae Rockers, na Przystanku Woodstock. Przyjęcie było niesamowite, niezapomniane przeżycie. W tym roku nie udało mi się zrobić prezentacji polskiej sceny dancehallowej na Przystanku, ale mam nadzieję, że w przyszłym roku przekonam do tego Jurka Owsiaka. Póki co udało mi się zaprosić legendarnych Twinkle Brothers razem z Trebuniami Tutkami i Zion Train. Cieszy mnie też mnóstwo młodych kapel reggae, które powstają w całej Polsce, niektóre na bardzo dobrym poziomie. Chciałbym też zaprezentować polskiej publiczności na przystanku kogoś z niemieckiej sceny reggae: Gentlemana, Seeeda, Patrica.

To niesamowite, jak oni skumali ten groove, respect!

Na zakończenie chciałbym przytoczyć słowa Sławomira Gołaszewskiego, filozofa kultury i muzyka, pod którymi podpisuję się całym sercem. „Nie szukamy inspiracji w kulturze, lecz w tym, co międzyludzkie, co żywe pośród relacji osobowych. Tak bowiem pojmujemy sztukę, że jej źródłem nie jest „twórczy niepokój", lecz to, co prawdziwe, piękne i dobre i czego każdy z nas doświadcza własnym sposobem".

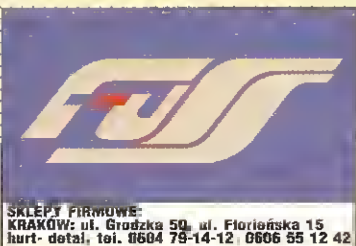
.:Maleo (maleo@sielskiefale.pl):.



UWAGA!
RUBRYKA AUTORSKA NIECENZUROWANA

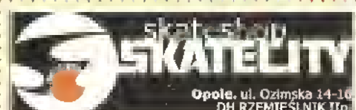




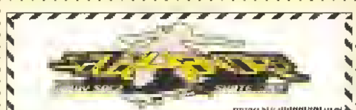








SKATE SHOP od 1993
Warszawa, ul. Rakowiecka 9, tel. (22) 849 42 45
Poznań, ul. Wielka 11, tel. (61) 853 29 58





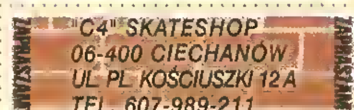
SKATESHOP
Al. 1 Maja 19 B
62-510 KONIN
tel./ fax 0-63 242 39 56











HEMP GRU



BONGO HIP-HOP SKLEP
ul. Kościuszki 17; 88-100 Inowrocław
tel. (52) 357 59 36







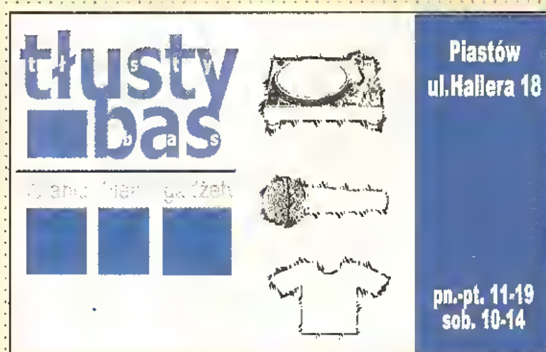






www.monument.pl
Lublin Krakowskie Przedmieście 30, Krakowskie Przedmieście 17
Krakowskie Przedmieście 41
Katowice Stawowa 4
Częstochowa al. Najświętszej Marii Panny 37







Informacje pod telefonem
tel. 0-prefix-22 825 49 07,
e-mail: anette@slizg.com.pl

nr rachunku odbiorcy
Kredyt Bank IV O/Warszawa
4115001777-1217700665180000
nazwa odbiorcy
Towarzystwo Wydawnicze i Literackie Sp. z o.o.
ul. Brzozowa 35
00-258 Warszawa

kwota:

Nazwisko i adres:

zamawiam prenumeratę na:

3	6	12	miesięcy
17 PLN	35 PLN	66 PLN	



opłata

POLECENIE PRZELEWU / WPŁATA GOTÓWKOWA

nazwa odbiorcy
Towarzystwo Wydawnicze i Literackie Sp. z o.o.
ul. Brzozowa 35, 00-258 Warszawa
nr rachunku
Kredyt Bank IV O/Warszawa 4115001777-1217700665180000



waluta **PLN** kwota

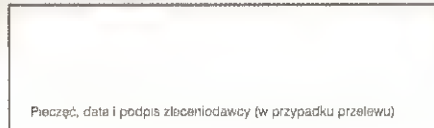
kwota słownie (wpłata / nr rachunku zleceniodawcy (przelew))

nazwisko i imię

ulica | nr domu | nr mieszkania

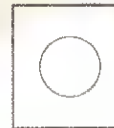
kod pocztowy | miejscowość

prenumerata: na okres | od miesiąca | numery archiwalne + koszt przesyłk



Pieczęć, data i podpis zleceniodawcy (w przypadku przelewu)

opłata



ODCINEK DLA ODBIORCY

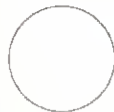
nr rachunku odbiorcy
Kredyt Bank IV O/Warszawa
4115001777-1217700665180000
nazwa odbiorcy
Towarzystwo Wydawnicze i Literackie Sp. z o.o.
ul. Brzozowa 35
00-258 Warszawa

kwota:

Nazwisko i adres:

zamawiam prenumeratę na:

3	6	12	miesięcy
17 PLN	35 PLN	66 PLN	



opłata

POLECENIE PRZELEWU / WPŁATA GOTÓWKOWA

nazwa odbiorcy
Towarzystwo Wydawnicze i Literackie Sp. z o.o.
ul. Brzozowa 35, 00-258 Warszawa
nr rachunku
Kredyt Bank IV O/Warszawa 4115001777-1217700665180000



waluta **PLN** kwota

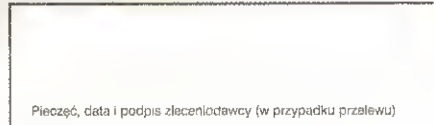
kwota słownie (wpłata / nr rachunku zleceniodawcy (przelew))

nazwisko i imię

ulica | nr domu | nr mieszkania

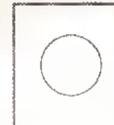
kod pocztowy | miejscowość

prenumerata: na okres | od miesiąca | numery archiwalne + koszt przesyłk



Pieczęć, data i podpis zleceniodawcy (w przypadku przelewu)

opłata



ODCINEK DLA BANKU WPŁACAJĄCEGO








LINDSEYROBERTSON






DCSHOECOUSA

